

Michael Moorcock

Seníks
z obydíanu



Michael Moorcock

Fenix z Obsydianu

Dziwne i wstrząsające przygody Johna Dakera Wiecznego Wojownika

Tłumaczył Lech Brywczyński

PROLOG

Rozległa, jasna równina bez końca. Równina ma barwę krwistą, czerwono-złotą. Niebo ma barwę spłowiałej purpury. Na równinie stoją dwie postacie: mężczyzna i kobieta. Mężczyzna, o kanciastej twarzy, odziany jest w powyginany pancerz.

Jest wysoki. Kobieta jest bardzo piękna – ciemnowłosa, delikatna i miła. Ma na sobie suknię z błękitnego jedwabiu. Mężczyzna, zwie się Isarda z Tanelorn. Kobieta jest bezimienna.

KOBIETA

– Czymże jest Czas i Przestrzeń, lepiące się do rąk, które utrzymują Kosmiczny Balans? Jeden wiek się przeżywa, a nie wiedzieć kiedy, upływają i następne. Wszystko jest płynne i przemija. Trwa wieczna bitwa między ładem, a chaosem i żaden z nich nie może jej wygrać całkowicie. Równowaga przechyla się raz w jedną, raz w drugą stronę. Co jakiś czas dłoń Władcy Wszechświata niszczy to, co stworzyła i tworzy nowe kształty. Ziemia wciąż podlega zmianom, a jedynym stałym elementem w jej dziejach jest Wieczna Wojna, przybierająca niezliczone nazwy i imiona.

– A co z ludźmi, biorącymi udział w tej wojnie? Czy zdają sobie sprawę z prawdziwej przyczyny swoich cierpień?

KOBIETA

– Bardzo rzadko.

ISARDA Z TANELORN

– Czy kiedykolwiek światu dane będzie odpocząć od owego nieustannego wrzenia?

KOBIETA

– Nie wiemy tego, i nigdy się nie dowiemy, nigdy bowiem nie staniemy twarzą w twarz z tym, którego dłoń rządzi losami Wszechświata.

ISARDA

(Rozkłada ramię.) – Chyba są jednak jakieś rzeczy naprawdę pewne...

KOBIETA

– Nawet kręta rzeka Czasu może zostać unicestwiona wolą Kosmicznej Dłoni, a bieg tej rzeki może być zmieniony.

– Nasza niewiedza na temat przyszłości jest równa niepewności, z jaką odnosimy się do naszych dziejów. Może nasze istnienie ma charakter tylko incydentalny? Może jesteśmy nieśmiertelni i będziemy istnieć zawsze? Nic nie może być więc pewne, Isardo. Cała nasza wiedza jest mglistą iluzją, opiera się na słowach, pozbawionych znaczenia, słabych dźwiękach i strzępach melodii, które wyławiamy z otaczającej nas kakofonii odgłosów. Wszystko jest zmienne i płynne, tak jak te klejnoty. (Rzuca garść błyszczących pereł na złocistą powierzchnię równiny; toczą się, grzechocząc. Gdy ostatnia z nich przestaje się toczyć, spogląda to kierunku mężczyzny). Każda z nich potoczyła się inaczej, ale ostatecznie rozbiegły się w różne strony. Podobnie my stoimy tutaj i rozmawiamy. W każdej jednak chwili możemy zostać rzućni w różne miejsca.

– ISARDA

– Nie stanie się tak, jeżeli będziemy stawiać opór. Legendy mówią o człowieku, który nadał Chaosowi pożądane kształty, siłą swej woli. Ramię Aubeca ukształtowało twą ziemię i, choć nie bezpośrednio, ciebie.

KOBIETA

(Pogrążona w tęsknej zadumie). – Możliwe, że istnieją tacy mężczyźni. Idą oni jednak przeciw woli Jedyne, który ich stworzył.

ISARDA

(Po chwili). – A jeśli oni istnieją naprawdę? Co się z nimi stanie?

KOBIETA

– Tego nie wiem, ale im nie zazdroszczę.

ISARDA

(Rozgląda się po równinie. Mówi cicho). – Ani ja.

KOBIETA

– Podobno miasto Tanelorn jest wieczne. Mówi się tak; dzięki woli Bohatera nie ginie ono przy każdej kolejnej transformacji Ziemi. Nawet najtragiczniejsi nieszczęśnicy mogą tam znaleźć spokój duszy.

ISARDA

– Mówi się też, że trzeba mieć wielką wolę czynienia pokoju, aby móc odnaleźć to miasto, Tanelorn.

KOBIETA (Pochylając ze smutkiem głowę). – A niewielu ją ma.

– Kronika Czarnego Miecza

(Tom 1008, Fragment 14: „Wyznaniu Isardy”)

KSIĘGA PIERWSZA

NAPOMNIENIA

*Wczoraj modliłem się głośno
W bólu i w agonii
Wyrywając się z fanatycznego tłumy -
Tłumu myśli i postaci, mnie prześladujących
Upiorne światło, tłoczące się zjawy
Poczucie nieodwracalnego błędu
Ci, którymi gardziłem, są teraz silni
Pragnienie zemsty, lecz wola bezsilna
Wciąż trudne myśli, i wciąż ogniem płonę
„Żądza i niechęć dziwnie przemieszane
Przemieszane postacie: dzikie, nienawistne
Fantastyczne pomysły, klótnie przeraźliwe
Wstyd i groza nad wszystkim, niczym mgła nad laką
Czyny, które miały być ukryte, a nie zostały
Bo roztopiły się w masie innych
Nie wiem, zali cierpiałem. Wiem że wszystko
Nieszczęściem było i wyrzutem sumienia
Tych wyrzutów tysiące, i nie wszystkie moje
Strach – tłumiący życie; wstyd – tłumiący duszę.*

I. NA ZIEMI, PRZYWRÓCONEJ DO ŻYCIA

Zaznałem smutku, zaznałem miłości i myślę, że wiem, czym może być śmierć, pomimo że podobno jestem nieśmiertelny. Mówią, że jest mi przeznaczona jakaś misja do spełnienia, nikt jednak nie wie, jaka. Wiadomo jedynie, że co jakiś czas porywają mnie fale Czasu, aby przenosić mnie tam, gdzie być nie chcę i zmuszać do dokonania czynów, na jakie nie mam ochoty.

Nazywałem się John Daker, miałem też wiele innych imion. Potem zwałem się Erekose i jako Wieczny Wojownik zgładziłem rasę ludzką, zdradziła bowiem ona to, co uważałem za najwznioślejsze ideały. Pokochałem kobietę z innej, szlachetniejszej moim zdaniem rasy – Eldrenów. Jej imię brzmiało Ermizhad – kochałem ją i wiedziałem, że nigdy nie będziemy mieć ze sobą dzieci.

Zabicie mojej rasy przyniosło mi szczęście. Wraz z Ermizhad i jej bratem, Arjavhem, władałem Eldrenami, tym wdzięcznym ludem, żyjącym na Ziemi na długo przedtem, zanim na naszej planecie zjawili się ludzie, aby przynieść na nią chaos i wojnę. Straszne sny, nawiedzające mnie nieustannie gdy stałem się Erekose, są teraz niezmiernie rzadkie i zaraz po przebudzeniu ich nie pamiętam. Niegdyś przerażały mnie i skłaniały do przypuszczeń, że jestem nienormalny. Doznawałem w nich niezliczonych wcieleń, byłem milionem postaci z których każda była prowadzącym wojną żołnierzem; nie mam pojęcia, która z tych osób była moim prawdziwym „ja”. Teraz wiem, że to właśnie rozterki mojego umysłu i wahania, po czyjej stronie stanąć, doprowadziły mnie do mojego ówczesnego ogłupienia. Teraz jednak byłem nareszcie w pełni sił, a siły te poświęciłem na odtworzenie piękna, które sam zniszczyłem w trakcie moich działań wojennych, prowadzonych na całej Ziemi, czy to po stronie Ludzi, czy Eldrenów.

Tam, gdzie maszerowały armie, posadziliśmy krzewy i kwiaty. Tam, gdzie znajdowały się olbrzymie miasta, zieleniły się teraz lasy. Ziemia stała się spokojna, cicha i piękna.

Moja miłość do Ermizhad nie przeminęła. Wręcz przeciwnie – rosła i dojrzewała, co sprawiało iż kochałem każdą nową cechę, jaką odkrywałem w jej osobowości. Ziemia żyła w harmonii, a jej odbiciem była także miłość między mną, Erekose, Wiecznym Wojownikiem, a Ermizhad, Pierwszą Księżniczką Eldrenów.

Straszliwą, potężną broń, której użyliśmy, aby pokonać Ludzkość, ukryliśmy i zapieczętowaliśmy, złożyliśmy też przysięgę, że nigdy więcej jej nie użyjemy. Miasta Eldrenów, zburzone i spalone przez Marszałków Ludzkości, którymi dowodziłem, zostały teraz odbudowane a już wkrótce bawiły się na ich ulicach eldreńskie dzieci, zieleniły się krzewy, na balkonach zaś jaśniały kolorową tęczą kwiaty. Blizny, zadane Ziemi przez jej ludzkich nieprzyjaciół, zarosły już darnią, a Eldreny zapomniały już o istnieniu ludzi, którzy niegdyś chcieli ich wytępić. Pamiętałem o nich tylko ja, bo przecież to oni właśnie wezwali mnie abym powiodł ich na wojnę przeciw Eldrenom. Ja zaś zdradziłem ich, i za moją sprawą zginęli na Ziemi wszyscy mężczyźni, wszystkie kobiety i wszystkie dzieci. Rzeka Droonaa zabarwiła się ich krwią, Teraz jednak płynęła w niej tylko słodka woda; woda która nie mogła mimo wszystko splukać do cna moich wyrzutów sumienia.

Bez względu na to byłem jednak szczęśliwy. Nigdy dotąd nie zaznałem chyba takiego spokoju duszy i takiej wyrazistości umysłu. Włączyliśmy się wraz z Ermizhad wokół murów i tarasów Loos Ptokai, stolicy Eldrenów, i nigdy nie byliśmy zmęczeni swoją wzajemną obecnością. Niekiedy omawialiśmy jakieś ciekawe zagadnienia filozoficzne, innym zaś razem rozkoszowaliśmy się milczeniem, oddychając przyjemnym, ogrodowym powietrzem. Gdy mieliśmy na to ochotę, to płynęliśmy jednym z wysmukłych eldreńskich statków w podróż dookoła świata, podziwiając różnorodność naszej planety – Równiny Topniejącego Lodu, Góry Smutku, ogromne lasy, skaliste szczyty górskie czy faliste równiny Dwu Kontynentów, Necralali i Zayary, które zamieszkiwała niegdyś Ludzkość. Czasami ogarniał mnie wówczas nastrój melancholii i wyruszyliśmy wówczas w kierunku południowego kontynentu, Mernadinu, kolebki Eldrenów od czasów starożytnych. W takich chwilach Ermizhad zawsze była u mego boku, pocieszając mnie, uspokajając i rozprasząc moje wspomnienia i mój wstyd.

– Wiesz, uważam że to wszystko było już wcześniej przesadzone, – mawiała zwykle. Jej chłodne, delikatne dłoni? gładziły moje czoło. – Zamiarem Ludzkości było wytępić naszą rasę, i to właśnie ich krwiożerczość ich zgubiła. Ty byłeś zaledwie narzędziem, które dokonało ich przeznaczenia.

– Ale przecież, – oponowałem wówczas, – miałem swoją wolną wolę, czyż nie tak? Czy jedynym wyjściem było ludobójstwo, jakiego się dopuściłem? Liczyłem na to. Że Ludzkość i Eldreny mogą żyć w pokoju...

– I usiłowałeś urzeczywistnić tę wizję. I nie jest twoja, winą, lecz ich, że ci się nie udało. Oni chcieli skończyć z tobą, tak samo jak z Eldrenami. Nie zapominaj, Erekose, że niemal im się to udało. Z wielkim trudem uniknąłeś śmierci, Erekose.

– Czasami żałuję, że nie jestem w świecie Johna Dakera. – mawiałem często.

– Zawsze uważałem ten świat za bardzo skomplikowany i przytłaczający, teraz jednak wiem, że w każdym świecie znajdują się te same czynniki, tyle że przyjmują one różne formy. Cykle czasu mogą się zmieniać, Ermizhad, ale nieczłowiek. Myślałem, że uda mi się zmienić człowieka, i pomyliłem się. Może właśnie to jest moim przeznaczeniem – walczyć o zmianę natury człowieczeństwa i przegrać...

Ermizhad nie była jednak przedstawicielem rasy ludzkiej i mimo że bardzo mi współczuła i usiłowała zrozumieć, co mam na myśli, nie bardzo jej to wychodziło.

– Twój gatunek miał wiele zalet, – podkreślała. W tym miejscu przerywała jednak zwykle i milczała, nie umiając przełożyć swego twierdzenia na język konkretów. Nie byłem tym specjalnie zaskoczony.

– Zgadza się, ale to właśnie ich zalety stały się ich wadami. Dotyczy to całego rodzaju ludzkiego. Młody człowiek, nienawidzący nędzy i ciemnoty widział możliwość zmiany na lepsze w niszczeniu tego, co było piękne. Nie mogąc znieść widoku ludzi umierających w nędzy, zabijał innych. Widząc głód, podpalał plony. Nienawidząc tyranii, całym ciałem i duszą oddawał się jeszcze większej tyranii, jaką jest wojna. Nienawidząc nieporządku, wynajdywał urządzenia, powodujące tym większy chaos. Kochając pokój, uniemożliwiał naukę, stawiał poza prawem sztukę, powodował konflikty.

Dzieje Ludzkości to jedna, nieustająca tragedia, Ermizhad.

A. Ermizhad całowała mnie wtedy delikatnie, mówiąc: – A teraz ta tragedia skończyła się wreszcie.

– Tak się wydaje, Eldreny bowiem umieją żyć w pokoju i zachować swą żywotność. Czasem jednak zdaje mi się, że owa tragedia jest wciąż odgrywana, pod różnymi postaciami i w różnym czasie. A tragedia będzie chciała mieć swych głównych aktorów, czyż nie tak? Może właśnie ja jestem jednym z nich? Może znowu będę wezwany, aby zagrać przeznaczoną dla mnie rolę? Może moje życie z tobą jest zaledwie antraktem między kolejnymi scenami...

Na takie moje słowa nie była w stanie odpowiedzieć, a jedyne, co mogła uczynić, to objąć mnie i ucałować mnie swymi gorącymi, słodkimi ustami.

Tam, gdzie ludzkość zbudowała niegdyś swe miasta i biła w bojowe bębny, teraz radośnie świergotały ptaki i bawiły się leśne zwierzątka. W tych nowych, tryskających zielenią lasach były jednak upiory. Był duch Lolindy, która mnie niegdyś kochała, duch jej ojca, słabego króla Rigenosa, który oczekiwał mojej pomocy, czy duch hrabiego Roldero, Wielkiego Marszałka Ludzkości, oraz duchy wszystkich tych, którzy zginęli za moją przyczyną.

Zapewne nie moją decyzją i nie moim wyborem było, aby przybyć do tego świata, podnieść miecz Erekoze, Wiecznego Wojownika, wdziać jego pancerz i pędzić na koniu, wiodąc za sobą Armię Ludzkości, jako jej naczelny dowódca. Nie moim wyborem było przekonać się, że Eldreny nie były wcale Psami Zła, jak utrzymywał Rigenos, były natomiast w istocie obiektem nieuzasadnionej i zjadłej ludzkiej nienawiści...

Nie moim wyborem...

Te słowa przychodziły mi zawsze do głowy, ilekroć nawiedzała mnie melancholia. Melancholia ta zdarzała mi się coraz rzadziej, mijały bowiem lata, podczas których ani Ermizhad, ani ja, nie zestarzeliliśmy się, a nasze uczucie było równie silne, jak przy naszym pierwszym spotkaniu. Były to lata śmiechu, miłych rozmów, ekstazy, piękna, uczucia. Rok mijał tak za rokiem, aż minęło ich w ten sposób około setki. Wówczas to Świat Duchów – dziwny świat, nie mający ograniczeń w Czasie ani Przestrzeni – znów stanął w korelacji z Ziemią.

II. ZBLIŻA SIĘ PRZEZNACZENIE

Bratem Ermizhad był książę Arjavh. Był przystojny, w stylu właściwym dla Eldrenów, ze spiczastą twarzą o złotawym odcieniu; jego skośne oczy były nakrapiane błękitem. Miał do mnie równie szczerze, przyjazne uczucia, jak ja dla niego. Jego mądrość i inteligencja zawsze mnie inspirowały, a jego wesołe usposobienie sprawiało, że przebywanie w jego towarzystwie stanowiło prawdziwą przyjemność. Tym bardziej byłem zaskoczony, gdy pewnego dnia zastałem go w jego laboratorium, siedzącego z ponurą miną nad swymi obliczeniami.

Spojrzał na mnie, i od razu zauważyłem niepokój w jego oczach, spowodowany zapewne jakimś niespodziewanym odkryciem.

– Co się stało, Arjavh? – spytałem lekkim tonem. – Te papiery wyglądają mi na mapy astronomiczne. Czy w kierunku Loos Ptokai zmierza jakaś kometa? Może trzeba będzie ewakuować miasto?

Uśmiechnął się i potrząsnął przecząco głową. – Nic tak prostego, ani też, miejmy nadzieję, tak dramatycznego. Może być w tym trochę zagrożenia, ale zrobimy wszystko, aby się na to przygotować. Znosi się na to, że już niedługo Świat Duchów będzie w najmniejszej odległości od nas.

– Ale przecież Świat Duchów nie stanowi dla Eldrenów zagrożenia. W przeszłości miałeś tam wiernych sojuszników.

– To prawda. Właśnie wtedy, gdy Świat Duchów był poprzednio blisko nas, wtedy gdy ty do nas przybyłeś. Może była to tylko przypadkowa zbieżność w czasie. Możliwe jednak, że wywodzisz się ze Świata Duchów i dzięki tej bliskości Rigenos był w stanie cię wezwać.

Zmarszczyłem brwi. – Rozumiem twój niepokój, Chodzi ci o mnie.

Arjavh skinął głową i siedział nadal w milczeniu.

– Niektórzy mówią, że Ludzkość przybyła ze Świata Duchów, czy może to być prawdą? – spojrzałem mu prosto w oczy.

– Tak.

– Czy twoje obawy o mnie dotyczą jakiejś konkretnej sprawy? – zapytałem. Westchnął ciężko. – Nie. Pomimo że Eldreny już dość dawno temu wynalazły środki, mogące służyć przebyciu drogi między Ziemią, a Światem Duchów, to nigdy jeszcze ich nie używaliśmy w poważniejszej skali. Nasze wizyty tam były, ze zrozumiałych względów bardzo krótkie, a nasze kontakty ograniczaliśmy do istot, pokrewnych Eldrenom.

– Czy obawiasz się, że mogę być ponownie wezwany do świata, z którego przyszedłem? – zaniepokoiłem się. Nie mogłem znieść nawet myśli o tym, że mógłbym zostać rozdzielony z

Ermizhad, zabrany ze spokojnego świata Eldrenów.

– Sam nie wiem, Erekose, – odparł księżę.

Czyżbym miał stać się znowu Johnem Dakerem?

Pomimo że pamiętałem moje ówczesne życie bardzo mglisto, i niemal całkowicie zapomniałem o owym świecie, który, nie wiedzieć czemu zwałem Dwudziestym Wiekiem, to wiedziałem, że nie było to życie łatwe i nie dawało mi ono wcale zadowolenia. Moja naturalna skłonność do romantycznych uniesień (której zresztą wcale nie poczytuję sobie za zasługę, doprowadziła bowiem do strasznych czynów, jakie już omawiałem) była przytłoczona i stłumiona przez otaczającą mnie rzeczywistość, społeczeństwo i pracę, jaką wykonywałem, aby zarobić na życie. Czułem się tam bardziej obco, wśród mojej własnej rasy, niż tu, wśród obcych mi rasowo, lecz przyjaznych Eldrenów. Pomyślałem sobie, że lepiej byłoby chyba popełnić samobójstwo, aniżeli powrócić do zakłamanego świata Johna Dakera, nie mogąc zapewne zachować nawet wspomnień o świecie Eldrenów.

Z drugiej strony, Świat Duchów mógł nie mieć ze mną nic wspólnego, może on należeć do tej części Wszechświata, w której nigdy nie było ludzi (Eldreny nie miały co do tego wyczerpujących informacji).

– Czy możesz zdobyć jeszcze jakieś nowe wiadomości? – zwróciłem się do Arjavha.

– Będę kontynuował poszukiwania – to wszystko, co mogę uczynić.

Pogrążony w smutnych myślach opuściłem jego laboratorium, udając się do pokoju, w którym oczekiwała na mnie Ermizhad. Planowaliśmy odbyć wędrowkę, naszą ulubioną trasą, przecinającą otaczające stolicę wzgórza. Teraz jednak nie miałem już ochoty na konną jazdę.

Widząc mój ponury nastrój, spytała: – Czy znowu wspominasz to, co stało się przed stu laty?

Zaprzeczyłem, po czym opowiedziałem jej to, co usłyszałem od księcia. Przejęła się bardzo. – Być może była to tylko przypadkowa zbieżność, – powiedziała w końcu. W jej głosie nie było jednak przekonania. Spojrzała na mnie wzrokiem pełnym obaw i najgorszych przeczuć. Objąłem ją czule.

– Na pewno umrę, Erekose, jeśli ode mnie odejdziesz, – szepnęła.

Moje wargi stały się nagle suche, a gardło zacisnęło się. – Jeśli mnie stąd zabiorą, – powiedziałem, – to będę cię szukał, choćby przez całą wieczność. I znajdę cię ma pewno, Ermizhad.

Jej rozedrgany głos zdradzał zaskoczenie. – Czy aż tak mnie kochasz, Erekose?

– Tak, a nawet jeszcze bardziej, Ermizhad.

Odsunęła się ode mnie, trzymając mnie mocno za ręce. Nasze dłonie, jej i moje, drżały. Próbowwała się uśmiechnąć, zbagatelizować przepełniające ją obawy, ale bez skutku.

– Naprawdę, nie ma powodu do obaw! – powiedziała z wysiłkiem.

Tej nocy jednak, gdy spałem u jej boku, przerażające sny, których doświadczyłem już jako John Daker, ponownie przypomniały mi o sobie, wypełzając z zakamarków mojego umysłu.

Początkowo nie było żadnych postaci, a tylko imiona. Nieskończenie długa lista imion, wypowiedzianych śpiewnym, monotonnym głosem, w którym było jakby trochę bezwzględności i trochę drwiny.

Corum Jhaelen Irsei. Konrad Arflane. Asquinol z Pompei. Urlik Skarsol.

Aubec z Kaneloon. Shaleen. Artos. Aleric. Erekoze...

Usiłowałem zatrzymać głos na tym imieniu. Próbowałem krzyknąć, powiedzieć, że jestem i byłem tylko Erekoze, wyłącznie Erekoze. Nie byłem jednak w stanie przemówić. Tymczasem monotonna wyliczanka trwała dalej:

Ryan. Hawkmoon. Powys. Cornell. Brian. Umpata. Sojan. Klan. Clouis Marca. Pournachas. Oshbek – Uy. Ulystes. Ilanth.

Udalo mi się wreszcie krzyknąć:

– NIE! JA JESTEM TYLKO EREKOZE!

– Wieczny Wojownik, Żołnierz Fortuny.

– NIE!

Elric. Ilanth. Majink – La – Kos. Cornelius.

– NIE! NIE! JESTEM JUŻ ZMĘCZONY. MAM JUŻ DOŚĆ WOJNY!

Miecz. Pancierz. Sztandary bojowe. Ogień. Śmierć. Ruiny.

– NIE!

– Erekoze!

– TAK! TAK! Krzyczałem. Byłem mokry od potu. Siedziałem na swoim łóżku.

Tym, kto wymówił moje imię, była Ermizhad.

Dyszając ciężko, opadłem na poduszki i objąłem ją spazmatycznie.

– Twoje sny powróciły, – powiedziała.

– Tak, powróciły.

Położyłem głowę na jej piersi i zaszlochałem.

– To jeszcze przecież nic nie musi oznaczać, – pocieszała mnie. – To tylko nocna zmora. Po prostu panicznie boisz się, że możesz zostać wezwany, więc twoja podświadomość podsuwa ci takie obrazy. To wszystko.

– Czy naprawdę, Ermizhad?

Pogładziła mnie po głowie.

Uniosłem głowę, usiłując zobaczyć, mimo ciemności, jej twarz. W jej nakrapianych oczach pojawiły się łzy. Była zrozpaczona.

– Czy naprawdę, czy tak?

– Tak, mój kochany. Tak.

Wiedziałem jednak, że moje przeznaczenie przygniata jej serce takim samym ciężarem, jak moje. Tej nocy już nie zasnęliśmy.

III. ODWIEDZINY

Gdy nastał nowy dzień, udałem się prosto do laboratorium Arjavha, aby zrelacjonować mu to, co zdarzyło się w czasie mego snu. Był przygnębiony, a zarazem zrozpaczony tym, że nie może mi pomóc.

– Jeśli była to tylko nocna zmora – a przecież mogło tak być – to dam ci medykament, zapewniający spokojny sen, – powiedział.

– A jeśli to nie jest tylko zmora?

– Wtedy nie będę mógł ci w żaden sposób pomóc.

– Czy ten głos może pochodzić ze Świata Duchów?

– Nawet to nie jest pewne. Może to informacje, jakie ci wczoraj przekazałem, wywołały impuls w twym umyśle, a impuls ten „umożliwił” owemu głosowi ponowny kontakt z tobą. Może spokój, w jakim tu żyłeś, stanowił najskuteczniejszą zaporę dla wezwań ze Świata Duchów? Teraz, gdy twój umysł jest w stanie pobudzenia, to ten, kimkolwiek by nie był, kto cię wzywa, ma możliwość kontaktu z tobą.

– To wszystko nie brzmi dla mnie zbyt pocieszająco, – odrzekłem z goryczą.

– Zdaję sobie z tego sprawę, Ereko. Wolałbym sam, żebyś nigdy nie wszedł do mojego laboratorium i nie usłyszał o Świecie Duchów. Powiniennem trzymać cię w nieświadomości.

– To zapewne i tak by nic nie zmieniło, książę.

– Kto wie?

Rozejrzałem się. – Daj mi ten medykament, o którym wspominałeś. Przynajmniej będę mógł poddać nasze rozważania jakiemuś testowi. Ciekaw jestem, czy to mój umysł pobudza ów głos do kontaktu. Podszedł do apteczki z połyskliwego kryształu i wydobyl z niej małą, skórzaną torebkę. Podał mi ją.

– Wsyp ten proszek do naczynia z winem i wypij wszystko przed snem.

– Dziękuję ci, – odrzekłem. – Liczę, że mi to pomoże.

Zamyślił się. – Ereko, chciałbym cię zapewnić, że jeśli zostaniesz od nas zabrany, to nie tracąc ani chwili czasu zaczniemy cię szukać. Wszystkie Eldreny cię miłują i zrobimy wszystko, aby cię odnaleźć, choćbyś był ukryty w najodleglejszych zakamarkach Czasu i Przestrzeni.

To oświadczenie niezbyt mnie pocieszyło. Zanadto przypominało mi pożegnanie. Brzmiało to w

moich uszach tak, jakby Arjavh już teraz pogodził się z moim odejściem.

Ermizhad i ja spędziliśmy resztę dnia na spacerowania po pałacowym ogrodzie, trzymając się za ręce. Niewiele rozmawialiśmy, obejmowaliśmy się tylko mocno. Nie mieliśmy odwagi aby spojrzeć sobie nawzajem w oczy, bojąc się, żeby nie ujrzeć tam smutku. Z ukrytych w parkowych zakamarkach galeryjek dochodziły dźwięki dziwnej i pięknej muzyki, skomponowanej przez wielkich kompozytorów eldreńskich, a granej przez sprowadzonych przez Arjavha muzyków. Muzyka ta była słodka, monumentalna i harmonijna. Do pewnego stopnia zdołała złagodzić napięcie, jakiemu poddany był mój umysł.

Na bladoniebieskim niebie świeciło Słońce, wielkie i gorące. Oświetlało swymi promieniami bijące w oczy różnorodnością barw kwiaty, pnącza winorośli, krzewy i białe, pałacowe mury. Weszliśmy na miejskie mury aby podziwiać panoramę Mernadinu, pełną łagodnych stoków górskich i równin. W oddali pasło się stado jeleni, a nad naszymi głowami przelatowały leniwie ptaki. Jakże mógłbym porzucić to piękno i powrócić do hałasu i brudu świata, który opuściłem, i w którym wiodłem smutne, jałowe życie Johna Dakera?

Zapadł wieczorny mrok, powietrze wypełnił śpiew ptaków, a woń kwiecia stała się tak intensywna, że aż odurzająca. Wolnym krokiem powróciliśmy do pałacu. Nasze dłonie wciąż splecione były w serdecznym uścisku.

Szedłem w kierunku naszych pokoi czując się tak, jak czuć się musi skazaniec przed wykonaniem wyroku. Rozbierając się, nie byłem pewny, czy jeszcze kiedykolwiek włożę na siebie podobne ubranie. Ermizhad przygotowywała mi nasenną miksturę, ja zaś położyłem się z tą jedyną myślą, aby tylko nie obudzić się rano w tym mieście i w tym pokoju, w którym mieszkał John Daker. Tępo wpatrywałem się w żłobkowane sklepienie izby, wypukłe kolumny, wazony z kwiatami, doskonale dobrane meble; chciałem zachować to wszystko w pamięci tak jak zachowałem w niej obraz twarzy Ermizhad. Przyniosła mi mój medykament. Wypiłem go, patrząc głęboko w jej przepełnione obawami oczy.

To było nasze rozstanie. Rozstanie, o którym nie mieliśmy odwagi mówić.

Niemal natychmiast zapadłem w twarde sen i wydawało mi się, że może Ermizhad i Arjavh mieli rację, iż ów głos był jedynie wytworem mojej podświadomości i niego złego nastroju.

Nie wiem o której godzinie mój zdrowy, głęboki sen został przerwany. Byłem niemal przytomny. Mój umysł był jakby spowity zwojami ciemnego welwetu, toteż gdy już usłyszałem ponownie ów głos, był on nieco przytłumiony.

Zapewne uśmiechałem się sam do siebie, wierząc iż zażyty przeze mnie środek nie pozwoli głosowi na przerwanie mi snu. Milczałem. Głos nasilał się, ale byłem w stanie go zignorować. Poruszyłem się i wyciągnąłem rękę w kierunku Ermizhad, aby objąć jej pogrążone we śnie ciało.

Głos nie ustępował, ale nie zwracałem nań uwagi. Pomyślałem sobie, że jeśli uda mi się przetrzymać tę noc, to może ów głos zrezygnuje i zaniecha dalszych wezwań pod moim adresem. Nie dani się tak łatwo zabrać z tego świata, w którym znalazłem miłość i spokój.

Głos przycichł, ja zaś spałem nadal, trzymając w objęciach Ermizhad a moje serce przepelniała nadzieja.

Głos powrócił raz jeszcze, ale i tym razem udało mi się go zignorować. Potem ostatecznie głos ucichł całkowicie, ja zaś pogrążyłem się w mocnym, głębokim śnie. Zapewne było to na godzinę lub dwie przed świtem, gdy usłyszałem jakiś dziwny hałas; hałas ten nie pochodził jednak z mojej głowy, a z pokoju, w którym spaliśmy. Pomyślałem sobie, że to na pewno Ermizhad już wstała, otworzyłem oczy. Było ciemno. Znowu usłyszałem ów hałas. Ermizhad wciąż leżała uspiąca obok mnie. Hałas ten przypominał jakby szczęk pochwy miecza, uderzającej o pancerz. Usiadłem na łóżku. Byłem nadal zaspany, w głowie zaś szumiało mi jeszcze od środka nasennego. Rozejrzałem się sennie po pokoju. I wówczas zauważyłem stojącą niedaleko mnie postać.

– Kim jesteś? – zapytałem zrzędliwie. Może to jakiś Eldren, jeden ze służących?

W Loos Ptokai nie było wcale złodziei, rabusiów czy morderców.

Nieznajomy nie odzywał się. Wyglądało na to, że się mi tylko przypatruje. Stopniowo mój wzrok wyostrzył się na tyle, że mogłem stwierdzić, iż nie był to Eldren. Wygląd tej postaci był barbarzyński, pomimo całego bogactwa, a nawet przepychu szat. Osobnik ten miał na głowie ogromny, wyglądający groteskowo hełm, całkowicie zakrywający pokrytą bujnym zarostem twarz. Korpus okrywał mu metalowy pancerz, zdobiony podobnie jak hełm. Na pancerz zarzucony miał pozbawiony rękawów płaszcz, który okazał się być baranicą. Na nogach miał bryczesy z polakierowanej, zdobionej złotymi i srebrnymi wzorkami, skóry. Nagolenniki były dopasowane do pancerza, a stopy ukryte miał w kosmatych buciorach, wykonanych z takiego samego futra, co i jego długi płaszcz. U pasa przytroczony miał miecz.

Rycerz ten nie poruszał się, obserwował mnie natomiast zza swego spiczastego groteskowego hełmu; Zza przyłbicy widoczne były jego oczy – gorejące i gwałtowne. Nie był to na pewno człowiek z naszego świata, ani potomek rodu Rigenosa, który ukrył się jakimś sposobem przed śmiercią z moich rąk. Jakieś mgliste wspomnienia chodziły mi po głowie. Ubiór jego nie pochodził na pewno z epoki, którą pamiętam jako epokę Johna Dakera.

Czyżby był to gość ze Świata Duchów?

Jeśli tak, to jego wygląd nie przypomina wcale innych mieszkańców owego świata, jak choćby ci, którzy niegdyś pomagali Ermizhad, gdy była więziona przez króla Rigenosa. Powtórzyłem moje pytanie.

– Kim jesteś?

Gość usiłował przemówić, ale nie udawało mu się to. Uniósł obie ręce do głowy. Zdjął hełm. Odgarnął z twarzy swe długie, czarne włosy. Przysunął się do okna.

Znałem tę twarz.

Należała do mnie.

Cofnąłem się do łóżka i skurczyłem się ze strachu. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się doświadczyć tak wielkiego przerażenia.

– Czego chcesz? – wrzasnąłem. – Czego u licha chcesz?

W jakimś odległym zakamarku mego udręczonego zmysłu zaświtało mi pytanie, czemu Ermizhad się nie budzi, a śpi spokojnie przez cały czas u mego boku.

Usta mego gościa poruszyły się, jakby coś mówił, nic jednak nie usłyszałem. Czyżby była to mara senna, spowodowana zażyciem medykamentu? Jeśli tak, to wolę już moje poprzednie straszne sny.

– Wynoś się stąd! Wynocha! – ryknąłem.

Gość zaczął gestykulować, ale nic z tego nie mogłem zrozumieć. Raz jeszcze zaczął poruszać ustami, ale i tym razem bez skutku.

Z krzykiem wyskoczyłem z łóżka, rzucając się w kierunku znieawidzonej postaci, ta jednak rzuciła się do ucieczki, z przerażeniem i zdziwieniem na twarzy.

W pałacu nie było mieczy, ani żadnego innego oręża. Działając pod wpływem impulsu, nie zastanawiałem się jednak nad tym. Przez głowę przebiegło mi niejasna myśl, żeby zabrać miecz swemu prześladowcy i użyć go przeciw niemu.

– Wynocha! Wynocha!

Wtem potknąłem się, i poleciałem na parkiet i poczułem wstrząs uderzenia. Ogarnęło mnie przerażenie, spotęgowane jeszcze widokiem pochylającej się nade mną twarzy. Wstałem, zachwiałem się jednak ponownie i leciałem, leciałem, leciałem...

Gdy upadłem, usłyszałem znowu znajomy głos, tym razem triumfu i radości.

– URLIK! – wolał. – URLIK SKARSOL! URLIK! URLIK! LODOWY BOHATERZE, PRZYBĄDŹ, DO NAS!

– NIE PRZYJDE!

Nie negowałem jednak wcale, że tak właśnie brzmiało moje imię. Usiłowałem odmówić TEMU, czy TYM, którzy mnie wzywali. Wirując i spadając w korytarzach wieczności, usiłowałem bezskutecznie powrócić do Ermizhad i do świata Eldrenów.

– URLIK SKARSOL! HRABIA LODOWEJ PUSTYNI! WŁADCA ZIMNA I MROZU! KSIĄŻĘ POŁUDNIOWEGO LODU! PAN ZIMNEGO MIECZA! NADEJDZIE ODZIANY W FUTRA I METAL, JEGO RYDWAN BĘDZIE CIĄGNIĘTY PRZEZ NIEDŹWIEDZIE, BRODĘ BĘDZIE MIAŁ CZARNĄ I ZJEŻONĄ. PRZYBĘDZIE ZE SWYM MIECZEM, ABY POMOC SWEMU LUDOWI!

– NIE POMOGĘ WAM! NIE CHCĘ ŻADNEGO MIECZA! BŁAGAM WAS – DAJCIE MI

SPAC!

– ZBUDŹ SIĘ, URLIKU SKARSOL. TEGO ŻĄDA PRZEPOWIEDNIA!

Stały przede mną zamglone obrazy. Zobaczyłem miasta, wykute w wulkanicznych skalach, miasta z obsydianu, zbudowane na brzegach leniwych mórz, pod ciemnym, sinym niebem. Ujrzałem ocean, wyglądający niczym szary marmur, przetykany czernią i zdałem sobie sprawę, że na tym oceanie pływały, całe plejady ogromnych gór lodowych. Ta wizja nappełniła smutkiem moje serce – nie dlatego, że była mi nieznana – wręcz przeciwnie – dlatego że ją dobrze znałem. Dobrze wiedziałem, że mimo iż jestem znużony walką i mam jej dość, to zostałem tutaj wezwany wialnie po to, żeby kolejną walkę podjąć...

KSIĘGA DRUGA

SZLAK WOJOWNIKA

*W srebro odziani żołnierze Ludzie w jedwabiach Rydwan Mistrza jest z brązu Sam Mistrz –
spowity w smutek.*

– Kronika Czarnej Miecza

I. LODOWE POŁACIE

Nadal przemieszczałem się, nie było już jednak wirowania. Poruszałem się powoli, mimo że oczywiście nie stałem jeszcze na własnych nogach. Widziałem coraz lepiej, choć nie byłem jeszcze zbyt dobrze zorientowany w sytuacji. Łudziłem się, że może nadal śpię, ale wiedziałem dobrze, że nie jest to prawdą. Tak samo jak John Daker został wezwany do świata Eldrenów, tak samo Erekose został wezwany do tego, lodowcowego świata. Swoje obecne imię dobrze znałem. Było powtarzane wielokrotnie. Znałem je jednak głębiej, znałem je tak, jakby zawsze do mnie należało. Byłem Urlikiem Skarsolem z Południowego Lodu.

To, co widziałem, potwierdzało tylko moje przypuszczenia, wokół było bowiem jedno, wielkie morze lodowych gór. W innych wcieleniach widywałem lodowce, ale mimo to natychmiast rozpoznałem świat Urlika Skarsola. Przelatywałem nad planetą, która umierała. Nade mną, na niebie, świeciło małe, czerwone, zamglone Słońce – umierające Słońce. Nie miałem wątpliwości, że była to Ziemia, ale Ziemia leżąca na krawędzi, na końcu cyklu Czasu. Dla Johna Dakera byłaby to bardzo odległa przyszłość, ja jednak odwykłem już od prostych definicji „przeszłości” i „przyszłości”. Jeżeli to właśnie Czas był moim wrogiem, to był to wróg pozbawiony oblicza i formy; wróg, którego nie można było zobaczyć, ani z nim walczyć.

Podróżowałem w rydwanie, zdobionym srebrem i brązem; ozdoby te przypominały mi owe wzorki, widniejące na pancerzu mojego milczącego gościa. Wszystkie cztery wielkie, obite żelazem koła rydwanu przymocowane były do płóz, zrobionych zapewne z wypolerowanej kości słoniowej. Rydwan ciągnięty był przez cztery bestie, przypominające swym wyglądem znane Johnowi Dakerowi polarne niedźwiedzie, tyle że miały dłuższe kończyny. Biegły regularnymi susarri, ciągnąc rydwan z zadziwiająco dużą szybkością. Stałem wyprostowany na rydwanie, trzymając za wódkę. Obok mnie znajdował się kufer, dopasowany do wnętrza rydwanu. Był wykonany z jakiegoś bardzo twardego drewna i obity srebrem, jego naroża zaś były wzmocnione żelaznymi listwami. Zamknięty był na duży, żelazny zamek, a na pokrywie była rękojeść, służąca do podnoszenia wieka. Całość zdobiona była czarną, brązową i błękitną emalią; najczęściej spotykanymi wzorkami były smoki, rycerze, drzewa i kwiaty, splecione ze sobą. Dziwne pismo runiczne tworzyło wokół zamka jakiś napis; ku swemu zdziwieniu, byłem w stanie go odczytać z łatwością: Oto jest kufer hrabiego Urlika Skarsola, Władcy Lodowej Bryły. Z prawej strony kufra, do rydwanu przylutowane były trzy masywne pierścienie, przez które przechodziło drzewce, obite srebrem i brązem, o długości przynajmniej siedmiu stóp. Zakończenie drzewca stanowiło potężne, haczykowato zakrzywione, i bardzo groźnie wyglądające ostrze z błyszczącego metalu. Po przeciwnej stronie kufra znajdowała się podobna do tamtej włócznia, tyle że uwieńczona ostrzem w kształcie szerokiego topora. Włócznia ta była ślicznie zdobiona delikatnymi, wyrytymi na niej wzorami. Sięgnąłem ręką do swego boku. Nie było tam miecza – z lewej strony miałem sakwę podróżną, z prawej zaś wielki klucz. Odczepiłem klucz od mego pasa, i przyglądałem mu się ze zdziwieniem. Włożyłem go do zamka z pewnym trudem, z uwagi na to, że rydwan miał tendencję do przechylania się na nierównej lodowej powierzchni, otworzyłem zamek i uniosłem wieko, szukając miecza.

Miecza nie znalazłem, było tam natomiast wiele żywności, odzież i wszystko to, czego mężczyzna

może potrzebować, wybierając się w długą drogę. Uśmiechnąłem się z rezygnacją, sam do siebie. Droga, jaką przebyłem aby się tutaj znaleźć, była rzeczywiście bardzo długa. Zatrzasnąłem wieko i zamknąłem kufer, wieszając sobie następnie klucz u pasa.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę na swój ubiór. Miałem na sobie ciężki, ornamentowany pancerz, gruby płaszcz z owczej wełny i z podobnej wełny buciory. Cały mój pancerz zdobiony był takimi samymi wzorami. Sięgnąłem raka do hełmu. Moje palce natrafiły na podobne serpentynowe wzorki. Z rosnącym przerażeniem sięgnąłem dłonią do twarzy. Jej kontury były mi znane, na górnej wardze miałem jednak teraz gruby wąs, a na policzkach bokobrody.

W kufrze zauważyłem poprzednio małe lusterko. W pośpiechu otworzyłem kufer, uniosłem wieko i zacząłem szperać wewnątrz kufra, dopóki nie znalazłem lusterka, wykonanego nie ze szkła, a z gładko wypolerowanego srebra. Wahałem się przez chwilę, po czym zmusiłem się, aby spojrzeć na swoje odbicie. Ujrzałem twarz i hełm mojego nocnego gościa a zarazem oblicze, które pochylało się nade mną, gdy upadłem.

Teraz było to moje własne oblicze.

Z jękiem, i z sercem pełnym najgorszych przeczuć, których nie potrafiłbym sprecyzować, odsunąłem lusterko i wrzuciłem je do kufra. Zamknąłem wieko. Wyciągnąłem rękę, aby pochwycić drzewce włóczni, i oparłem się o nie, nie myśląc o tym, iż mogę złamać je swym ciężarem.

Byłem więc tutaj, na białych lodach, pod ciemniejącym niebem, samotny, z rozdartą duszą i sercem, odcięty od kobiety, która przyniosła mi spokój i radość życia, odcięty od świata, który był jedynym miejscem pokoju i wolności. Zapewne to samo musi odczuwać człowiek, który był szaleńcem, już miał nadzieję się w końcu wyleczyć, gdy nagle znowu znalazł się w szponach zapomnianego już przez siebie obłądu. Otworzyłem usta i wydałem z siebie przeraźliwy okrzyk. Krzyczałem ciągle, niczym w ekstazie, a krzyk ten wibrował w powietrzu, przypominając okrzyki agonii, agonii mojej duszy. Wygrażałem pięścią zaćmionej, czerwonej, nieskończenie oddalonej kuli, która była Słońcem tego świata.

Moje niedźwiedzie tymczasem przez cały czas pędziły przed siebie, ciągnąc mnie i mój rydwan ku nieznanemu przeznaczeniu.

– Ermizhad! – wołałem. – Ermizhad! Miałem nadzieję, że może mnie usłyszysz i wezwiesz, tak jak wezwał mnie ów głos.

– Ermizhad!

Ciemne niebo było jednak ciche, lód niewzruszony, Słońce zaś przyglądało mi się niczym stary, bardzo stary człowiek, zgrzybiały już i nic nie mogący pojąć. Siły niedźwiedzi były niespożyte – pędziły nieustannie poprzez krajobraz, którego jedynymi składnikami były zwały lodu i półmrok polarnej nocy. Jęczałem, szlochałem i krzyczałem, aby w końcu zamilknąć, stojąc nieruchomo na moim skaczącym rydwanie, jakbym również ja sam został zrobiony z lodu. Zdawałem sobie sprawę, że nie mam innego wyjścia, jak tylko zaakceptować mój los i skupiłem swoją uwagę ni myśli, iż znalazłszy się w miejscu mojego przeznaczenia, natychmiast zajmę się odnalezieniem sposobów

powrotu do świata Eldrenów, i do mojej ukochanej Ermizhad. Była i o słaba nadzieja ale uczepiłem się jej tak mocno, jak uczepiłem się drzewca mojej włóczni. To było jednak wszystko, co miałem. Przecież nie wiedziałem nawet, jak i gdzie jej szukać. Jeśli teorie Eldrenów były słuszne, to musi istnieć wiele alternatywnych światów, ja zaś nie miałem pojęcia, gdzie znajduje się mój obecny świat. Jeśli byłby to Świat Duchów, to zapewne mogłaby tu dotrzeć jakaś ekspedycja Eldrenów, może jednak jest to zupełnie inna Ziemia, odłączona i rozdzielona długimi stuleciami od świata Eldrenów, który pokochałem i przyzwyczałem się uważać za własny.

Aktualnie jednak byłem znowu Wiecznym Wojownikiem, bez wątpienia wezwany po to, aby walczyć w imię jakiejś sprawy, o której nie miałem jeszcze zielonego pojęcia; wezwany przez ludzi, którzy mogli być równie nikczemni i samolubni jak ci, którymi władał król Rigenios. Dlaczego to właśnie ja zostałem wyznaczony do tego, nie mającego końca zadania? Czemu nie mogę zaznać wiecznego pokoju? Moje myśli, ponownie powróciły do hipotezy, że może dokonałem niegdyś, w jednym z moich wcieleń, zbrodni o niewyobrażalnych rozmiarach, za którą ponoszę teraz odpowiedzialność, wędrując w Czasie i Przestrzeni. Nie byłem jednak w stanie sobie nawet wyobrazić, jak musiała wyglądać ta zbrodnia, jeśli zasługiwałem na tak przerażającą karę.

Zrobiło się jeszcze zimniej. W kufrze znalazłem rękawice, które szybko wciągnąłem na ręce, i naciągnąłem ciaśniej na siebie mój płaszcz z owczej wełny. Wciąż trzymając lejce w dłoniach, usiadłem na kufrze i zapadłem w drzemkę. Miałem nadzieję iż w ten sposób uda mi się, przynajmniej w niewielkim stopniu, ukoić moje rozdygotane nerwy.

Wciąż pędziliśmy poprzez bezkresne, lodowe połacie. Tysiące mil śniegu i lodu. Czyżby Ziemia zestarzała się do tego stopnia, że stała się jednym wielkim obszarem podbiegunowym?

Liczyłem na to, że już wkrótce dowiem się wszystkiego.

II. MIASTO Z OBSYDIANU

Mknąłem wśród niekończących się lodów, pod słabym, gasnącym Słońcem, zmierzając ku swemu przeznaczeniu. Długonogie niedźwiedzie nigdy nie przystawały, czasami tylko nieco zwalniały, ciągnąc mój ciężki, okuty srebrem i brązem rydwan. Było tak, jakby i ich, i mnie posiadała jakaś nieznana siła, i gnała nas w pożądanym przez siebie kierunku. Po niebie z rzadka tylko przesuwały się chmury, rudawego koloru, niczym powolne statki na falującym morzu; ani jeden przedmiot czy punkt na horyzoncie nie pozwalał na określenie upływu czasu. Nawet Słońce tkwiło w jednym punkcie niczym zamrożone, a gwiazdy nie przypominały mi żadnej spośród znanych mi konstelacji. Przyszło mi do głowy, że ta planeta przestała się obracać wokół własnej osi, a jeśli nawet się obracała, to był to ruch tak powolny i nieznaczny, że nie sposób było zauważyć go bez dokładnych przyrządów obserwacyjnych. Niewątpliwie otaczający mnie, monotony i posępny krajobraz nie pozostał bez wpływu na moje samopoczucie, pogarszając je jeszcze bardziej. Wtem, pośród mroku, zauważyłem coś, co ożywiło monotonię otaczającego mnie zewsząd lodu. Być może był to jedynie łańcuch przepływających nisko chmur, ale wpatrywałem się w to miejsce z rosnącą nadzieją. Niedźwiedzie nie żałowały sił, i już wkrótce przekonałem się, że domniemane chmury, to po prostu łańcuch górski, piętrzący się pośród lodowych bezdroży. Czy góry te były zbudowane z samego lodu, czy może z innego jeszcze budulca?

Może zbudowane były ze skał, co wskazywało by na to, iż nie cała planeta pokryta jest lodem? Dotąd nigdy nie widziałem podobnie stromych, niedostępnych zboczy. Głęboko rozczarowany, pomyślałem sobie, że to z pewnością lód, poddany działaniu wiatru, utworzył owe kanciaste turnie.

Gdy jednak zbliżyliśmy się do owych gór jeszcze bardziej, przypomniałem sobie wizje, jakie miałem, gdy zabierano mnie od Ermizhad. Teraz rzeczywiście wydawało mi się, że są to góry wulkaniczne, zbocza bowiem świeciły niczym kryształy – ich poblask stanowił mieszaninę zieleni, brązu i czerni.

Krzyknąłem na niedźwiedzie, aby ponaglić je do biegu; odkryłem przy tym, że znam ich imiona.

– Naprzód, Warczący! Naprzód, Wierny! Naprzód, Mruczący! Naprzód, Długoszponie! Szybciej!

Ich susy stały się jeszcze dłuższe i mknęliśmy teraz znacznie szybciej. Rydwan przechylał się, wstrząsał się od uderzeń o bryły lodu i podskakiwał.

– Szybciej!

Miałem słuszną przeczucie. Widziałem wyraźnie, że w tych rejonach lód ustępował skałom, które były gładziej niż szkło. Śnieg stawał się coraz cieńszy, a rydwan zaczął uderzać płozami o skały, takie same jak te, które stanowiły budulec owych gór. Góry były już całkiem blisko i widać było wyraźnie, że ich szpiczaste wierzchołki ukryte są w warstwie nisko wiszących chmur. Góry stwarzały wrażenie potęgi, ale zarazem i smutku. Dominowały nad okolicą, odnosiłem niekiedy wrażenie, że stanowią dla mnie zagrożenie, i na pewno nie przywoływały miłych skojarzeń. Ofiarowywały mi jednak jakąś

nadzieję i stanowiły urozmaicenie wśród lodowej pustyni. Wjechałem w prześwit między dwiema skalnymi ścianami, tworzący naturalną przełęcz. Po obu stronach miałem strome urwiska z bazaltu i obsydianu, a szczyty górskie były otoczone wianuszkiem chmur o różnobarwnych, dziwnych kolorach, które wyglądały niczym dym, gromadzący się wokół komina.

Miałem okazję, aby z bliska podziwiać piękno skalnych ścian. Co do ich wulkanicznego pochodzenia, nie sposób było mieć wątpliwości, bowiem wyższe partie zbudowane były z czegoś, co przypominało pumeks, a niższe z zielonego, czarnego i purpurowego obsydianu, ładnego i błyszczącego, dno z bazaltu, który tworzył kolumny, przypominające najpiękniejsze budowle gotyckiej architektury. Wyglądało to raczej na dzieło istot obdarzonych inteligencją, niż na samo istny wytwór sił przyrody. Bazalt był z wyglądu czerwono-błękitny, i miał budowę komórkową, niczym ogromny koralowiec. W jeszcze innych miejscach skały przypominały węgiel i miały barwę czarną lub brunatną. W wielu miejscach, skały poprzecinane były żyłami, mieniącymi się wszystkimi barwami tęczy; żyły te odbijały nawet to skąpe światło, jakie do nich docierało, i opalizowały intensywnie, niczym pawi ogon.

Domyślałem się, że te strony były ostatnim rejonem aktywności wulkanicznej, co sprawiło, że oparły się jak dotąd lodowcowej inwazji. -

Wjechałem w najwęższe miejsce przełęczy; skały były w niedalekiej odległości od siebie i obawiałem się, że mogą mnie zmiażdżyć. W niektórych skalnych ścianach wydrążone były jaskinie, i wydawało mi się, że widzę jakieś złowróżbne oczy, które mnie stamtąd obserwowały. Mocniej uchwyciłem swoją włócznię. Oprócz moich niejasnych obaw i wyobrażeń, zawsze przecież była możliwość, że w tych jaskiniach może się kryć całkiem realne niebezpieczeństwo. Przełęcz, którą jechałem, przecinała kilka łańcuchów górskich, wszystkie one przedstawiały równie piękny a zarazem robiący niesamowite wrażenie widok. Grunt stawał się coraz bardziej nierówny, co szczególnie utrudniało moim niedźwiedzim ciągnięcie. W końcu, choć wcale nie miałem na to ochoty, zmuszony byłem zatrzymać rydwan aby sprawdzić stan płóz i dać odpocząć niedźwiedzim. Instynkt podpowiadał mi, że wszystkie potrzebne mi sprzęty i narzędzia są ukryte w kufrze, otworzyłem więc wieko i po krótkich poszukiwaniach odnalazłem je w pudełku, zdobionym w podobny sposób, co i sam kufer. Spuściłem z upręży niedźwiedzie, uwiązawszy je tylko na postronkach, do rydwanu. Już jako Ereko odkryłem, że posiadam instynktowną zdolność do władania bronią i do obchodzenia się z końmi, i że wiem, jak nakłada się pancerz, jakbym go zawsze nosił, teraz zaś przekonałem się, że również rydwan nie ma przede mną tajemnic. Odpiąwszy płozy, przygotowałem rydwan do jazdy na kołach, dzięki czemu mógł on się szybciej poruszać, gdy wyruszyliśmy ponownie. Łatwiej też było teraz utrzymać równowagę.

Minęło jeszcze wiele godzin jazdy, nim wreszcie przebiliśmy się przez przełęcz, i znaleźliśmy się po drugiej stronie łańcucha górskiego. Gładkie skalne ściany ustąpiły teraz miejsca krystalicznemu piaskowemu plaży, przy której przelewało swe leniwe, ociążałe morze. W niektórych miejscach łańcuchy górskie schodziły bezpośrednio do morza, tworząc wystające rafy. Morze to z pewnością zawierało dużo soli, było znacznie bardziej zasolone, niż znane Johnowi Dakerowi Morze Martwe. Niskie, brązowe chmury wisiały nad powierzchnią wody w niebezpiecznie bliskiej odległości, ciemny, krystaliczny piasek plażowy wyglądał ładnie, lecz martwo, a światło słoneczne niemal tu nie docierało. Czuję się tak, jakbym dotarł do końca świata, do jego krawędzi, i jakby

zarazem również Czas miał się ku końcowi. Trudno byłoby uwierzyć, że możliwe jest tu życie, w jakiegokolwiek formie – człowieka, rośliny czy zwierzęcia.

Niedźwiedzie wbiegły wprost na plażowy piasek, nie zatrzymywały się jednak, skręcając w kierunku wschodnim, pędząc wzdłuż morskiego brzegu. Widok tego pęsnego, ciemnego oceanu, nie przywrócił mi dobrego humoru, pomimo że było tu nieco cieplej, niż na lodowcu. Teraz z kolei wyobraźnia stawiała mi przed oczami najprzeróżniejsze monstra, mogące zamieszkiwać czeluście tego oceanu, oraz przerażający obraz ludzi, żyjących w tych przeklętych stronach.

Zastanawiałem się właśnie nad odpowiedzią na owe pytania, gdy niespodziewanie odpowiedź przysłała do mnie sama – usłyszałem jakieś ludzkie głosy, a zaraz potem tych, którzy te głosy wydawali.

Jechali na wielkich zwierzętach, które nie były jednak wcale końmi, a dziwnymi, silnymi i muskularnymi zwierzętami o kończynach mogących służyć do pływania, i posiadającymi ogon, który – pozwalał im utrzymywać równowagę. Ku swemu zdziwieniu odkryłem, że zwierzęta te mogłyby być lwami morskimi, na jakimś bardzo wczesnym etapie swej ewolucji. Pyski miały podobne do psów, a oczy wielkie i przenikliwe. Siodła na ich grzbietach były umocowane w ten sposób, że jeździec znajdował się w pozycji niemal poziomej. Każdy z jeźdźców dzierżył w dłoniach pręt, który rozświetlał nieznacznie otaczający nas mrok.

Czy ci jeźdźcy byli jednak ludźmi? Ich ciała, odziane w zdobione pancerze, miały kształt cebulkowaty, a dla kontrastu – ręce i nogi prezentowały się raczej patykowate, a ukryte w hełmach głowy nie były zbyt duże. Uzbrojeni byli w miecze, włócznie i topory, czy to przymocowane do siodła, czy to schowane w pochwach. Ich głosy, wydostające się spod hełmu, dźwięczały głucho, odbijając się od okolicznych skał, nie mogłem jednak zrozumieć ani słowa. Umiejętnie kierowali swymi pokraccznymi rumakami, jadąc wzdłuż morskiego brzegu, aż znaleźli się w odległości zaledwie kilku metrów ode mnie. Zatrzymali się.

Ja również zatrzymałem mój rydwan.

Zapadła cisza. Położyłem dłoń na drzewcu mojej włóczni, a niedźwiedzie opadły, zmęczone, na ziemię. Przyjrzałem się bliżej nieznanym. Mieli dość dziwny, rzecz by można „żabi” wygląd, jeśli ich pancerze były dopasowane do ciała. Ich odzienie, a zwłaszcza pancerze, były do tego stopnia upstrzone ozdobami i ornamentami, że aż przeładowane. W tej masie wzorów nie sposób wręcz było odróżnić jakiegokolwiek poszczególnego detalu. Ich odzież miała z reguły kolor czerwony lub złoty, chociaż w mdłym świetle ich świecących prętów widać było również żółte i zielone fragmenty.

Po chwili milczenia, podczas którego nie kwapili się do rozpoczęcia rozmowy, odezwałem się pierwszy:

– Czy to wy jesteście tymi, którzy mnie wezwali? – spytałem.

Podnieśli przyłbice, nie wypowiedzieli jednak ani słowa.

– Kim jesteście? Czy mnie poznajecie?

Tym razem wypowiedzieli kilka słów do siebie nawzajem, nadal jednak nie odzywali się bezpośrednio do mnie. Popędzili swoje bestie i otoczyli mnie półkolem.

– Jestem Urlik Skarsol, – powiedziałem. – Czy to nie wy mnie wezwaliście?

Teraz odezwał się jeden z nich, głosem zniekształconym przez dudnienie hełmu.

– To nie my wezwaliśmy cię, Urliku Skarsol. Znamy jednak dobrze twoje imię, i prosimy cię, abyś zechciał być naszym gościem w mieście Rowenarc. Wskazał swym świecącym prętem w stronę, z której przyjechali. – Jesteśmy ludźmi biskupa Belphiga. Z pewnością pragnąłby cię ugościć.

– Jestem wam wdzięczny za gościnność – odparłem.

W głosie nieznanego wyczułem szacunek dla mojego imienia, zdziwiło mnie jednak niepomniernie, że nikt mnie nie oczekiwał. Dlaczego w takim razie niedźwiedzie przywiozły mnie aż tutaj? Czy było jeszcze jakieś inne miejsce, do którego można było się udać? Nie sądzę, aby za tym morzem mogło znajdować się cokolwiek innego, poza mroczną otchłanią. Widziałem oczyma wyobraźni, jak wody tego morza, lepkie i czarne, przechodzą stopniowo w nicość Wszechświata.

Wraz z moją eskortą ruszyłem wzdłuż plaży, aż dojechaliśmy tak do zatoczki, przy której znajdowały się strome, wysokie skały, na których ludzkimi rękami wykute były niezliczone schody i przejścia. Schody te prowadziły do skalnych korytarzy, łukowato sklepionych i zdobionych podobnie, jak zbroje mojej eskorty.

Powyżej położone korytarze znajdowały się niekiedy tak wysoko, że wejścia do nich zakryte były gęstymi, brązowymi, przylepionymi do skały chmurami.

Nie była to mała wioska czy osada skalna. Biorąc pod uwagę ogrom wykonanych tu prac, należało stwierdzić, że mamy do czynienia z wielkim, wykutym w błyszczącym obsydianie, miastem.

– Oto jest Rowenarc, – oznajmił najbliższy mi jeździec. – Rowenarc – Miasto z Obsydianu.

III. DUCHOWY PRZYWÓDCA

Schody, wiodące do ziejącego w skale otworu, były wystarczająco szerokie, aby pomieścić mój powóz. Niedźwiedzie z wahaniem rozpoczęły wspinaczkę.

Żabopodobni jeźdźcy wskazywali mi drogę, wspinając się coraz wyżej i wyżej po obsydianowych traktach, zwieńczonych barokowymi łukami i zdobionych girlandami. Zdobienia te, mimo że były dziełem mistrzowskiego rzemiosła, musiały być wytworem umysłu mrocznego i ponurego. Obejrzałem się na pogrążoną w mroku zatokę, brązowe chmury; wiszące nad tym nienaturalnym, odpychającym morzem, i wydało mi się nagle, że cały ten świat jest jedną, wielką, ponurą grota – zimnym, lodowcowym piekłem.

Jeśli ten krajobraz skojarzył mi się z piekłem, to późniejsze wydarzenia już wkrótce miały potwierdzić moje obawy.

W końcu dotarliśmy do korytarza, który był bardziej niż inne przeładowany zdobieniami – wszystkie wykute w różnobarwnym obsydianie – i zatrzymaliśmy się.

Lwy morskie zatrzymały się i zaczęły walić płetwami o podłoże w jednostajnym, dziwnym rytmie. Pod łukowatym sklepieniem zauważyłem teraz barierę. Mogły to być drzwi, ale drzwi wykonane z potężnej, porfirowej skały, na której wyryte były podobizny najdziwniejszych bestii i postaci przypominających w połowie człowieka, a w połowie zwierzę. Nie wiedziałem oczywiście, czy owe podobizny były tylko wytworem wyobraźni jakiegoś szaleńca, czy też jako wzór posłużyły im stwory aktualnie istniejące. Niektóre z tych rysunków były jednak na tyle wstrętne i odpychające, że starannie unikałem patrzenia na nie.

W odpowiedzi na dziwne zachowanie lwów morskich, drzwi zaczęły się cofać – cały, ogromny blok skalny cofał się do ukrytej za nim pieczary – co pozwoliło nam postąpić do przodu, i obejść drzwi. Koło mojego powozu zawadziło o krawędź drzwi, toteż musiałem uważnie manewrować, aby wjechać dalej. Izba, w której się znalazłem, była skąpo oświetlona prętami, podobnymi do tych, jakich używali członkowie mojej eskorty. Pręty te przypominały mi ręczne latarki, w których wyczerpywały się baterie. Dla prętów najwidoczniej była to ich maksymalna moc. Nie mogłem pozbyć się myśli, że lada moment owe skąpe światła również zgasną, a cały ten świat pograży się w zupełnym mroku.

Zabolę – jak przezwalem w myślach członków mojej eskorty – zeszedli ze swych płetwonogich rumaków i oddali je pod opiekę parobkom, którzy, ku mojej uldze, wyglądali jak zwykli ludzie, tyle że byli nieco bladzi i jakby przygaszeni. Ubrani byli w bluzy, pokryte tak gęstymi wymyślnymi haftami, że chyba nikt już tutaj nie wiedział, co właściwie miały przedstawiać. Zaczynałem nagle rozumieć tych ludzi. Żyjąc w swych skalnych miastach na umierającej planecie, otoczeni ponurymi lodowcami i posępnym morzem, spędzali zapewne całe dni na rzemieślniczej pracy, dodając jedną ozdobę za drugą, i produkując wyroby, będące odbiciem ich mrocznego wnętrza. W końcu sami dobrze nie rozumieli, co właściwie chcieli swą sztuką przekazać. Była to sztuka ginącej rasy, sztuka,

która zapewne ich przeżyje, a może nawet pozostanie na zawsze, gdy zniknie na tej planecie atmosfera.

Z dużym wahaniem oddałem mój rydwan i moją broń pachołkom, ale nie miałem innego wyjścia. Zarówno lwy morskie, jak i rydwan, zostały odprowadzone do bocznego, ciemnego korytarza, zaś członkowie mojej eskorty zostali ze mną. Jeden z nich wyciągnął szyję, po czym zdjął z głowy swój ciężki, ornamentowany hełm, odsłaniając bladą, jasną twarz ludzką, z zimnymi i zmęczonymi (jak mi się wydało) oczami. Zaczął rozwiązywać rzemienie swego pancerza, a gdy zdjął swoją zbroję, okazało się, że pod pancerzem miał na sobie gruby kaftan. Gdy zdjął również kaftan, okazało się, że proporcje jego ciała, są całkowicie normalne – Inni również pozdejmowali zbroje i oddali je giermkom. Aby nie pozostać w tyle, zdjąłem mój hełm i przewiesiłem go sobie przez lewe ramię.

Wszyscy ci ludzie byli bardzo bladzi, a ich oczy były bardzo dziwne, nie tyle zresztą nieprzyjazne, co przenikliwe. Mieli na sobie luźne bluzy, których każdy cał pokryty Dyl ciemnymi haftami, a także spodnie z podobnej tkaniny, bufiaste i wpuszczone do butów z barwionej skóry.

– No cóż, – westchnął rycerz, który zdjął zbroję jako pierwszy. – Jesteśmy wreszcie w Haradeiku. – Dał znak służącemu. – Poszukaj naszego Pana. Powiedz mu, że Morgeg powrócił wraz ze swoim patrolem. Powiedz też, że sprowadziliśmy mu gościa – Urlika Skarsola z Lodowej Bryły. Zapytaj go, czy zechce nas przyjąć na audiencji.

Zdziwiłem się. – Wiesz więc, że nazywam się Urlik Skarsol, – zwróciłem do Morgega. – Wiesz też, że pochodzę z Lodowej Bryły.

Przez usta Morgega przemknął lekki, zagadkowy uśmiech. – Wszyscy słyszeli o Urliku Skarsolu, ale nigdy przedtem nie słyszałem o człowieku, który osobiście go widział.

– Przedtem nazwałeś to miasto Rowenarc, teraz zaś użyłeś nazwy Haradeik.

– Rowenarc to nazwa miasta, Haradeik zaś oznacza naszą dzielnicę, którą opiekuje się nasz pan, biskup Belphig.

– A kim jest ten biskup?

– Jest jednym z naszych dwóch władców. Jest Duchowym Władcą Rowenarcu.

Morgeg mówił to niskim, smutnym tonem, który chyba był raczej typowym dla tego świata, niż odzwierciedlał nastroje chwili. Jego sposób mówienia był raczej bezceremonialny. Wyglądało na to, że nic się dla niego nie liczy, i nic go nie interesuje. Wydawał się być tak ponury, że niemal martwy, i tak ponury, jak cały ten świat.

Sługa powrócił po chwili.

– Biskup Belphig oczekuje na audiencji, – zwrócił się do Morgega.

W międzyczasie wszyscy pozostali rycerze rozeszli się do swoich zajęć, i w izbie pozostaliśmy tylko ja i Morgeg. Morgeg poprowadził mnie przez słabo oświetlony korytarz, którego każdy niemal

fragment był bogato zdobiony – nawet podłoga pokryta była mozaiką, natomiast z sufitu przyglądały mi się namalowane tam nimfy, harfy i inne zdobnicze motywy. Wkroczyliśmy do następnego przedpokoju, obeszlśmy następane drzwi i znaleźliśmy się w wielkim hallu.

Strop owej sali był wysoko sklepiony, a w niektórych miejscach niemal pionowy. Przy końcu sali znajdowało się podium, obwieszane draperiami. Po obu stronach podium znajdowały się wielkie, żarzące się koksowniki, rzucające czerwone światło i dymiące niemiłosiernie. U sufitu musiało zapewne znajdować się jakieś ujście dla tego dymu, bowiem w powietrzu, którym oddychałem, nie było go zbyt dużo. Koksowniki podtrzymywane były przez służących. Na ścianach i suficie widoczne były, wyryte w wulkanicznym szkłe, poskręcane, skulone, rzucające gniewne spojrzenia, szczerzące swe straszliwe kły, śmiejące się złośliwie, ryczące i groźne potwory. Niektóre z nich przypominały monstra, znane Johnowi Dakerowi z herbarzy. Były tam strzygi, satyry, ludzie-lwy, bazyliuszki, smoki, gryfy, jednorożce, salamandry, wilkołaki; były najprzeróżniejsze kombinacje ciał ludzi, ryb, ptaków i straszliwych bestii, a wszystkie te stwory były napastliwe, wbijające sobie wzajemnie szpony w grzbiec, kopulujące, splatające swe ogony, wydalające, umierające, rodzące się...

Zaiste, jeśli gdziekolwiek istniało Piekło, to musiało ono być tutaj.

Spojrzałem w kierunku podium. Na czymś w rodzaju tronu, siedziała tam niedbale jakaś postać. Zbliżyłem się do owego tronu, podświadomie oczekując, że osobnik, na nim siedzący będzie miał kolczasty ogon lub parę rogów.

Doszedłszy do podium, Morgeg stanął, i uklonił się. Postąpiłem podobnie.

Odciągnięto draperie, i moim oczom ukazała się wyraźnie rozparta na tronie postać – inna niż ta, jakiej oczekiwałem, i odmienna od bladych, smutnookich tutejszych ludzi, typu Morgega.

Rozległ się głęboki, zmysłowy, jowialny głos. – Witaj, hrabio Urliku. Jest dla nas zaszczytem, iż zechciałeś odwiedzić nasze szczerze nory, zwane Rowenarc; ty, który pochodzisz z wolnych, odkrytych lodowych przestrzeni.

Biskup Belphig był gruby, odziany był zaś w strojne szaty, tym bardziej podkreślające jego wysoką godność. Na głowie miał diadem, powstrzymujący jego długie, jasne włosy przed opadnięciem na czoło. Usta miał intensywnie czerwone, a oczy czarne. Z ogromnym zaskoczeniem zorientowałem się, że używa kosmetyków. Gdyby nie one, byłby pewnie równie blady, jak Morgeg i cała reszta. Jego włosy były pewnie ufarbowane, policzki pokryte różem, usta pomalowane, a rzęsy miał sztuczne.

– Witaj, biskupie Belphigu, – odpowiedziałem na powitanie. – Dziękuję Duchowemu Przywódcy Rowenarcu za gościnność, i chciałbym prosić o możliwość zamienienia z nim na osobności kilku słów.

– Ach! Drogi hrabio, masz zapewne mi do przekazania jakąś wiadomość! Oczywiście. Morgeg – i cała reszta – wyjdźcie stąd na moment. Nie oddalajcie się jednak zanadto, abyście mogli mnie usłyszeć, gdy tylko będę was potrzebował.

Uśmiechnąłem się nieznacznie. Biskup Belphig obawiał się, czy czasem nie jestem skrytobójcą.

Gdy wyszli, Belphig wykonał szeroki ruch swą ciężką od pierścieni ręką. – No, mój hrabio? Jaką wiadomość masz mi do przekazania?

– Nie mam żadnej wiadomości, – powiedziałem. – Mam tylko pytanie, a właściwie kilka pytań.

– Zadaj je więc, mój panie! Zadaj je!

– Po pierwsze, chciałbym wiedzieć, skąd wy wszyscy znacie moje imię. Po drugie, chciałbym wiedzieć, czy to ty, panie, wezwałeś mnie dzięki swej mistycznej mocy. Pozostałe moje pytania zależą od tego, jakie odpowiedzi uzyskam na dwa pierwsze pytania.

– No cóż, mój drogi hrabio, twoje imię jest znane wszystkim! Jesteś legendą, jesteś bohaterem, opiewanym w pieśniach. Powinieneś to wiedzieć!

– Przypuśćmy, że dopiero co obudziłem się z długiego snu. Przypuśćmy, że straciłem pamięć. Opowiedz mi jedną z tych legend.

Biskup Belphig zmarszczył brwi i dotknął grubymi, przystrojonymi w klejnoty palcami do swych karminowych ust. Jego głos stał się spokojniejszy, i bardziej refleksyjny.

– Dobrze, przypuśćmy to. Mówi się, że było czterech Władców Lodu – Północy, Południowy, Wschodni i Zachodni. Wszyscy oni umarli, oprócz Władcy Południowego Lodu, który został zamrożony w wielkiej bryle lodowej przez czarnoksiężnika, a zostanie z niej uwolniony wtedy, gdy jego ludowi grozić będzie wielkie niebezpieczeństwo. Wszystko to miało miejsce w starożytności, zaledwie sto czy dwieście lat po tym, jak lód zniszczył słynne miasta naszej planety – Barbart, Lanjis Liho, Korodune i pozostałe.

Te nazwy były mi dziwnie znajome, ale opowieść biskupa nie pobudziła we mnie żadnych wspomnień.

– Czy legenda mówi coś jeszcze?

– To właściwie cała ich treść. Mógłbym może znaleźć jakieś książki, omawiające te sprawy.

– A czy to nie ty wezwałeś mnie, panie?

– Po cóż miałbym cię wzywać? Prawdę mówiąc, hrabio Urliku, to wcale nie wierzę w legendy.

– A czy wierzysz w nie teraz? Czy nie uważasz mnie za oszusta?

– Czemu miałbyś oszukiwać? A jeśli nawet, to byłoby dla mnie dobrą zabawą udawać, – że ci wierzę, i uznawać cię – za hrabiego Urlika.

Uśmiechnął się. – Niewiele nowego dzieje się w Rowenarcu, a my uwielbiamy to.

Również się uśmiechnąłem – Szanuję takie podejście, biskupie. Nadal jednak jestem w rozterce. Niedawno temu znalazłem się wśród lodów, jadąc rydwanem. Moje imię było mi znajome, ale wszystko inne jest dla mnie dziwne. Jestem, mój panie, istotą, której wola niewiele znaczy. Jestem wielkim bohaterem, którego się wzywa, kiedykolwiek jest potrzebny. Nie będę zanudzał cię szczegółami mojej tragedii, powiem więc tylko, że nie byłbym tutaj, gdybym nie był wezwany do walki. Jeśli to nie ty mnie wezwałeś, to może wiesz, kto to mógł uczynić?

Belphig uniósł ze zdziwieniem brwi, po czym rzucił im zagadkowe spojrzenie. – Nie mogę jak na razie przedstawić ci żadnych sugestii, hrabio Urliku. Jedyna groźba, jaka wisi nad Rowenarcem jest i tak nieunikniona. Za jakieś sto czy dwieście lat lód przekroczy łańcuch górski i nas zniszczy. W międzyczasie postaramy się spędzić ten czas najlepiej, jak potrafimy. Możesz się do nas przyłączyć, jeśli tylko zgodzi się na to nasz Doczesny Władca. Musisz tylko nam obiecać, że opowiesz nam całą swą historię, bez względu na to, jak dziwna by ona nie była. Oferujemy ci w zamian nasze rozrywki. Jako nowe, mogą być dla ciebie interesujące.

– Czy Rowenarc nie ma żadnych wrogów?

– W każdym razie nie ma takich, którzy mogliby stanowić zagrożenie dla niego. Jest kilka band, złożonych z ludzi wyjętych spod prawa, trochę piratów – słowem wyrzutki, jakie gromadzą się wokół każdego miasta. To bez znaczenia.

Potrząsnąłem głową z niedowierzaniem. – Może wewnątrz miasta są jakieś frakcje czy grupy, zamierzające, powiedzmy, odsunąć od władzy ciebie, panie i Władcę Doczesnego?

Belphig zaśmiał się. – Doprawdy, widzi mi się książe, że ponad wszystko przedkładasz walkę! Mogę cię zapewnić, że w mieście nie ma tego typu problemów. Naszym jedynym wrogiem jest przeraźliwa nuda, a teraz, gdy do nas przybyłeś, wróg ten został zmuszony do ucieczki!

– Wobec tego przyjmuję z wdzięcznością waszą gościnę, – odrzekłem. – Przyjmuję i dziękuję za nią. Zapewne macie tutaj biblioteki, i wielu uczonych.

– Wszyscy jesteśmy uczonymi w Rowenarc. Tak, mamy biblioteki, i z wielu z nich będziesz mógł skorzystać.

Pomyślałem sobie, że w każdym razie będę tu miał czas, aby zastanawiać się nad możliwie szybkimi sposobami powrotu do mojej ukochanej Ermizhad i do wspaniałego świata Eldrenów, dla którego ten świat był tylko nędzną atrapą rzeczywistości. Nadal przy tym nie mogłem uwierzyć, że zostałem tutaj wezwany bez jakiegoś wyraźnego celu. A może, z uwagi na moją nieśmiertelność, miałem stać się świadkiem końca naszej planety?

– Nie mogę jednak, – ciągnął biskup, – podjąć tej decyzji samodzielnie. Musimy zasięgnąć opinii mojego współrządcy, Władcy Doczesnego. Jestem pewien, że wyrazi swą zgodę i przyjmie cię bardzo serdecznie. Przeznaczmy ci oddzielny apartament, niewolników i wszystko inne. Myślę, że to wszystko ożywi znacznie gnuśny żywot Rowenarcu.

– Nie potrzebuję niewolników, – wtrąciłem.

Biskup Belphig zachichotał. – Poczekaj, zanim ich zobaczysz. Dopiero wtedy podejmiesz decyzję. Rzucił mi rozbawione spojrzenie swymi podmalowanymi oczami. – Może pochodzisz z czasów, w których trzymanie niewolników było nie na miejscu, czy tak? Czytałem, że bywały w dziejach takie okresy. U nas jednak niewolników nie trzyma się wcale przemocą. Niewolnikami są tylko ci, którzy chcą nimi być. Jeśli wybiorą cokolwiek innego, to są kim innym. Tu jest Rowenarc, mój hrabio, gdzie wszyscy mężczyźni i kobiety mają wolny wybór.

– Ty zaś wybrałeś, aby być Duchowym Przywódcą?

Biskup uśmiechnął się. – W pewnym sensie tak. Ten tytuł jest dziedziczony, ale wielu, którzy mogli, z racji urodzenia, go przyjąć, zrezygnowało, poświęcając się innym zajęciom. Mój Brat, na przykład, jest zwykłym żeglarzem.

Byłem zaszokowany, – Pływacie po tym gęstym od soli morzu?

– Znów muszę powiedzieć: w pewnym sensie tak. Jeśli zwyczaje Rowenarcu są ci nieznane, to poznanie ich może być dla ciebie, bardzo ciekawe.

– Z pewnością, – odpowiedziałem. W głębi duszy zaś pomyślałem, że na pewno wiele z nich wcale mi się nie spodoba. Zostałem tutaj rasę ludzką, znajdującą się na ostatnim etapie dekadencji, pełną perwersji, beznadziei, dekadencji, której głównym rysem był kompletny brak ambicji. Nie byłem w stanie jednak ich winić – nie mieli przed sobą naprawdę żadnych perspektyw. We mnie samym także było coś takiego, co zgodne było z cynizmem biskupa Belphiga. Ja także nie miałem w życiu jasnego, wytyczonego celu.

Biskup uniósł głos. – Niewolnicy! Morgeg! Możecie wrócić.

Szybko wpadli do naszej mrocznej izby, z Morgegiem na czele.

– Słuchaj, Morgeg, – powiedział biskup, – wyślij posłańca do Władcy Doczesnego. Niech zapyta, czy Władca zechce przyjąć na audiencji hrabiego Urlika Skarsola. Jeśli się zgodzi, to zaoferujemy hrabiemu naszą gościnę.

Morgeg skłonił się, i opuścił izbę.

– Myślę, że najlepiej uprzyjemnisz sobie czas oczekiwania, mój panie, jedząc ze mną obiad, – zaproponował Belphig. – W naszych ogrodach jaskiniowych rosną warzywa i owoce, a morze dostarcza nam mięsa. Mój kucharz jest najlepszy W całym Rowenarcu. Zgadzasz się?

– Z przyjemnością, – odparłem, zdając sobie nagle sprawę z faktu, iż omal nie umieram z głodu.

IV. DOCZESNY WŁADCA

Posiłek, mimo że, jak na mój gust, zbyt tłusty i zanadto przyprawiony, smakował wybornie. Gdy kończyliśmy jeść, powrócił Morgeg oznajmiając, iż Władca Doczesny wyraził zgodę na audiencję.

– Odnalezienie go zajęło nam trochę czasu, – dodał Morgeg, rzucając Belphigowi znaczące spojrzenie. – Jeśli jednak nasz gość tego pragnie, to może go przyjąć na audiencji choćby i teraz. – Mówiąc to, spojrzał na mnie swymi bladymi, zimnymi oczami.

– Czy najadłeś się i napiłeś wystarczająco, hrabio? – zwrócił się do mnie biskup Belphig. – Może masz jeszcze na coś ochotę?

Wytarł małą, brokatową chusteczką swą zatłuszczoną twarz.

– Dziękuję za wspaniały poczęstunek, – odpowiedziałem, wstając. Wino było nie najlepsze, i zasolone, pomogło jednak w odpędzeniu uporczywych myśli związanych z Ermizhad. Myśli te wciąż nie dawały mi spokoju i chyba opuszcza mnie dopiero wtedy, gdy ją wreszcie odnajdę.

Wyszedłem wraz z Morgegiem z tej niesamowitej izby. Będąc już u drzwi, obejrzałem się, chcąc raz jeszcze podziękować biskupowi za przyjęcie. Widok, jaki ujrzałem, był zaiste kuriozalny. Biskup rozmazywał właśnie sos na ciele jednego z niewolników, i właśnie zabierał się do jego zlizywania.

Odwróciłem się szybko od owego widoku i przyspieszyłem kroku, idąc ku Wejściu.

– Prowincja Władcy Doczesnego zwana jest Dhatgard i leży bezpośrednio nad naszą. Musimy przejść na wyższą kondygnację.

– Czy wewnątrz skały są korytarze, łączące poszczególne kondygnacje? – spytałem.

Morgeg wzruszył ramionami. – Myślę, że są. Łatwiej jest jednak wyjść na galeryjkę, niż przebijać się przez kolejne drzwi w nieznanym terenie.

– Czy te oznacza, że wielu korytarzy wcale nie używacie?

Morgeg przytaknął – Jest nas teraz mniej, niż pięćdziesiąt lat temu. Dzieci jest obecnie bardzo mało.

– Mówił tak spokojnie i beznamiętnie, iż odnosiło się wrażenie, że rozmawia się z przywróconym do życia trupem.

Przekroczyliśmy wielką bramę Haradeiku i wyszliśmy na galerię, z której rozpościerał się imponujący widok na morze, skały i zatokę. Było teraz nawet bardziej ponuro, niż poprzednio, chmury zasnuły bowiem horyzont całkowicie, tworząc czarną, nieprzezroczystą skorupę. Ogarnęło mnie uczucie, zbliżone do klaustrofobii. Pospiesznie opuściłem galerię, dochodząc do łukowatej

bramy, zdobionej nieco inaczej, niż ta na niższej kondygnacji.

Morgeg złożył dłonie w trąbkę, i zakrzyknął: – Hrabia Urlik Skarsol przychodzi na audiencję do Władcy Doczesnego!

– Jego głos odbił się przytłumionym echem pośród gór. Rozglądałem się wokół, jednak nigdzie nie mogłem zobaczyć ani nieba, ani Słońca.

Rozległ się cichy trzask, po czym drzwi otworzyły się, na tyle tylko, abyśmy zdołali przez nie przejść. Znaleźliśmy się w przedpokoju, który był nawet ciemniejszy i słabiej oświetlony, niż poprzedni. Oczekiwał na nas niewolnik, odziany w prosty, biały uniform. Zadzwoił srebrnym dzwoneczkiem, i drzwi zamknęły się ponownie. Mechanizm, zamykający drzwi, musiał być bardzo skomplikowany, nigdzie nie widziałem bowiem lin czy łańcuchów.

Korytarz, którym teraz szliśmy był bliźniaczo podobny do tego, który widziałem w „prowincji” Belphiga, tyle że nie było płaskorzeźb, a w ich miejscu widniały liczne malowidła. Malowidła te były jednak tak stare, a oświetlenie tak skąpe, że nie sposób było określić, co właściwie przedstawiają. Nasze kroki dudniły głucho na pokrytej dywanami podłodze. Za kolejnym zakrętem, dotarliśmy do łukowatego przejścia, pozbawionego drzwi, zamiast których była tam tylko zasłona z miękkiej, delikatnej skóry. Taka prostota nie pasowała mi do Rowenarcu, byłem jednak tym bardziej zaskoczony, gdy sługa odciągnął zasłonę i Wprowadził nas do sali, której ściany były całkiem nagie, pomalowane białą farbą. Izbę jasno oświetlały potężne lampy. Lampy były z pewnością lampami naftowymi, wydzielały bowiem charakterystyczną Woń, Pośrodku sali stało biurko, i dwie ławki.

Morgeg rozejrzał się po sali z wyraźną dezaprobatą. – Zostawiam cię tutaj, hrabio Urliku. Z pewnością Władca Doczesny niedługo się zjawi.

Gdy Morgeg wyszedł, służący poprosił mnie, abym zajął miejsce w ławce, co niezwłocznie uczyniłem, kładąc obok siebie mój hełm. Ławka była równie prosta i pozbawiona ozdób, jak reszta izby. Nie pozostało mi nic innego, jak spoglądać na puste, białe ściany, milczącego sługę, stojącego przy wejściu, lub ciężkie, proste biurko. Siedziałem tak chyba około godziny, gdy wreszcie w progu ukazała się jakaś wysoka postać. Wstałem natychmiast, z dużym trudem maskując zdziwienie, które usiłowało uzewnętrznić się na moim obliczu.

Przybyły dał mi ręką znak, abym usiadł, po czym z nieobecny wyrazem twarzy zasiadł za biurkiem.

– Jestem Shanosfane, – powiedział.

Jego skóra była czarna i gładka; twarz była koścista i ascetyczna. Pomyślałem ironicznie, że chyba zaszła tu jakaś pomyłka – sądząc po wyglądzie, to biskup Belphig powinien być Władcą Doczesnym, a Shanosfane – Przywódcą Duchowym. Shanosfane odziany był w luźną, białą togę. Jedynym ozdobnikiem tej szaty był jakiś symbol, wyszyty na lewym ramieniu, który miał zapewne oznaczać sprawowaną funkcję. Oparł swe dłonie o długich palcach na biurku, i przyglądał mi się zamyślonym i nieobecnym spojrzeniem, zdradzającym jednak wielką inteligencję i refleksyjność.

– Jestem Urlik, – odpowiedziałem równie prosto i treściwie, mając nadzieję, iż zadowolę tym swego rozmówcę.

Skinął głową, wpatrując się w blat biurka i kreśląc na nim palcami figury geometryczne. – Belphig mówił, że pragniesz tutaj pozostać. Jego głos był niski i donośny.

– Powiedziano mi, że mogę tu znaleźć wiele książek, które mogą okazać się pomocne.

– Rzeczywiście, jest tu mnóstwo książek, chociaż większość z nich opisuje dziwaczne tematy. Prawdziwa wiedza nie interesuje już mieszkańców Rowenarcu, hrabio Urliku. Czy biskup Belphig powiedział ci to?

– Stwierdził jedynie, że właśnie tutaj mogę znaleźć wiele książek, i że tutaj, w Rowenarcu, wszyscy są uczonymi.

W ciemnych oczach Shainosfane'a błysnęła ironia. – Uczonymi? Czemu nie. Uczonymi w sztuce perwersji.

– Wydajesz się nie pochwalać swoich własnych ludzi, panie.

– Jak mógłbym pochwalać to przekłete plemię, hrabio Urliku? My wszyscy jesteśmy przekłeci – i oni, i ja. Naszym nieszczęściem jest to, że narodziliśmy się na krawędzi Czasu...

– Nie jest to nieszczęściem, jeśli Was wszystkich i tak oczekuje śmierć, – powiedziałem ze Współczuciem.

– A czy ty nie obawiasz się śmierci? – zapytał, przyglądając mi się z zaciekawieniem i uwagą.

Potrząsnąłem głową. – Nie zaznam śmierci. Jestem nieśmiertelny.

– Naprawdę więc pochodzisz z Lodowej Bryły?

– Nie znam miejsca swych urodzin. Wcielałem się już w różnych bohaterów i widziałem różne stadia rozwoju Ziemi.

– Naprawdę? – zainteresował się. Ożywił się; jego zainteresowanie miało jednak podłoże czysto intelektualne – nie było w nim współczucia ani emocji. – Jesteś więc podróżnikiem, podróżującym po oceanie Czasu?

– Jestem, choć chyba nie w takim sensie, jaki pan ma na myśli.

– Wiele stuleci temu – czy może tysiącleci – żył na Ziemi pewien lud, który posiadał umiejętność przemieszczania się w czasie, i opuścił naszą planetę, wiedział bowiem, że jest ona skazana na zagładę. To niewątpliwie tylko legenda, podobnie jak legendy, opowiadane o tobie, hrabio Urliku. Ty jednak istniejesz naprawdę.

– Wierzysz więc, że nie jestem oszustem?

– Chyba ci wierzę. W jakim to sensie, o którym mówiłeś, przenosisz się w czasie?

– Przenoszę się tam, gdzie jestem wzywany, bez znaczenia, czy jest to przeszłość, teraźniejszość czy przyszłość. Może ma to związek z cyklicznością świata, ale całkiem możliwe, że istnieje po prostu wiele światów i wiele równorzędnych istnień. Historia tej planety może być położona poza mną i poza moimi wszystkimi wcieleniami, może też zawierać je wszystkie.

– To bardzo dziwne... – Shanosfaine zamyslił się, muskając brwi swymi delikatnymi dłońmi. – Nasz świat jest tak zwarty i określony, podczas gdy twój jest ogromny i chaotyczny. Jeśli – proszę mi wybaczyć – nie jest pan szaleńcem, to niektóre z moich teorii znalazły by potwierdzenie. To interesujące...

– Moją intencją jest, – wtrąciłem, – aby znaleźć sposób powrotu do jednego z moich światów, jeśli nadal istnieje, i pozostać tam za wszelką cenę.

– Nie podnieca cię możliwość przenoszenia się z jednego świata do drugiego, z jednej epoki w drugą?

– W końcu ma się tego dość, Lordzie Shanosfaine. Zwłaszcza wtedy, gdy na jednym z tych światów żyje istota, którą się kocha całym sercem, i która tę miłość odwzajemnia.

– Jakim sposobem znalazłeś ten świat?

Zacząłem opowiadać. Sam nie wiedząc kiedy, opowiedziałem mu całą moją historię, od momentu, gdy John Daker został wezwany przez króla Rigenosa aby pomóc Ludzkości w walce z Eldrenami. Przedstawiłem mu też strzępy moich snów, przedstawiających inne moje wcielenia i wszystko to, co zdarzyło mi się aż do chwili, gdy patrol z Rowenarcu spotkał mnie na plaży. Słuchał wszystkiego z wielką uwagą, wpatrując się w sufit, i nie przerywając mi aż do końca. Gdy skończyłem opowieść, milczał przez chwilę, po czym skinął na swego sługę:

– Przynieś wody i trochę ryżu.

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad moimi słowami. Zastanawiałem się, czy jednak nie uważa mnie za pomyłeńca.

– Mówisz, że zostałeś tutaj wezwany, – powiedział w końcu. – Ale przecież to nie my cię wezwaliśmy. Powinniśmy więcej uwagi poświęcać legendom, bowiem może być w nich zawarta odpowiedź na nasze wątpliwości.

– A czy istnieje ktoś, kto mógłby mnie wezwać?

– Tak.

– Biskup Belphig mówił, że to raczej nieprawdopodobne.

– Belphig lubi brać swoje nastroje za rzeczywistość. Koło Rowenarcu są różne plemiona, nawet pod powierzchnią morza znajdują się miasta. Są też, W końcu, także Srebrni Rycerze, którzy mieli te

miasta zniszczyć.

– Belphig nie wspomniał wcale o Srebrnych Rycerzach.:– Może zapomniał. Już od bardzo dawna nie mamy o nich wiadomości.

– Kim oni są?

– Och, to straszliwi niszczyciele. Motywy ich działań są niejasne.

– Skąd pochodzą?

– Jak sądzę, pochodzą z Księżyca.

– Nie widziałem Księżyca na tutejszym niebie. Gdzie on jest?

– Podobno ma być na przeciwnej stronie naszego globu, choć mówi się, że podobno opuścił nasze niebo dawno temu. Tak twierdzą nieliczni świadkowie, jakich znam.

– Czy owi Srebrni Rycerze są ludźmi?

– Wedle tego, co mi przedstawiono – nie.

– A czy nie stanowią dla was zagrożenia? Czy nie mogą zdobyć Rowenarcu?

– To całkiem możliwe. Myślę, że chcą mieć naszą planetę dla siebie.

Byłem zaszokowany beznamiętnym tonem, jakim wypowiadał te słowa. – Czy nie niepokoi cię, panie, wizja waszej zagłady?

– A niech sobie wezmą tę naszą planetę. Jaki z – niej mamy pożytek? Już wkrótce i tak zniszczą naszą rasę masy lodu, które przybliżają się do nas tym bardziej, im bardziej gaśnie Słońce. Oni są bardziej przystosowani do takiego życia, aniżeli my.

Jego argumenty były w miarę logiczne, nie trafiały mi jednak do przekonania. Nigdy dotąd nie zetknąłem się z takim brakiem zainteresowania własnym losem. Byłem w stanie podziwiać tych ludzi, ale nie umiałem im współczuć. Moim przeznaczeniem była walka, i choć nie wiedziałem jeszcze, z kim i o co mam w tym dekadentycznym świecie walczyć, to zawsze moje myślenie było myśleniem żołnierza. Gdy tak zastanawiałem się nad odpowiedzią, czarnoskóry Władca Doczesny wstał.

– No cóż, – powiedział, – będziemy jeszcze mieli okazję podyskutować. Możesz mieszkać w Rowenarcu dopóty, dopóki sam nie zechcesz nas opuścić.

Mówiąc te słowa, wyszedł z izby. W tejże chwili wszedł sługa, niosący wodę i tacę z ryżem. Widząc że jego pan wychodzi, ruszył w ślad za nim.

Teraz, po spotkaniu z obu władcami Rowenarcu – Duchowym i Doczesnym, byłem jeszcze bardziej dezorientowany niż wtedy, gdy się tu zjawiłem. Dlaczego Belphig nie wspomniał ani

słowem o owych dziwnych Srebrnych Rycerzach? Czy moim zadaniem było walczyć z tymi istotami, czy może to właśnie mieszkańcy Rowenarcu mieli być moimi przeciwnikami?

V. CZARNY MIECZ

Takim to sposobem, rozdzierany tęsknotą za Ermizhad i poczuciem ogromnej straty, jaka mnie dotknęła, osiadłem w Rowenarcu, Mieście z Obsydianu.

Myślałem, przerzucałem niezliczone skrypty i księgi i analizowałem je – wszystko zaś po to, aby znaleźć wyjście z mojej sytuacji i rozstrzygnięcie dla moich dylematów. Mimo wszystko, z każdym dniem pogłębiała się tylko moja rozpacz i tęsknota. Powiedziałem – z każdym dniem – ale tak naprawdę, to w Mieście z Obsydianu nie było czegoś takiego jak dzień czy noc. Ludzie zasypiali, wstawali i jedli wtedy, gdy mieli na to ochotę, nie bacząc na porę doby; pory te były przy tym właściwie niemożliwe do rozróżnienia – po prostu przez cały czas było ciemno. Wszelkie inne, potrzeby i upodobania tych ludzi załatwiane były również w dowolnym czasie; tych potrzeb było zresztą niezbyt wiele i były niezbyt ambitne.

Otrzymałem apartament na „piętrze”, położonym bezpośrednio pod Haradeikiem, prowincją biskupa Belphiga. Pomimo że mój pokój nie był aż tak przeładowany ozdobami, jak pokoje biskupa, to bardziej odpowiadały mi prostota, jaką prezentował Shanosfane. Dowiedziałem się zresztą później, że to właśnie on zarządził usunięcie większości ozdób i dekoracji z Dhotgardu, gdy objął tam władzę po śmierci swego ojca. W każdym razie mój apartament był bardziej niż komfortowy – chyba najbardziej zniewieściały sybaryta byłby nim zachwycony.

Jedynym moim problemem – zwłaszcza przez kilka pierwszych tygodni mego pobytu – byli goście, którzy nie dawali mi chwili wytchnienia. Dla erotomana byłaby to zapewne gratka nie lada, dla mnie jednak, wciąż pamiętającego o Ermizhad, była to istna zmora. Kobiety, jedna za drugą, nachodziły mnie w mojej sypialni, oferując mi swe wdzięki i pieśczoły, o jakich zapewne nawet Faust nigdy nie słyszał. Ku ich ogromnemu zaskoczeniu, tak grzecznie, jak tylko umiałem, lecz stanowczo – odmawiałem. Przychodzili też mężczyźni, z podobnymi propozycjami. Ponieważ w Rowenarcu nie było to wcale sprawą wstydliwą, odmawiałem im, również siląc się na uprzejmość. Czasami wpadał do mnie biskup Belphig, wraz ze swą świtą – młodymi niewolnikami, równie wypacykowanymi kosmetykami, jak on. Przynosił wykwintne jedzenie, na które nie miałem apetytu, przynosił erotyczne książki, które mnie nie interesowały, i składał mi propozycje, które napawały mnie odrazę. Ponieważ zawdzięczałem dach nad głową i możliwość korzystania z bibliotek właśnie jemu, to starałem się być wobec niego uprzejmy i nie zrażać go, mimo że budził we mnie wstręt samym swoim wyglądem.

Podczas wizyt w bibliotekach byłem świadkiem scen, którym równe można znaleźć jedynie w „Piekle” Dantego. Biblioteki znajdowały się na różnych „piętrach”, i w każdej z nich orgie były rzeczą codzienną. Tortury były sprawą całkiem tu oczywistą i wielu świadków o nich opowiadało, najdziwniejsze zaś było to, że ofiary tortur zgłaszały się na ochotnika! Nawet morderstwa nie były tu przestępstwem, bowiem regułą było, iż zabijany pragnął śmierci równie gorąco, jak mordujący – zabijania. Ten blady naród pozbawiony był przyszłości, nadziei, a jedyną jego przyszłością była śmierć, toteż ulubionym zajęciem tutejszych ludzi było doznawanie na przemian to bólu, to znów rozkoszy.

Rowenarc był miastem szaleńców. Mieszkańcy ogarnięci byli nieustającą nerwicą, i szkoda mi było tych wyrafinowanych, utalentowanych ludzi, którzy spędzali czas, jaki im jeszcze pozostał, na równinie samodestrukcyjnych zajęciach. Groteskowe galerie, sale i korytarze rozbrzmiewały okrzykami – piskliwym, świdrującym śmiechem, wyciem przerażenia, jękami, chrząknięciami i postękiwaniem. Wędrując tamtędy, potykałem się często o ciała martwych, lub nieprzytomnych od narkotyków ludzi, często zaś musiałem wyzwać się z napastliwych objęć nagich dziewcząt, nierzadko całkiem jeszcze niedojrzałych.

Również książki, jakie znalazłem w bibliotekach, nie były zbyt budujące. Lord Shanosfane słusznie mnie przed nimi ostrzegał. W większości były to przykłady dekadencjonalnej prozy, tak zagmatwanej, że niemal niezrozumiałej. Nie tylko literatura piękna, ale także wszystko inne, było w ten sposób napisane.

Mimo najszczerzej chęci, nie udało mi się Wyłowić z tego bełkotu niczego konkretnego. Zdarzało się, że gdy zniechęcony lekturą, wychodziłem z biblioteki, napotykałem na galerii Lorda Shanosfane, włóczącego się bez celu, ze skupioną, ascetyczną twarzą, podczas gdy jego poddani rzucali mu złośliwe spojrzenia, lub wykonywali w jego kierunku nieprzyzwoite gesty. Niekiedy unosił głowę, rozglądał się, po czym szedł dalej. Gdy spotkałem go kilka pierwszych razy, pozdrawiałem go, on jednak ignorował mnie tak samo, jak ignorował wszystkich innych. Zastanawiałem się, jakie myśli przenikają ten dziwny, chłodny umysł. Byłem przekonany, że gdyby udzielił mi jeszcze jednej audiencji, to skorzystałbym z niej o wiele Więcej, niż z lektury tych wszystkich ksiąg. Od tamtej pierwszej audiencji nie zgodził się mnie jednak ponownie przyjąć.

Mój pobyt w Rowenarcu sam w sobie przypominał sen, i w tym zapewne tkwiła przyczyna, iż w czasie moich pierwszych pięćdziesięciu nocy nic mi się nie śniło. Pięćdziesiątej pierwszej nocy, znowu nawiedziły mnie senne majaczenia. Gdy leżałem u boku Ermizhad, przeklinałem te nocne zmory, teraz zaś, przyjąłem je niemal z ulgą...

Stałem na wzgórzu, rozmawiając z rycerzem, pozbawionym oblicza, odzianym w pancerz żółtej i czarnej barwy.

Błada, szara flaga bez ozdób łopotą na ustawionym koło nas maszcie.

Poniżej, w dolinie, płonęły miasta i wioski. Ogień ogarniał całą okolicę. Kłęby czarnego dymu unosiły się ku górze, co jakiś czas zasłaniając sceny owej rzezi. Wydawało się, jakby to cała rasa ludzka walczyła w tej dolinie – walczyli tam wszyscy, oprócz mnie. Widziałem wielkie armie, maszerujące w różnych kierunkach. Widziałem kruki i sępy, uczujące na pobojuwisku. W oddali słyszałem dźwięki werbli, trąbek i dział.

– Ty jesteś Hrabia Urlik Skarsol z Lodowej Bryły, – powiedział rycerz bez twarzy.

– Jestem Erekoze, przybrany władca Eldrenów, – odparłem stanowczo.

Rycerz zaśmiał się. – Już nie, wojowniku. Już nie.

– Dlaczego jestem zmuszony tyle wycierpieć, Żółto-czarny Rycerzu?

– Nie musisz wcale cierpieć, jeśli tylko pogodzisz się ze swym losem. W końcu jesteś przecież nieśmiertelny. Możesz nawet i zginąć, ale zginie tylko któreś z twoich wcieleń, a ty będziesz żył w innych wcieleniach.

– Ale przecież to właśnie świadomość tego sprawia mi największy ból! Gdybym mógł nie pamiętać moich poprzednich wcieleń, to mógłbyś mi wierzyć, że to, które właśnie przeżywam, jest moim jedynym życiem!

– Wiciu ludzi oddałoby wszystko, żeby mieć taką świadomość.

– Moja wiedza jest tylko częściowa. Znam moje przeznaczenie, ale nie wiem, czym sobie na nie zasłużyłem. Nie znam nawet struktury mojego świata, przez którego bezkresy wędruję, raz tu, raz tam.

– To jest świat przypadkowy i chaotyczny. Nie ma on uporządkowanej struktury.

– Przynajmniej tego się dowiedziałem.

– Odpowiem na każde pytanie, jakie mi zadasz. Czemu miałbym kłamać?

– Niech więc tak brzmi moje pierwsze pytanie: Czemu miałbyś kłamać?

– Jesteś zbyt sprytny, Panie Mistrzu, aby cię zwieść. Aby cię oszukać, musiałbym kłamać.

– A czy kiedykolwiek kłamiesz”?

– Odpowiem ci, że...

Żółto-czarny rycerz znikł. Wrogie sobie nawzajem armie maszerowały tymczasem wokół wzgórz, to schodząc z gór w dolinę, to znów się wspinając. Każda z tych armii śpiewała inną pieśń; jedna z tych pieśni dotarła do moich uszu.

„Wszystkie imperia upadają. Wszystkie stulecia przemijają, Każda walka jest bezcelowa, Wszyscy królowie opuszczają trony, Wszelka nadzieja jest daremna, Tylko Tanelorn pozostaje – Nasz Tanelorn pozostaje...”

Prosta, żołnierska piosenka, ale zabrzmiała ona dla mnie tak, jakby miała mi do przekazania jakieś niezmiernie ważne treści. Może wywodzę się z owego tajemniczego miejsca, zwanego Tanelorn? A może właśnie jego szukam?

Nie potrafiłem określić, która to z owych armii śpiewała tę piosenkę. Było ją zresztą słycać coraz słabiej.

„Słowa przemina, Rozplyną się w mroku, Tylko Tanelorn pozostanie -

Nasz Tanelorn pozostanie...”

Tanelorn.

Poczucie ogromnej straty, jaka mnie dotknęła, stanęło przede mną wraz z imieniem Ermizhad, i połączyło się ze słowem Tanelorn. Pomyślałem sobie, że może jeśli uda mi się odnaleźć Tanelorn, odkryję klucz do mego przeznaczenia, odkryję sposób na zakończenie mojej tułaczki i niedoli...

Na przeciwnej stronie równiny stała teraz inna postać, a w dole nadal płonęły miasta i wsie, maszerowały armie, wrzała walka.

Spojrzałam na tę postać.

– Ermizhad!

Ermizhad uśmiechnęła się ze smutkiem. – Nie jestem wcale Ermizhad! Tak jak ty masz jedną duszę, która może przyjmować różne formy, tak Ermizhad ma jedną tylko – formę, ale wiele dusz.

– Istnieje tylko jedna Ermizhad!

– To prawda, ale wiele postaci ją przypomina.

– Kim więc jesteś?

– Jestem po prostu sobą.

Odwróciłem się. Wiedziałem, że ona mówi prawdę, i nie jest wcale Ermizhad, ale nie byłem w stanie patrzeć w oblicze Ermizhad – zanadto doskwierała mi tęsknota. Miałem poza tym już dość zagadek.

Wówczas ona odezwała się: – Wielu słyszało o Tanelorn. Wielu go szukało. To prastare miasto. Miasto, które przetrwało wieczność. Chcesz tam dotrzeć?

– Jak mógłbym tam dotrzeć, do Tanelorn?

– Tylko tobie dane jest zadać takie pytanie, Mistrzu.

– Gdzie leży Tanelorn? Czy w świecie Urlika?

– Tanelorn istnieje w wielu zakresach, na różnych planach i wymiarach. Tanelorn jest wieczny. Czasami jest ukryty, niekiedy zaś widoczny dla wszystkich. Mało kto zdaje sobie sprawę z rzeczywistej natury tego miasta. Tanelorn ma wielu bohaterów.

– Czy w Tanelorn będę mógł odnaleźć Ermizhad?

– Odnajdziesz tam wszystko to, co naprawdę pragniesz odnaleźć. Najpierw jednak musisz ponownie wziąć do ręki miecz – Czarny Miecz.

– Ponownie? Czyżbym brał go kiedykolwiek?

– Tak, wielokrotnie.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– Sam będziesz wiedział. Zawsze – wiedziałeś o Czarnym Mieczu, który był twoim przeznaczeniem i twoją tragedią.

Mówiąc, te słowa, zniknęła. Miasta tymczasem płonęły nadal, armie maszerowały, a nad moja głową wciąż powiewał spłowiejały sztandar bez oznaczeń.

Tymczasem w miejscu, w którym ona przed chwilą stała, zmaterializował się jakiś stwór, nie będący człowiekiem; rozplynał się ponownie, stając się dymem, po czym przyjął zupełnie inny kształt.

Rozpoznawałem ten kształt. Był to Czarny Miecz. Olbrzymi, czarny miecz o szerokim ostrzu, pokryty pismem runicznym i innymi przerażającymi znakami.

Rzuciłem się do tyłu.

– NIE! NIGDY WIĘCEJ NIE PODNIOSEŃ CZARNEGO MIECZA!

Rozległ się donośny, sardoniczny śmiech, pełen zła i mądrości, który pochodził jakby z samego miecza:

– W TAKIM RAZIE NIGDY NIE ZAZNASZ POKOJU!

– IDŹ PRECZ!

– JESTEM TWÓJ – TYLKO TWÓJ. ALBOWIEM TY TYLKO, JEDYNY SPOŚRÓD ŚMIERTELNYCH, MOŻESZ MNIE UNIEŚĆ!

– ODMAWIAM!

– WIĘC CIERP DALEJ!

Obudziłem się, krzycząc, mokry od potu. Usta i gardło były suche.

Czarny Miecz. Znałem już teraz to imię, i wiedziałem, że jest on związany z moim przeznaczeniem. Ale cała reszta mojego snu? Czy była to tylko nocna zmora, czy może miała mi do przekazania jakieś zaszyfrowane, symboliczne treści? Nie umiałem odpowiedzieć sobie na to pytanie. W ciemności wyciągnąłem rękę, i natknąłem się na żywe, ciepłe ciało.

Ermizhad była przy mnie!

Przyciągnąłem to ciało do siebie. Szukałem ust, aby je pocałować. Jej usta zbliżyły się do moich. Były to usta lubieżne i pożądlive. Jej ciało zbliżyło się gorączkowo do mojego. Kobięcy głos zaczął mi szeptać do ucha sprośne słowa. Odkoczyłem od niej z przekleństwem. Opanowała mnie wściekłość i rozczarowanie.

To nie była Ermizhad. To tylko jedna z kobiet z Rowenarcu wślizgnęła się do mojego łóżka, w czasie gdy ja śniłem swój straszny sen. Rozpacz przechodziła falami przez mój umysł...Zaszlochałem głośno. Kobieta zaśmiała się.

Wówczas opanowało mnie nagle jakieś dziwne uczucie, obce mi i nieznane. Gwałtownie obróciłem się w kierunku dziewczyny.

– Bardzo dobrze, – powiedziałem, – jeśli jesteś taka rozkoszna, to skorzystajmy z tego!

Rankiem obudziłem się, wyczerpany, w moim rozbebeszonym łóżku, podczas gdy owa kobieta zesła już z niego i oddalała się właśnie chwiejnym krokiem, z bardzo dziwnym wyrazem twarzy. Nie sądzę, aby doświadczyła ze mną zbyt przyjemności, podobnie zresztą, jak ja z nią. Gardziłem sam sobą za to, co zrobiłem. A zrobiłem to tylko i wyłącznie po to, aby pozbyć się sprzed oczu nieznośnego widoku, widoku, który nie dawał mi spokoju – Widoku Czarnego Miecza. To ten właśnie widok zmusił mnie do tego, co zrobiłem. Byłem szczęśliwy, jeśli udało mi się wyzbyć widoku Czarnego Miecza choćby na kilka chwil.

Następnego nocy nie nawiedzały mnie sny, ale przepelniony byłem obawami. Gdy dziewczyna, którą poprzedniej nocy doprowadziłem do wyczerpania, przyszła do mnie znowu wdzięcząc się, chciałem ją natychmiast odprawić, ona jednak powiedziała, iż ma dla mnie wiadomość od biskupa Belphiga, którego niewolnicą podobno była.

– Mój pan mówi, że zmiana otoczenia mogłaby poprawić twój temperament. Jutro biskup wypływa na wielkie morskie polowanie i pyta, czy nie zechciałbyś mu towarzyszyć.

Odrzuciłem z niechęcią książkę, którą usiłowałem na próżno zgłębić. – Tak, – odrzekłem. – Popłynę. To zawsze lepsze, niż tracenie czasu na te przeklęte, głupie książki.

– Czy weźmiesz mnie z sobą, Lordzie Urliku?

Rozgorączkowany wyraz jej twarzy, jej wilgotne usta i sposób jej poruszania się, wszystko to działało na mnie odpychająco. Opanowałem się jednak.

– Czemużby nie?

Zachichotała. – Czy mogą wziąć ze sobą kogoś z moich przyjaciół?

– Rób jak chcesz.

Gdy wyszła, runąłem kolanami na twardą, obsydianową podłogę, objąłem głowę ramionami i zapłakałem.

– Ermizhad! Ach, Ermizhad!

VI. WIELKIE, SŁONE MORZE

Następnego ranka spotkałem się z biskupem Belphigiem na zewnętrznej galeryjce. Moje oczy przyzwyczyły się już nieco do stale panującego tu półmroku, toteż widziałem wyraźnie ukrytą pod warstwą kosmetyków twarz. Widoczne były wydatne szczęki, podkrążone oczy; zacięte, lubieżne usta, rowki wokół ust, zdradzające wyuzdanie. Wszystko to było pokryte warstwą kolorów i kremów, które potęgowały jedynie ogólne, szkaradne wrażenie. Świta Duchowego Przywódcy była razem z nim – umalowani chłopcy i dziewczęta, wszyscy chichoczący i przymilający się. Przenosili bagaż, który miał być zabrany na pokład, drżąc z zimna na podmuchach przenikliwego wiatru.

Biskup ujął mnie swą tłustą dłonią pod ramię, i poprowadził na czoło całego zgromadzenia. Ruszyliśmy w kierunku zatoczki, przy której oczekiwał już na nas jakiś bardzo dziwny okręt. Gest biskupa wcale mi się nie spodobał. Obejrzałem się, aby stwierdzić, czy słudzy niosą również moją broń.

Nieśli. Widziałem wyraźnie moją długą, okutą srebrem włócznię, i topór bojowy. Sam nie wiem czemu poleciłem zabrać mój oręż, ale biskup najwyraźniej nie uznał wcale mojej decyzji za niestosowną i nie przeciwstawił się jej, choć nie wiem, czy mu się spodobała.

Pomimo całej dekadencji i beznadziei, ogarniającej to miasto, sam Rowenarc nie był ani nieprzyjemnym, ani niebezpiecznym dla mnie miastem. Ci ludzie nie zagrażali mi, a skoro już raz się przekonali, iż nie podzielałam ich namiętności, dali mi spokój i pozwolili mi zajmować się tym, co sam wolałam. Wszyscy oni byli z natury neutralni wobec wszystkiego i wszystkich. Nawet Shanosfane był głęboko przesycony obojętnością wobec otaczającego go świata.

Co innego biskup Belphig. Było w nim coś złowieszczonego i ponurego; zaczynałem podejrzewać, że jest on może jedynym członkiem tej dziwnej społeczności, który kieruje się jakimiś własnymi motywami, aczkolwiek perwersyjnymi, że poza poszukiwaniem nowych sposobów przyjemnego spędzania dni, ma jeszcze inne, przyświecające mu cele. Z pozoru – biskup był najbardziej rozwiązły i zapamiętały w poszukiwaniu przyjemności, i chyba tylko moje purytańskie oko mogło w nim zobaczyć zagrożenie. Pomyślałem sobie, że może jego rozwiązłość jest tylko na pokaz, dla otoczenia.

– No, mój drogi hrabio, jak ci się podoba nasz okręt?

Belphig wskazał swą tłustą, obciążoną klejnotami dłonią, w kierunku statku. Strój biskupa składał się z bulwiastego pancerza, takiego samego jak te, które mieli na sobie rycerze z patrolu, który mnie odnalazł; na ramiona narzucony miał brokatowy płaszcz.

– Nigdy w życiu nie widziałem statku, dziwniejszego niż ten, – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Byliśmy już bardzo blisko brzegu, toteż statek był doskonale widoczny. Był zakotwiczony blisko plaży, gdzie oczekiwała nas grupka postaci, w których domyślałem się załogi okrętu. Długość okrętu wynosiła około czterdzieści stóp, a wysokość kadłuba – około dziesięciu. Okręt był podobnie przesadnie zdobiony, jak Wszystko w Rowenarcu. Poza reliefami z brązu, srebra i złota, głównym

elementem tego okrętu była wysoka piramida, o stopniach wykonanych z równo przyciętych desek, wznosząca się nad kadłubem. Na szczycie piramidy znajdował się pomost, na którym łopotało kilka flag. Kadłub okrętu wysklepiony był ponad powierzchnię wody dzięki wspornikom, przytwierdzonym do szerokiej, płaskiej, i lekko pofałdowanej płachty gładko wypolerowanego metalu, przypominającego swym wyglądem włókno szklane; płachta ta spoczywała na powierzchni wody. Masztów na okręcie nie było, po obu stronach kadłuba znajdowały się jednak duże koła obrotowe, z szerokimi łopatkami do zagarniania wody. Koła te przypominały nieco koła parowców, nie posiadały jednak żadnych dodatkowych połączeń z kadłubem. Łopatki te nie wydały mi się zresztą wystarczające, aby wprawić w ruch tak ociężały statek, jak ten.

– Musicie mieć zapewne bardzo potężne silniki, – zauważyłem.

– Silniki? – zachichotał Belphig. – Nie mamy żadnych silników.

– W takim razie...?

– Poczekaj, aż znajdziemy się na pokładzie.

Ludzie, oczekujący na plaży, mieli ze sobą dwie lektyki, przeznaczone dla mnie, i dla biskupa. Dotarliśmy do nich, idąc po drobnym, krystalicznym plażowym piasku. Następnie Belphig wszedł do – jednej z lektyk, ja zaś, z pewnym wahaniem, do drugiej. Nie miałem jednak wyboru, bowiem alternatywą było z pewnością płnięcie przez wstrętą, nieprzezroczystą morską wodę, na sam widok której robiło mi się niedobrze. Powierzchnia morza pokryta była szarą, cuchnącą pianą, a woń sęchliwy natrętnie przewiercała moje nozdrza. Zapewne gdzieś tutaj Rowenarc odprowadzał do morza swoje ścieki.

Lektyki zostały uniesione do góry, a niewolnicy, niosący je, brnęli w stronę okrętu poprzez wodę, o konsystencji budyniu, w której, jak się okazało, rosły jakieś dziwne, czarne jak węgiel glony. W końcu dotarliśmy tak do burty naszego okrętu, a lektyki zostały złożone u stóp piramidy. Weszliśmy po stopniach do góry, aż znaleźliśmy się na pomoście, z którego mogliśmy obserwować załadunek reszty załogi i naszej świty. Zajęli oni położone niżej galeryjki. Dziób statku został uniesiony i wykrzywiony; miał on swoją własną galeryjkę, osłanianą sztabą upstrzonego ozdobami metalu. Z tej to właśnie galeryjki spuszczone do wody coś, co okazało się linami. Liny te przymocowano do podpór – zapewne były to liny kotwiczne. Rozglądając się po statku, odnosiłem wrażenie, że znajduję się we wnętrzu gigantycznej furmanki, nie zaś statku, który ma wyruszyć w morze, a potęgowały to wrażenie łopatkowe koła, zamocowane na szprychach. Podeszedł do minie niewolnik, i wręczył mi moją włócznię i topór. Podziękowałem mu, po czym umieściłem mój oręż w specjalnie przygotowanym do tego celu luku. Belphig spojrział w niebo, tak jak patrzy każdy żeglarz, przed wyruszeniem w rejs, aby sprawdzić pogodę. Patrząc na ciężkie, brązowe chmury i na postrzępione górskie szczyty, nie byłem w stanie zauważyć żadnej zmiany w tutejszej monotonnej, ponurej aurze. Słońca jak zwykle niemal nie było widać, a jego skąpe światło zasłaniała pokrywa chmur. Narzuciłem na siebie mój gruby, ciepły płaszcz, i niecierpliwie oczekiwałem, że biskup Belphig wyda rozkaz odpłynięcia. Żałowałem teraz mojej pochopnej decyzji towarzyszenia Duchowemu Przywódcy w jego wyprawie. Nie miałem zielonego pojęcia ani na co będziemy polować, ani w jaki sposób. Mój niepokój był spotęgowany niejasnymi przypuszczeniami, iż biskup wziął mnie z sobą nie dlatego, żeby rozproszyć moją nudę i dostarczyć mi rozrywki; W każdym razie nie tylko dlatego.

Morgeg, będący prawą ręką biskupa, zbliżył się do nas, idąc po stopniach piramidy, i zameldował swemu panu o gotowości do Wyplłynięcia w morze.

– Możemy wyruszać, Władco.

– To świetnie. Belphig położył mi rękę na ramieniu w poufałym geście. – Teraz zobaczysz, jakie mamy „silniki”, drogi hrabio. – Uśmiechnął się tajemniczo do Morgega. – Wydadaj stosowne rozkazy, Morgeg.

Morgeg wychylił się przez balustradę i dał znak ludziom, siedzącym w dziobowej galeryjce. Ludzie ci, odziani w pancerze, przywiązani byli do swoich siedzeń i mieli liny, te, które uważałem za liny kotwiczne, owinięte wokół swoich ramion. W dłoniach mieli bicz, a u boku harpuny.

– Uwaga! – wrzasnął Morgeg przez złożone w trąbkę dłonie. Ludzie ci wyprostowali się, i odciągnęli swe ramiona, trzymając bicz. – Zaczynać!

Bicze równocześnie uderzyły z hukiem o powierzchnię wody. Po trzecim takim smagnięciu, zauważyłem, iż woda w okolicy dzioba burzy się, a z mętnej toni poczęły wynurzać się jakieś kształty. Były to cztery ogromne, zdeformowane głowy; głowy te zwróciły swe oblicza w kierunku dziobowej galeryjki. Z paszcz potworów wydobywały się dziwne, warczące odgłosy, a ich monstrualne, węzowate ciała wili się pod powierzchnią wody. Ich głosy były spłaszczone, a z ich pysków wyzierały długie, proste kły. Potwory miały założoną uprzęż, a biczownicy, szarpiąc za Wodze, zmusili je do obrócenia się w pożądanym kierunku. Kolejne uderzenie bicz zmusiło bestie do pociągnięcia statku. Statek zaskrzypiał i wyruszył, łopatki nie przecinały jednak wody (jak to sobie wyobrażałem), lecz stanowiły koła, utrzymujące statek na powierzchni wody, niczym rydwan. I tym właśnie ten okręt był – rydwanem wodnym, przeznaczonym do przesuwania się po powierzchni morza, a ciągniętym przez te wstrętne bestie, będące czymś pośrednim między legendarnymi węzami morskimi, a lwami morskimi ze świata Johna Dakera, przy dodaniu im jeszcze (jakby było mało) niektórych elementów „urody” tygrysa szablodziobego!

Makabryczne potwory ciągnęły groteskowy okręt po makabrycznym morzu.

Gdy bicz uderzyły mocniej, smagając grzbiety bestii, szybkość naszej jazdy zwiększyła się, koła zaczęły obracać się szybciej i już wkrótce ponure wybrzeża Rowenarcu znikły nam z pola widzenia.

Byliśmy osamotnieni na tym mrocznym, piekielnym oceanie.

Biskup Belphig ożywił się. Włożył hełm na głowę i uniósł przyłbicę. W tym stalowym garnku, jego oblicze wyglądało jeszcze bardziej groteskowo.

– Jak ci się podoba nasz napęd, hrabio Urliku?

– Nigdy przedtem nie widziałem podobnych bestii. Nie byłbym chyba nawet w stanie ich sobie wyobrazić. Jak zdołaliście je wytresować?

– O nie, one są udomowione i specjalnie w tym celu hodowane. Niegdyś w Rowenarcu było wielu wynalazców. Oni to wybudowali nasze miasto, zbudowali kanały, dzięki którym ciepło, ukryte

we wnętrzu naszej planety, ogrzewa nasze miasto. Zbudowali, a wcześniej zaprojektowali nasze okręty. Oni też wyhodowali różne rasy pożytecznych zwierząt. Było to, oczywiście, ponad tysiąc lat temu. Teraz nie potrzebujemy już takich wynalazców...

Zdziwiło mnie nieco to dziwne oświadczenie, nie wyraziłem jednak moich wątpliwości. Zamiast tego, zapytałem: – A na jakie stwory będziemy polować, Panie?

Belphig wciągnął głęboki łyk powietrza, wyraźnie podniecony. – Na jelenie morskie. To bardzo niebezpieczne. Możemy wszyscy zginąć.

– Sama myśl o śmierci na tym okropnym morzu jest przygnębiająca, – odrzekłem.

Zachichotał. – Tak, to wstrętna śmierć. Kto wie, może nawet najgorsza śmierć, jaka może się przydarzyć na tym świecie. Ale przecież jest to tak bardzo podniecające i piękne.

– Może dla was.

– Ależ, hrabio Urliku. Już myślałem, że zaczynasz lubić nasze rozrywki.

– To prawda, że jestem bardzo wdzięczny za waszą gościnność. Bez niej zapewne spotkałby mnie tragiczny koniec.

Ale w odniesieniu do waszych rozrywek, nigdy nie użyłbym słowa „lubić”.

Oblizał usta, jego oczy błysnęły lubieżnie. – Ale z tą dziewczyną, którą wysłałem...?

Odetchnąłem ciężko zimnym, zasolonym powietrzem. – Tej nocy gnębiły mnie senne mary, a po przebudzeniu się, znalazłem ją u mego boku. Wziąłem ją niemal za część mojego snu.

Belphig zaśmiał się głośno i klepnął mnie po ramieniu. – Ty lubieżniku! Nie krępuj się, w Rowenarcu nie trzeba być wstydliwym. Dziewczyna opowiedziała mi wszystko!

Odwrociłem się, opierając się oburącz o balustradę i spoglądając w ciemne, spienione wody. Warstwa soli oszroniła mi twarz, chroniąc ją przed zimnem. Przyniosło mi to ulgę.

Potwory morskie ciągnęły tymczasem nasz wodny rydwan, szarpiąc się i warcząc, my zaś mknęliśmy po gęstej od soli wodzie. Biskup Belphig chichotał bez przerwy i wymieniał spojrzenia z Morgegiem, o twarzy bez wyrazu. Niekiedy chmury rozpraszały się na moment, a wówczas widać było czerwone, matowe Słońce, świecące słabo, niczym klejnot, zawieszony pod dachem mrocznej izby. Innym razem znowu chmury zbijały się w tak gęstą, nieprzeniknioną masę, że zapadał nieprzenikniony mrok, rozświetlany jedynie sztucznymi światłkami naszych wbudowanych w końcówki prętów latarek. Łagodny wietrzyk rozwiewał poły mego płaszcza i rozpościarał z łopotem zatknięte na drzewcach sztandary, nie powodował jednak najmniejszego nawet pofałdowania morskiej toni.

Męka mojej duszy nie ustępowała. Moje usta układały się, aby wypowiedzieć imię Ermizhad, nie miały jednak odwagi go wymówić, aby nie przysparzać sobie tym większych cierpień.

Nasz rydwan wodny wciąż toczył się do przodu. Jego załoga, niewolnicy rozpaczy, snuli się bezmyślnie po pokładach, albo apatycznie wpatrywali się w morską toń. Przez cały czas w powietrzu rozlegał się donośny, obsceniczny śmiech biskupa Belphiga, a jego policzki trzęsły się od chichotu. Zaczynałem myśleć, że śmierć w odmętach tego cuchnącego oceanu nie byłaby chyba aż tak nieprzyjemna.

VII. DZWON I KIELICH

Belphig udał się w końcu do swej kabiny, zabierając swoich niewolników, a dziewczyna, którą onegdaj wysłał do mnie biskup, zbliżyła się do mnie, stojącego na pokładzie i ujęła swą ciepłą dłonią moją zziębniętą rękę.

– Panie! Czy już mnie nie chcesz?

– Oddaj się Morgegowi lub komukolwiek innemu, kto cię tylko zechce, – odrzekłem głucho – i błagam cię, byś zapomniała o tym, co się zdarzyło.

– Ależ, panie, przecież pozwoliłeś mi przyprowadzić ze sobą kogoś z moich przyjaciół. Myślałam, że umiesz już odnajdywać przyjemność w naszych rozrywkach.

– Nie bawią mnie wasze rozrywki. Odejdź wreszcie.

Zostawiła mnie samego na pokładzie. Potarłem moje zmęczone oczy. Także były pokryte warstewką soli. Po niedługim czasie i ja zszedłem na dół, do mojej kabiny, zamknąłem dokładnie drzwi i, nie zwracając nawet uwagi na wygodną koję, wyłożoną futrami i jedwabiem, ułożyłem się na hamaku (zapewne przyniesiono go tu dla kogoś ze służących). Zasnąłem bardzo szybko. Napłynęły do mnie sny, ale były to sny bardzo blade i niewyraźne. Kilka scen. Kilka słów. Dopiero monotonna, jednostajna wyliczanka sprawiła, że zacząłem drzeć, a po chwili obudziłem się:

– CZARNY MIECZ

– CZARNY MIECZ

– CZARNY MIECZ

– CZARNY MIECZ TO MIECZ MISTRZA

– SŁOWO MIECZA JEST PRAWEM DLA MISTRZA

– CZARNY MIECZ

– CZARNY MIECZ

– CZARNY MIECZ

– NA OSTRZU MIECZA JEST KREW SŁOŃCA

– RĘKOJEŚĆ MIECZA I DŁOŃ STANOWIĄ JEDNOŚĆ

– CZARNY MIECZ

– CZARNY MIECZ

– CZARNY MIECZ

– ZNAKI RUNICZNE NA KLINDZE MIECZA ODKRYWAJĄ TAJEMNICĘ MĄDROŚCI

– IMIENIEM MIECZA JEST KOSA

– CZARNY MIECZ

– CZARNY MIECZ

– CZARNY...

Monotonny rytm wypowiedzianych słów rozsadzał mi czaszkę. Otrząsnąłem się i wyskoczyłem z hamaka. Na zewnątrz kabiny słychać było pospieszne kroki, które potem przeniosły się na pokład. Poszedłem do umywalni, gdzie opłukałem zimną wodą ręce i twarz, po czym obficie zdobionym korytarzykiem udałem się na pokład.

Był tam już Morgeg i gromada innych ludzi. Wychylali się przez balustradę, nastawiając bacznie uszu, pod porywy wiatru. Na dziobie tymczasem wciąż trwało smaganie biczami ciągnących nas bestii.

Morgeg oderwał się na mój widok od balustrady. W jego bladych oczach widać było niepokój i zakłopotanie.

– Co tu się dzieje? – zapytałem.

Wzruszył ramionami. – Zdawało się nam, że coś usłyszeliśmy. Dźwięk, jakiego nigdy dotąd nie słyszeliśmy na tych wodach.

Przez chwilę wsłuchiwałem się uważnie w odgłosy nocy, ale słyszałem jedynie odgłos smagających wodę batów i pluskot uderzających o wodę łopatek. A potem usłyszałem to. Było to słabe buczenie, rozlegające się przed nami. Wpatrywałem się w gęstą, brązową mgłę. Buczenie powtórzyło się.

– To dźwięk dzwonów! – powiedziałem.

Morgeg aż podskoczył. – Dzwony! Może przed nami znajdują się skały i ma to nas ostrzec przed nimi?

Po chwili zastanowił się jednak. – To niemożliwe. Gdyby tu były rafy, to „sleyahy” – tu wskazał na ciągnące nas bestie – od razu by je wyczuły.

Dźwięk dzwonów narastał. Pochodzić musiał z ogromnego dzwonu, był bowiem niski i powodował na naszym okręcie wibracje. Zaniepokoiły się nawet nasze morskie potwory. Usiłowały skręcić, ale bicze kierujących zmusiły je do utrzymywania kursu. Dzwonienie rosło z każdą chwilą,

aż ogarnęło nas ze wszystkich stron. Na pokładzie ukazał się biskup Belphig. Nie miał teraz na sobie zbroi, lecz coś co przypominało nocną koszulę, na którą narzucił obszerne futro. Kosmetyki, na jego twarzy były rozmazane i mię było ich tyle, co zawsze. Z pewnością dzwonienie przerwało mu jego zwyczajowe orgie. Na jego twarzy widać było przerażenie.

– Czy wie pan, biskupie, skąd pochodzi dzwonienie? – spytałem go.

– Nie. Nie mam pojęcia.

Nie dowierzałem mu jednak, i przypuszczałem, iż zna, lub przynajmniej się domyśla przyczyny dzwonienia. Widziałem też, że boi się tego dźwięku.

Morgeg powiedział: – To Bładrak -

– Cisza! – przerwał mu obcesowo Belphig. – To przecież niemożliwe.

– Co oznacza słowo Bładrak? – zapytałem.

– Nic takiego, – wymamrotał Morgeg, rzucając znaczące spojrzenie biskupowi.

Nie wiedziałem wciąż, o co chodzi, ale podejrzliwość i niepokój, jakie opanowały mnie zaraz po wejściu na pokład tego dziwnego statku, jeszcze wzrosły.

Dzwonienie stało się teraz tak głośne, że aż bolesne dla uszu.

– Zmienić kurs! Skierujcie statek w innym kierunku, – wołał Belphig. – Morgeg, wydaj rozkazy. Szybko!

Jego obecne przerażenie wydało mi się dość zabawne, w zestawieniu z typową dla niego pewnością siebie i samozadowoleniem.

– Czy zawracamy do Rowenarcu? – spytałem.

– Tak, my... – zaczął, lecz zamilkł nagle. Wzdrygnął się, łypnął oczami na mnie, to znów na Morgega, aż wreszcie skupił spojrzenie na balustradzie.

– Nie, myślę że nie, – oznajmił w końcu.

– Dlaczego zmieniłeś zdanie? – spytałem.

– Bądź cicho, przeklęty! – zawołał, natychmiast jednak się opanował. – Wybacz mi, hrabio Urliku. To wina tego straszego hałasu. Moje nerwy...

Oddalił się szybko, schodząc do swej kabiny.

Dzwonienie było wciąż donośne, ale kierujący zdołali już skierować „sleyahy” w innym kierunku. Bestie ryczały i miały się w wodzie, lecz statek zmienił kurs. Kierujący kilkakrotnie smagnęli

bestie biczami, toteż nasza – prędkość zwiększyła się. Dzwonienie zaczęło nieco słabnąć. Wraz ze wzrostem prędkości naszego statku, rosła siła wstrząsów, spowodowanych uderzeniami kadłuba o powierzchnię wody, Nasz wodny rydwan wstrząsał się i podskakiwał, toteż musiałem mocno uchwycić oburącz za balustradę.

Dzwonienie stopniowo zanikało, aż w końcu zapadła niczym nie zmacona cisza. Biskup Belphig ukazał się ponownie, tym razem odziany w swój pancerz, i z narzuconym na niego płaszczem. Na twarzy znów miał warstwę kosmetyków, mimo to widziałem jednak, że cerę ma bardziej bladą niż zwykle. Ukłonił się, aby mnie powitać, i skinął głową Morgegowi. Próbował się uśmiechać.

– Bardzo mi przykro, że przez chwilę straciłem głowę, hrabio Urliku, ale dopiero co wstałem, i byłem zdezorientowany. Ten dźwięk był przy tym bardzo niepokojący, nieprawdaż?

– Bardziej niepokojący dla pana, biskupie Belphigu, niż dla mnie. Wydawało mi się, że rozpoznaje pan ten dźwięk.

– To nieprawda.

– Podobnie zresztą jak Morgeg, który wypowiedział imię – Bładrak...

– To tylko morska legenda, – Belphig machnął lekceważąco swą tłustą dłoń. – Ta legenda mówi o potworze, Bładraku, którego głos ma przypominać dźwięk ogromnego dzwonu. Oczywiście Morgeg, który jest z natury przesadny, pomyślał sobie, że to właśnie Bładrak przybył tu, aby nas – ha! ha! – połknąć.

Zaśmiał się piskliwie, ale jego chichot nie był wcale przekonywający. Jako gościowi, nie wypadało mi jednak zadawać dalszych pytań na ten temat. Musiałem przyjąć do wiadomości, przynajmniej pozornie, jego słowa, które były, moim zdaniem, pospiesznie wymyślonym kłamstwem. Podczas gdy Belphig instruował Morgega co do dalszego kursu okrętu, ja udałem się do kabiny. W kabinie zastałem dziewczynę, którą już przedtem odpędzałem. Leżała na łóżku, kompletnie naga. Uśmiechała się do mnie. I ja się do niej uśmiechnąłem, po czym wskoczyłem do mojego hamaka.

Nie dane mi było jednak pospać tej nocy zbyt długo.

Nie zdążyłem jeszcze zasnąć, gdy usłyszałem dochodzące z pokładu okrzyki. Natychmiast wstałem, i udałem się tam. Tym razem nie było dzwonków, za to Morgeg i Belphig wykrzykiwali coś w kierunku żeglarza, siedzącego na najniższym pokładzie. Dobiegł do mnie głos żeglarza.

– Przysięgam, że widziałem! To światło portowe!

– Jesteśmy o wiele mil od stałego lądu, – nie dawał za wygraną Morgeg.

– W takim razie, panie, mógł to być statek.

– Czyżby znowu zmaterializowała się jakaś legenda? – zwróciłem się do Belphiga.

Na mój widok wzdrygnął się i wyprostował.

– Doprawdy, hrabio, nie wiem, co się dzieje. Zapewne żeglarz miał jakieś przywidzenia. Widzę, że gdy zdarzy się na morzu jakieś niewytłumaczalne zdarzenie, to wnet musi wydarzyć się drugie. Dobrze, co?

Przytaknąłem. To brzmiało prawdopodobnie. Nagle jednak zauważyłem jakieś światełko. Wskazałem na nie ręką. – To musi być jakiś inny okręt.

– Jak na okręt, to światełko jest zbyt jasne.

W tym momencie pomyślałem sobie, że przyszedł czas na zadanie pytania, które chodziło mi po głowie od czasu spotkania z Lordem Shanosfane.

– A jeśli są to Srebrni Rycerze? – spytałem. Belphig przeszył mnie swym przenikliwym wzrokiem. – Co wiesz o Srebrnych Rycerzach?

– Wiem bardzo niewiele. Pochodzą oni z innej rasy, niż my. Podbili oni dalekie wybrzeża tego morza. Podobno pochodzą z Księżycy, znajdującego się po przeciwnej stronie tego świata.

Belphig odprężył się. – A kto ci to wszystko opowiedział?

– Lord Shanosfane z Dhotgardu – Władca Doczesny.

– Niewiele on wie o sprawach, dziejących się w świecie, – odpowiedział biskup Belphig. – Bardziej pociągają go abstrakcyjne spekulacje. Srebrni Rycerze nie stanowią wielkiego zagrożenia. Złupili jedno czy dwa miasta na dalekim wybrzeżu, to prawda, ale przypuszczam iż do tej pory ponownie zniknęli.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, panie, o ich istnieniu, gdy dopytywałem się o waszych wrogów, czy też potencjalnych wrogów?

– Co takiego? Wrogów? – Belphig zaśmiał się rubasznie. – Nie określiłbym rycerzy, pochodzących z przeciwnej strony świata, którzy nigdy nie byli w stanie nam zagrozić, jako „wrogów”.

– Nawet jako potencjalnych wrogów?

– Nawet w tym charakterze. Jak zdołaliby nas zaatakować? Rowenarc jest nie do zdobycia.

Ponownie rozległ się ochryply głos żeglarza. – Tam! Tam go widzę!

Miał słusność.

Teraz i ja słyszałem wyraźnie głos, biegnący przez ocean, głos zagubiony i śpiewny.

– Może to jakiś zagubiony na morzu marynarz? – zasugerowałem.

Belphig był zniecierpliwiony. – To raczej nieprawdopodobne. – UWAGA! – zabrzmiał głos. –

UWAGA!

Belphig prychnął. – To może być jakaś piracka sztuczka. Lepiej przygotować naszych rycerzy do walki, Morgeg.

Morgeg oddalił się pospiesznie, by wykonać polecenie.

Tajemnicze światło znalazło się nagle całkiem blisko, i rozpoczął się rozdzierający krzyk, lament i płacz.

Ukazał się ogromny, złoty puchar, błyszczący wśród mroku. Ogromny kielich. Kielich ten był źródłem tak światła, jak i piskliwych odgłosów.

Belphig odskoczył, przysłaniając oczy dłonią. Zapewne w ciągu całego swego życia nie widział podobnej jasności.

Głos rozległ się ponownie.

– URLIKU SKARSOLU, JEŚLI ZAMIERZASZ POZBAWIĆ TEN ŚWIAT JEGO PROBLEMÓW, A ZARAZEM ZNALEŹĆ WYJAŚNIENIE DLA SWEGO WŁASNEGO LOSU – TO MUSISZ WZIĄĆ W DŁONIE PONOWNIE CZARNY MIECZ.

Tak to głos, przemawiający do mnie dotychczas w czasie snu, nabrał rzeczywistych wymiarów. Byłem przerażony.

– Nie! – krzyknąłem. – Nigdy więcej nie podejmę Czarnego Miecza. Przysięgam, że nigdy tego nie zrobię!

Wypowiadałem te słowa, choć tak naprawdę to nie miałem za bardzo wyobrażenia, jak wygląda, i czym jest Czarny Miecz i czemu właściwie nie chcę go wziąć. Moje słowa były typowe dla wszystkich wcieleń, którymi byłem, czy też miałem być.

– MUSISZ TO ZROBIĆ!

– Nie zrobię!

– JEŚLI TEGO NIE DOKONASZ, TEN ŚWIAT ZGINIE.

– Los tego świata i tak jest przesądzony!

– NIE JEST PRZESĄDZONY!

– Kim jesteś? – spytałem, nie mogłem bowiem uwierzyć, iż może się za tym kryć jakaś nadprzyrodzona siła. Jak dotąd wszystko, co mi się zdarzyło, miało jakieś w miarę logiczne wytłumaczenie, ale ten płaczący kielich – to była rzecz jeszcze bardziej niesamowita, niż głos Boga z niebios. Wpatrywałem się wytrwale w złoty puchar, usiłując zobaczyć jakąś trzymającą go dłoń, ale nic nie widziałem.

– Kim jesteś? – zawołałem ponownie.

Lubieżna twarz biskupa Belphiga, tym razem wykrzywiona grymasem przerażenia, była jasno oświetlona światłem kielicha.

– JESTEM GŁOSEM KIELICHA. MUSISZ PODNIEŚĆ CZARNY MIECZ.

– Nie zrobię tego!

– SKORO NIE POSŁUCHAŁEŚ MEGO GŁOSU, KTÓRY DOCIERAŁ DO TWEGO UMYŚLU, ZMUSIŁEŚ MNIE DO PRZEMÓWIENIA DO CIEBIE W TEJ OTO FORMIE, ABYŚ ZROZUMIAŁ, ŻE PO PROSTU MUSISZ WZIĄĆ W DŁONIE CZARNY MIECZ...

– Nie zrobię tego! przysięgam, że nie!

– A GDY JUŻ GO WEŹMIESZ, MOŻESZ WÓWCZAS NAPEŁNIĆ KIELICH! DRUGIEJ SZANSY JUŻ MIAŁ NIE BĘDZIESZ, WIECZNY WOJOWNIKU.

Ściśle zakryłem uszy i oczy, aby nic nie słyszeć, i nic nie widzieć.

Światło zaczęło słabnąć.

Otworzyłem oczy. Nie było już mówiącego kielicha. Wokół panował mrok. Belphig trząsał się ze strachu. Sądząc po jego spojrzeniu, utożsamiał mnie ze źródłem swoich obaw.

Powiedziałem poważnym, ponurym tonem: – To nie moja wina, zapewniam.

Belphig chrząknął kilkakrotnie, nim przemówił. – Słyszałem o ludziach, którzy potrafią wywoływać nadprzyrodzone zjawiska, ale nie słyszałem o czymś tak potężnym, hrabio Urliku. Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem, ale liczę na to, iż nie zechcesz użyć ponownie swej mocy podczas naszej żeglugi. To, że nie potrafiłem wyjaśnić ci wyczerpująco sprawy tego dzwonka, nie upoważnia cię do tego, aby...

– Jeśli nawet było to nadprzyrodzone zjawisko, biskupie Belphig, to zaręczam, że nie miałem z tym nic wspólnego, – przerwałem.

Belphig chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i zamilkł. Otrząsając się, zszedł pod pokład.

VIII. LEGOWISKO MORSKIEGO JELENIA

Długie chwile spędziłem na pokładzie, wpatrując się w mrok, jakby tam miał być ukryty klucz do dziwnych zdarzeń tej nocy. Poza momentem, kiedy to podczas mojej ostatniej nocy w świetle Eldrenów, zobaczyłem samego siebie w innym już wcieleniu, był to pierwszy wypadek, aby zwidy nachodziły mnie na jawie.

Niestety, nie był to sen – świadczyć mógł o tym sam biskup Belphig – i wplątał w moje losy wszystkich, będących na pokładzie okrętu, zarówno dworaków, jak i załogę. Na niższych pokładach rozmawiano po cichu na mój temat, zapewne obawiając się, czy ponownie nie wystawię ich na tak ciężkie przeżycie. W wielu oczach na mój widok pojawiał się strach.

Jeśli jednak gadający kielich miał ze mną związek, bo wydało mi się, że dzwon przeznaczony był dla biskupa Belphiga. Czemu Belphig uparł się, aby kontynuować polowanie, skoro każdy rozsądny człowiek powróciłby jak najszybciej do bezpiecznego Miasta z Obsydianu? Może umówił się z kimś na tych wodach? Ale z kim? Z piratami, o których wspominał? Albo może nawet ze Srebrnymi Rycerzami? To wszystko były jednak tylko banalne spekulacje, w porównaniu z wagą ostatnich wydarzeń. Czym był – Czarny Miecz? Czemu coś w moim wnętrzu odmawiało wzięcia go do ręki? Samo to imię było mi dziwnie znajome i wiedziałem, że nie chcę nawet myśleć o Czarnym Mieczu. Aby odpędzić od siebie te myśli, przespałem się przecież owej nocy z niewolnicą biskupa. Byłem zdolny do wszystkiego, byle tylko zapomnieć o mieczu i uciec od niego.

W końcu, znużony i skonfundowany, wróciłem do mojej kabiny i położyłem się na moim hamaku. Nie mogłem zasnąć, a nawet nie chciałem zasnąć, w obawie przed powrotem koszmarnych snów.

Przypominałem sobie słowa: – „Jeśli chcesz pozbawić ten świat jego problemów, a zarazem znaleźć wyjaśnienie dla swego własnego losu – musisz wziąć w dłonie ponownie Czarny Miecz.

Potem monotonna wyliczanka: „Czarny Miecz. Czarny Miecz. Czarny Miecz. Czarny Miecz jest mieczem Mistrza – słowo Miecza jest prawem Mistrza...”

W którymś z moich poprzednich, czy też późniejszych wcieleń (w moim przypadku te sprawy nie mają większego znaczenia) musiałem zapewne wyzbyć się Czarnego Miecza. Rozstając się z mieczem, musiałem zapewne popełnić jakąś zbrodnię, czy choćby obrazić kogoś, kto chciał, abym zatrzymał miecz przy sobie, za co teraz przenoszony jestem raz po raz w różne obszary Czasu i Przestrzeni. Może zresztą kara polega właśnie na tym, że mam świadomość wielopostaciowości mojej egzystencji, co sugerowałyby sny? Jeśli tak, to byłaby to kara bardzo wyrafinowana. Mimo że nie pragnąłem niczego innego, jak tylko połączenia z Ermizhad to coś w moim wnętrzu odmawiało zapłacenia za to ceny w postaci wzięcia w dłoń Czarnego Miecza.

„– Na ostrzu Miecza jest krew Słońca – rękojeść Miecza i dłoń stanowią jedność...”

To bardzo zagadkowe zdanie. Pierwsza jego część była dla mnie zupełnie niezrozumiała. Co do drugiej, to przypuszczalnie miała oznaczać, że moje losy, i losy Miecza są z sobą ściśle związane –

Znaki runiczne na klindze Miecza odkrywają tajemnicę mądrości – imieniem Miecza jest Kosa”.

Tutaj pierwsza część była łatwiejsza do rozszyfrowania, niż druga. W pierwszej mowa była o tym, że jakaś mądrość była zawarta w napisie na klindze. A co do Kosy, to możliwe że chodziło tu o kosę, z jaką zwykle przedstawia się. Śmierć, Mimo wszelkich rozmyślań i analiz, nadal nie wiedziałem więcej, niż przedtem. Wyglądało na to, że zmuszony jestem wziąć w dłonie miecz, mimo że nie powiedziano mi, czemu go kiedyś odłożyłem...

Ktoś zapukał do drzwi kabiny. Myśląc, iż jest to znowu, podesłana przez biskupa dziewczyna, zawołałem: – Proszę mi nie przeszkadzać!

– To ja, Morgeg, – odpowiedział pukający. – Biskup Belphig polecił mi przekazać wiadomość, iż jelenie morskie są już blisko, i niedługo rozpocznie się polowanie.

– Zaraz tam będę.

Morgeg oddalił się. Włożyłem na głowę hełm, wziąłem z sobą mój topór i włócznię, po czym ruszyłem w kierunku drzwi. Może emocje, związane z polowaniem, pozwolą mi zapomnieć o moich zmartwieniach.

Belphig odzyskał już całkowicie swą pewność siebie. Był w pełnej zbroi, z podniesioną przyłbicą; Morgeg także był w stroju bojowym.

– No cóż, hrabio Urliku, wkrótce będziemy mieli te rozrywkę, na którą liczyliśmy wyruszając.

Z zadowoleniem rąbnął dłonią w balustradę.

Koła naszego pływającego rydwana obracały się stosunkowo wolno, a nasze pociągowe bestie leniwie ciągnęły nas w mroczne połacie oceanu.

– Niedawno temu, nad powierzchnią wody ukazały się rogi morskiego jelenia, – powiedział Morgeg. – Te bestie muszą być gdzieś niedaleko. Oddychają powietrzem, toteż i tak muszą się w końcu wynurzyć. Musimy być przygotowani, aby właśnie wtedy uderzyć. – Wskazał na uzbrojonych rycerzy, zgromadzonych przy burtach okrętu. Każdy z nich trzymał w dłoniach długi, ciężki harpun z ostrymi, postrzępionymi grotami.

– Czy bestie są w stanie nas zaatakować? – zapytałem.

– Nie ma obawy, – odparł Belphig. – Tu, gdzie teraz jesteśmy, nic nam nie grozi, za to wszystko widoczne jest, jak na dłoni.

– Zapowiada się emocjonująco, – powiedziałem. – To na pewno będzie niezapomniane przeżycie. Dlatego chciałbym być bliżej burty.

Biskup wzruszył ramionami. – Niech tak będzie. Morgeg, odprowadź hrabiego Urlika na niższy pokład.

Trzymając w dłoniach włócznię i topór, w ślad za Morgegiem udałem się na niższy pokład. Zauważyłem, iż koła okrętu niemal stanęły. Morgeg obejrzał się, po czym powiedział: – Tam! – Wskazał dłonią.

Spod powierzchni wody wystawały rogi, bardzo podobne do rogów jeleni, jakie znał John Daker. Trudno było na razie oszacować wielkość tych rogów.

Zastanawiałem się, jak to się stało, i czy to możliwe, aby to lądowe jelenie przystosowały się do życia w wodzie, tak jak foki tego świata przystosowały się do życia lądowego. A może stwory te były mieszańcami, jakie przed wiekami wyhodowali uczeni z Rowenareu?

Atmosfera na naszym okręcie była bardzo napięta. Jelenie zbliżały się coraz bardziej, jakby chcąc sprawdzić, jacyż to intruzi wtargnęli na ich obszary. Przysunąłem się do burty, a rycerze zrobili mi miejsce. Morgeg wymamrotał tylko: – Wracam do mego pana, – i już go nie było.

Usłyszałem parsknięcie – parsknięcie niezwyklej mocy. To potwory musiały być zdecydowanie większe niż zwykłe, lądowe jelenie!

Widać było czerwone, przypatrujące się nam ślepia. Z półmroku wynurzyły się wielkie, krowie pyski, o przeżuwających szczękach. Parsknęły znowu, jakby miały zamiar zdmuchnąć nas samym swym oddechem. Harpunnicy w skupieniu przygotowywali się do swego zadania. Zerknąłem w kierunku dziobu okrętu, aby stwierdzić, że „sleyahy” zniknęły pod wodą, jakby nie chcąc brać udziału w nadchodzącym szaleństwie...

Jeleń morski ryknął potężnie, wynurzając swe ogromne ciało z wodnych otmętów. Gęsta, zasolona woda spływała z jego grzbietu. Zauważyłem, że jego muskularne przednie łapy są właściwie płetwami, a tylko ich twarde końcówki, przypominały nieco kopyta prawdziwych jeleni, jakie znał John Daker. Płetwy te wznosiły się nad powierzchnią wody, to znów opadały z łoskotem, po chwili zaś pojawił się pochylony, rogaty łeb, gotów do zaatakowania okrętu.

Z najniższego pokładu rozległ się głos Morgega: – Wyrzucicie pierwsze harpuny!

Jedna trzecia naszych wojowników, z potężnym zamachem ramion, wyrzuciła swe straszliwe ostrza w kierunku nadciągającej bestii. Sterczące rogi miały kilka metrów długości, a ich rozpiętość była jeszcze większa.

Niektóre harpuny upadły tuż za rozpędzoną bestią, utrzymując się przez pewien czas na powierzchni wody, nim zatoneły, inne zaś pogrzażyły się w ciele zwierzęcia. Żaden z nich jednak nie trafił w głowę, toteż jeleń, mimo że ryczał z bólu, nadal kontynuował swą szarżę.

– Wyrzucicie drugie harpuny!

W niebo wzbila się druga chmura grotów. Dwa z nich trafiły w rogi, i odbiły się od nich, nie wyrządzając zwierzęciu żadnej szkody. Dwa trafiły w ciało bestii, ale złamały się na skutek gwałtownych ruchów rozwścieczonego jelenia.

Rogi zderzyły się z okrętem, zgrzytając przeraźliwie na powierzchni metalu. Okręt zachwiał się,

przechylając się na drugą burtę, co groziło zatopieniem. Jeden z rogów złamał balustradę, w wyniku czego grupa harpunników z okrzykami przerażenia wpadła do morza. Wychyliłem się, aby sprawdzić, czy nie można im pomóc, oni jednak tonęli szybko pod ciężarem pancerzy, wyciągając z rozpaczą ręce ku górze, a ich spojrzenia wyrażały rozpacz i przerażenie.

Napawało to mnie zgrozą i oburzeniem, tym bardziej że inicjator i organizator tego polowania obserwował wszystko z bezpiecznej odległości.

Ociekająca wodą paszcza potwora ukazała się teraz nad nami, ukazując ogromne zęby, wielkości połowy ciała dorosłego mężczyzny, oraz czerwony, wijący się język. Błyskawicznie zapałem się nogami w rozchwiany pokład, ścisnąłem mocno dłońią moją włócznię, po czym cisnąłem włócznię wprost w paszczę jelenia. Ostrze utkwilo w gardzieli, po czym paszcza natychmiast się zamknęła, potwór zaś wzdrygnął się i cofnął, miotając głową w różne strony, jakby chciał wyzbyć się tkwiącego w jej wnętrzu grotu.

Na widok krwi, ciekącej z paszczy jelenia morskiego,” jeden z harpunników klepnął mnie radośnie w ramię. Gdzieś z góry, rozległ się ironiczny głos biskupa Belphiga: – Dobra robota, Mistrzu!

W tym momencie żałowałem, iż włócznia nie utkwila w sercu Belphiga, zamiast w paszczy jelenia, na którego terytorium łowieckim byliśmy.

Wziąłem jeden z harpunów, pozostawionych przez nieszczęśników, którzy zostali zmieceni za burtę i rzuciłem go w kierunku głowy jelenia, jednak trafiłem w nasadę lewego rogu zwierzęcia, a harpun rykoszetem wpadł do wody.

Potwór zaatakował ponownie.

Tym razem, jakby podochocony moim powodzeniem, jeden z rycerzy zdołał wrazić swój harpun w ciało jelenia, tuż obok prawego oka. Zwierz ryknął straszliwie, po czym, akceptując swą porażkę, zawrócił i zaczął się oddalać.

Odetchnąłem z ulgą, nie doceniłem jednak żądzy krwi Belphiga.

– Gońcie go – szybko. On zmierza do swego legowiska, – krzyczał biskup.

Kierujący smagnięciami batów wezwali nasze pociągowe bestie na powierzchnię, po czym za pomocą lin i długich ościeni zmusili je do gonitwy za uciekającym jeleniem. Nasz rydwan znowu mknął po powierzchni morza.

– To szaleństwo! Niech sobie odpłynie! – protestowałem.

– Co takiego – powrócić do Rowenarcu bez zdobyczy? – wrzasnął biskup. – No, szybciej tam, biczownicy. Naprzód!

Koła okrętu zaczęły się szybko obracać, nadając mu rozpęd, umożliwiając doścignięcie naszej rannej ofiary. Jeden z harpunników uśmiechnął się do mnie znacząco. – Niektórzy uważają, że nasz

Duchowy Przywódca przedkłada zabijanie nawet nad cudzołóstwo. – Wylał dłońią twarz, zachlapaną krwią rannego jelenia.

– Nie wiem, czy jest w stanie odróżnić te dwie rzeczy, – zaśmiałem się. – Gdzie zmierza nasz ranny jeleni?

– Jelenie morskie mają w skalnych jaskiniach swoje legowiska. Z całą pewnością gdzieś niedaleko musi być jakaś mała wysepka. Na wysepce powinna być taka skalna grotka.

– Czy gromadzą się w stada?

– W określonych porach roku. Teraz jednak nie ma akurat okresu godowego, dzięki czemu łatwiej jest nam polować. Stado, nawet złożone z krów, bez trudu by nas wykończyło.

Koła były mocno pogruhotane w wyniku furii, z jaką atakował nas jeleni morski, toteż okręt nie mógł już rozwinąć takiej prędkości, jak poprzednio. „Slevahy” musiały być chyba jeszcze silniejsze od jelenia morskiego, skoro udawało im się mimo to rozwijać względnie dużą szybkość na tym gęstym, zasolonym akwenie.

Rogi jelenia, wystające nad powierzchnią wody, były nadal widoczne wśród mroku, przed nimi zaś ukazała się wkrótce postrzępiona linia raf i skał z obsydianu; takiego samego, z jakiego zbudowany był Rowenarc.

– Tam! – krzyknął stojący przy mnie harpunnik, i z zawziętą miną potrząsnął oszczepem. Ja również pochyliłem się, aby wziąć sobie jeden z leżących na pokładzie ościeni.

Rozległ się odległy głos Morgega: – Przygotować się! Uwaga!

Jeleni gdzieś zniknął, ale krystaliczne skały, z jakich zbudowana była wysepka, były widoczne jak na dłoni. Nasz wodny rydwan lawirował, dzięki zręczności „sleyahów”, między wystającymi z wody rafami. Na zboczu skały pokazał się ciemniejszy wlot pieczary.

Odkryliśmy legowisko jelenia morskiego.

Z głębi jaskini rozległo się groźne parskanie. A potem z górnego pokładu padł donośny, zaskakujący rozkaz.

– Przygotować się do zejścia na ląd. Naprzód!

Belphig chciał rzucić swych ludzi do walki z potworem, mimo że uzbrojeni byli tylko w harpuny!

IX. WALKA W JASKINI

Zeszliśmy jednak rzeczywiście na ląd.

Zeszliśmy wszyscy oprócz Belphiga, jego świty i biczowników na dziobie. Brnęliśmy do brzegu przez płyciznę o skalistym podłożu, na którym trudno było znaleźć solidne oparcie dla nóg. W jednej dłoni dzierżyłem mój bojowy topór, a harpun w drugiej. Belphig obserwował nasz wymarsz z najwyższego pokładu, i pomachał nam dłonią na pożegnanie.

– Powodzenia, hrabio Urliku. Jeśli zabijesz jelenia morskiego, to będzie to kolejny wyczyn na długiej liście twoich dokonań...

Moim zdaniem całe to polowanie było bezsensowne i okrutne, ale powinienem iść wraz z innymi do walki, aby dokończyć to, co zaczęliśmy – albo dobić bestię, albo zginąć samemu. Ze znacznym trudem dotarliśmy do wejścia jaskini.

Z jej wnętrza wydostawał się niesamowity smród, tak jakby potwór już zaczął ulegać rozkładowi. Harpunnik, który wcześniej ze mną rozmawiał, powiedział:

– Ten smród, to smród odchodów zwierzęcia. Jeleń morski nie należy do czystych stworzeń.

Tym mniej chciało się nam wchodzić do jaskini.

Gdy zwierz zwiertzył naszą obecność, zaryczał donośnie. Harpunnicy nerwowo cofnęli się ku wejściu. Nikt nie chciał być pierwszym, który wejdzie do wnętrza jamy.

W końcu, poblady ze strachu, lecz zdesperowany, zacisnąłem kurczowo moje dłonie na orężu i jako pierwszy zagłębiłem się w czeluściach grotu.

Odór stał się tak niewyobrażalny, że obawiałem się, iż mogę albo zemdleć, albo zwymiotować. Wyczułem jakiś ruch, w którym domyślałem się poruszenia któregoś z wielkich rogów zwierzęcia. Ponownie, tym razem jeszcze bliżej, dato się słyszeć parsknięcie nozdrzy jelenia. Wielkie płetwy klapnęły o podłoże. Oczyma wyobraźni widziałem długie, sinusoidalnie powyginane ciało jelenia, zakończone płaskim ogonem.

Harpunnicy szli powoli za mną. Jeden z nich podał mi latarkę prętową, dzięki której jaskinia została jako tako oświetlona. Do tej pory widziałem tylko cień zwierzęcia, zarys jego postaci, teraz zaś ujrzałem bestię w całej okazałości, po mojej prawej ręce wspartą o skalną ścianę, z krwią, wylewającą się z jej ran. Bestia wydawała się teraz nawet ogromniejsza niż wtedy, gdy widzieliśmy ją w wodzie. Potwór wsparł się na swych potężnych płetwach, pochylił głowę, ale nie zaatakował. Miał nadzieję odstraszyć nas samym swoim widokiem i dawał nam szansę oddalenia się bez walki. Osobiście bardzo chciałbym móc odwołać harpunników i wyprowadzić ich z jaskini, nie miałem jednak nad nimi żadnej władzy. Biskup Belphig był ich panem i ukarałby ich w razie niesubordynacji. Biorąc to pod uwagę, postanowiłem rozzłościć zwierzę, ciskając harpun w kierunku jego lewego

oka. Zwierz odwrócił jednak akurat w tym momencie głowę, toteż ostrze harpuna wbiło się tylko w dolną część pyska.

Jeleń zaatakował.

Zapanował kompletny chaos. Ludzie krzyczeli, usiłując wymknąć się, wpadali na siebie, a w efekcie wielu z nich dostało się na rogi zwierzęcia.

Gdy jeleń uniósł głowę, na jego rogach wisiało trzech wojowników, a ich ciała były kompletnie pogruhotana. Dwóch z nich nie żyło już, a trzeci właśnie umierał, nie mając już nawet siły jęczeć. Nie byłem już w stanie mu pomóc. Jeleń potrząsnął łbem, starając się stracić zwłoki ze swego poroża, te jednak pozostały tam, gdzie były.

W głowie zaczął mi dojrzywać pewien pomysł. Za późno było już jednak na rozmyślenia, bowiem jeleń zaatakował ponownie. Odskoczyłem gwałtownie, zadając jednocześnie bestii głęboka ranę w jej lewym boku, za pomocą mego topora. Jeleń zwrócił się bezpośrednio przeciwko mnie, szczerząc zęby i wpatrując się we mnie swymi czerwonymi oczami, w których malowała się mieszanina wściekłości i zaskoczenia. Zadałem kolejny cios, po którym zwierzę cofnęło się, krwawiąc. Raz jeszcze zwierzę potrząsnęło łbem, w wyniku czego jedno z poszarpanych ciał spadło na brudne, pokrwawione podłoże jaskini. Jeleń gwałtownym ruchem swej płetwy zmiażdżył je całkowicie.

Spojrzałem w kierunku pozostałych przy życiu harpunników. Stali, zbici w gromadkę, przy wylocie jaskini. Zwierz stał teraz pomiędzy nimi a mną. Jaskinia wciąż oświetlona była przez dwie prętowe latarki, leżące teraz na podłodze. Wycofałem się w kierunku cienia. Zwierz widział teraz tylko harpunników, pochylił więc ponownie głowę i zaatakował ich. Przesuwając się, o mało co mnie nie zmiażdżył. Rozległo się przeraźliwe jęczenie miażdżonych harpunników, nadziewanych na rogi bestii. Pozostali uciekali pospiesznie, wskazując do wody.

Zostałem sarn w jaskini. Jeleń morski wycierał swe poroże o krawędź pieczary, i wyjadał resztki ludzkiego mięsa. Pomyślałem sobie, że nie ma już dla mnie ratunku. Jakim sposobem mógłbym samodzielnie pokonać takiego olbrzyma?

Jego ciało blokowało całkowicie wyjście z jaskini, nie miałem więc drogi odwrotu. Prędzej czy później albo sobie przypomni o moim istnieniu, albo po prostu mnie zauważy. Starłem się trwać nieruchomo, co nie było łatwe, bowiem smród odchodów niemal uniemożliwiał oddychanie. Nie miałem już harpuna, a tylko topór – mało przydatna broń wobec potęgi morskiego jelenia...

Raz jeszcze bestia otworzyła swój krowi pysk, i zaryczała, – a ryk ten przeistoczył się później w cichy jęk.

Czy zwierzę zdecyduje się wypłynąć ponownie w morze, aby przemyć swe rany słoną wodą? W napięciu czekałem na decyzję jelenia. Wtem jednak rozległy się następne uderzenia harpunów o skały i o rogi zwierzęcia, a jeleń zawył i wycofał się do jaskini.

Przywarłem do ściany skalnej, aby nie zostać zgnieciony przez ogon potwora. Modliłem się w duchu o powrót harpunników – mogło mi to umożliwić, jeśli nie ucieczkę, to choćby zajęcie nieco

bezpieczniejszej pozycji.

Dotarłem już do połowy odległości, dzielącej mnie od wyjścia z jaskini, gdy potknąłem się niespodziewanie o jedno z leżących na klepisku ciał zabitych harpunników. Usiłowałem jednym, wielkim krokiem przejść nad zwłokami, moja stopa nastąpiła jednak na odłamek pancerza, który potoczył się z brzękiem po podłożu z obsydianu.

Bestia parsknęła i spojrzała swymi krowimi oczami w moim kierunku.

Stałem nieruchomo, łudząc się, że nie zostanę zauważony.

Ciało bestii uniosło się, a rogi uderzały w twarde ściany groty.

Poczułem nagle, że w gardle mi zaschło, a język zdrętwiał.

Zwierzę uniosło pysk, a z jego gardzieli wydobył się gniewny ryk, podczas którego widoczne były potężne zęby potwora. Na owych zębach widoczna była krew, pochodząca z ran, jakie bestia już otrzymała; jedno oko było nią niemal całkowicie zalane. Ku mojemu przerażeniu, zwierz uniósł gwałtownie swe ciało, wymachując swymi dziwnymi nogopłetwymi, po czym opadł na podłoże, wstrząsając sklepieniem jaskini. Jeleń opuścił rogi.

Zaatakował.

Widziałem potężne rogi, sunące w moim kierunku – wiedziałem już, że z łatwością mogą one przebić ludzkie ciało. Rzuciłem się gwałtownie ku jednej ze ścian groty. Rogi uderzyły o nią, muskając moje prawe ramię, a potężne, sklepione czoło jelenia – o szerokości równej długości mojego ciała – znalazło się zaledwie o stopę od mojej twarzy. Do głowy przyszedł mi ponownie pomysł, który wydawał się jedynym sposobem pokonania potwora.

Skoczyłem.

Chwyając się natłuszczonego futra jelenia, dosłownie wspiąłem się po jego pysku, po czym objąłem mocno nogami i lewym ramieniem nasadę lewego rogu zwierzęcia. Zwierz był w sytuacji bez wyjścia, zresztą nie zdawał sobie chyba sprawy, gdzie się znajdowałem.

Uniosłem mój bojowy topór.

Jeleń parsknął, i rozglądał się po pieczarze, szukając mnie.

Opuściłem ostrze w dół, całą mocą mego ramienia.

Ostrze topora głęboko wniknęło do czaszki. Jeleń ryknął, zawył, po czym zaczął gwałtownie potrząsać głową. Ja jednak byłem na to przygotowany, trzymałem się więc kurczowo rogów, korzystając zarazem z każdej nadarzającej się okazji, aby ponownie uderzyć toporem w czaszkę, dokładnie w miejsce pierwszego uderzenia. Udało mi się rozszczepić pokrywę czaszki. Krwi wypłynęło niewiele, ale ruchy jelenia stały się jeszcze bardziej gorączkowe, jego ciało ślizgało się po wnętrzu pieczary, rogi co i raz uderzały o obsydianowi ściany lub sklepienie, ja jednak wytrwale

trzymałem się nasady rogów. Raz jeszcze uderzyłem.

Tym razem rozbiłem sklepienie czaszki całkowicie, a z jej wnętrza wypłynął obfity strumień krwi. Rozległ się kolejny przerażający ryk, będący mieszaniną wściekłości i obawy.

Jeszcze jeden cios.

Drzewce mojego topora złamało się pod ciężarem potężnego uderzenia, jakie zadałem, toteż w dłoni pozostał mi jako „broń”, zaledwie kawałek złamanego trzonka...

Ostrze topora wniknęło już jednak do mózgu potwora. Płetwy zwierzęcia, bezsilne nagle, ugięły się pod nim, a ciało runęło bezwładnie na ziemię. Zwierz jęknął boleśnie, usiłując powstać. Zamiast oddechu, z nozdrzy jelenia trysnęła tylko spieniona, gulgocząca krew. Głowa zwierzęcia opadła również, uderzając z łoskotem rogami o podłoże – gdy tył – ko to się stało, natychmiast zeskoczyłem, stając przy kamiennej ścianie groty. Jeleń morski już nie żył. Zabiłem go, mimo że byłem sam.

Usiłowałem wyszarpnąć z czaszki potwora ostrze mojej broni, ale topór wbił się tam nazbyt głęboko, musiałem więc zrezygnować. Machnąłem więc ręką na topór, po czym potykając się, na poły oszołomiony, ruszyłem ku wyjściu.

– Już po wszystkim, – powiedziałem sam do siebie. – Upolowałeś wreszcie swoją zwierzynę.

Nie czułem się dumny z powodu mego dokonania. Rozejrzałem się w poszukiwaniu okrętu, tego jednak nigdzie nie było. Rydwan wodny Belphiga musiał zapewne już dawno odpłynąć, najprawdopodobniej powracając do Rowenarcu. Widocznie uznali, że zginałem, rozszarpany przez jelenia.

– Belphig! – krzyknąłem, licząc na to, że mój głos dotrze dalej, niż wzrok, ograniczony panującym tu półmrokiem. – Morgeg! Ja żyję! Zabiłem jelenia morskiego!

Żadnej odpowiedzi.

Spojrzałem na wiszące nisko, brązowe chmury, i na mroczny, posępny ocean. Byłem sam, pozostawiony pośród tego makabrycznie smutnego oceanu, przez który, jak powiedział Belphig, nie przepływały żadne statki. Byłem sam, jeśli nie liczyć ciał poległych harpunników, i padliny zabitego jelenia. Ogarnęła mnie panika.

– BELPHIG! WRACAJ!

Tylko słabe echo zawtórowało moim słowom. Nic więcej.

– JA ŻYJĘ!

Ponieważ krzyknąłem tym razem jeszcze głośniejsze, to również i echo było nieco głośniejsze, i brzmiało bardziej szyderczo. Wiedziałem, że na tych zimnych, smutnych skałach, nie utrzymam się zbyt długo przy życiu. Szerokość wysepki wynosiła zaledwie kilkadziesiąt metrów. Przemierzyłem całą wysepkę wzdłuż i wszerz, i wspiąłem się na skały tak wysoko, jak tylko mogłem, ale nic mi to

nie dało, bowiem cały horyzont tego mrocznego morza, pokryty był szczelnie pancierzem gęstych, brązowych chmur.

Usiadłem na małej, skalnej półce, która była jedynym płaskim miejscem na całej skale. Drżałem z zimna i z przerażenia.

Wiatr stawał się coraz zimniejszy, toteż otuliłem się szczelnie płaszczem, nie przepędziło to jednak zimna z moich kości, mojej wątroby, a zwłaszcza z mego serca.

Być może jestem nieśmiertelny. Być może, niczym feniks, mogę wielokrotnie powracać do życia. Być może jestem podróżnikiem, włóczącym się po czeluściach wieczności. Jeśli jednak mam tutaj umrzeć, to owo umieranie może mi tu zająć całą wieczność, a jeśli jestem feniksem, to jest to feniks, złapany w pułapkę z obsydianu, niczym mucha, zatopiona w bursztynie.

Ta myśl pozbawiła mnie resztek odwagi, i jedynym uczuciem, jakie opanowywało mnie na myśl o moim losie, była rozpacz.

KSIEGA TRZECIA

Wojownik Przeznaczenia, Głupiec Losu.

Żołnierz Wieczności,

Narzędzie Czasu.

– Kronika Czarnego Miecza

I. ŚMIEJĄCY SIĘ KARZEŁ

Walka z jeleniem morskim wyczerpała mnie do tego stopnia, że zasnąłem niemal natychmiast, wsparty plecami o skałę, z wyciągniętymi przed siebie nogami.

Gdy się wreszcie obudziłem, stwierdziłem, że wróciło mi nieco odwagi, nadal jednak nie widziałem szansy na wyrwanie z mojej sytuacji.

Z jaskini wydobywał się duszący smród, potęgujący się w miarę jak rozkładały się zwłoki potwora. Dobiegały mnie również stamtąd nieprzyjemne, ćlamiące dźwięki. Wychyliwszy się przez skalną krawędź, zauważyłem małe, węzowate stwory, podążające gromadami w kierunku wejścia do jaskini. Niewątpliwie były to jakieś padlinożerne, morskie zwierzęta. Setki ich splątanych, czarnych ciał, przemieszczały się w kierunku gnijących zwłok olbrzyma. Na ten widok zniknęła mi natychmiast wszelka myśl o wykorzystaniu ciała jelenia jako pożywienia dla mnie. Miałem nadzieję, że owe obrzydliwe stwory morskie w krótkim czasie poradzą sobie ze zwłokami, i powrócą do morza. W końcu w grocie pozostało wiele harpunów – gdy tylko będę mógł tam wejść, zabiorę je. Przydadzą się do obrony przed ewentualnym drugim potworem, mogącym zamieszkiwać w tych wodach, a może nawet uda się upolować przy ich pomocy jakąś rybę, czy podobne stworzenie. Wątpiłem zresztą, aby w tych wodach mogły zamieszkiwać jakieś ryby.

Niespodziewanie przyszła mi do głowy myśl, że biskup Belphig mógł zaplanować pozostawienie mnie tutaj, choćby dlatego, że moje pytania z pewnością były dla niego kłopotliwe. Może z myślą o tym zaplanował to polowanie? Jeśli tak było, to mój pomysł, aby udać się wraz z harpunnikami do jaskini morskiego jelenia, całkowicie dogadzał jego za mierzeniem.

Nie mając nic innego do roboty, dokładnie zbadałem całą wysepkę, co nie zajęło mi – zresztą zbyt wiele czasu. Moje pierwsze, powierzchowne wrażenia, całkowicie się potwierdziły. Wyspa była całkowicie martwa i jałowa – nic tu nie rosło, i nie było wody zdatnej do picia. Mieszkańcy Rowenarcu czerpali swą wodę z topniejącego lodu, tutaj jednak, postrzępione górskie grzbiety nie były pokryte warstwą lodu. Tymczasem wijące się, padlinożerne węże wciąż wpełzały do jaskini, pełnej teraz syczenia i mlaskania, spowodowanych ich walką o dostęp do padliny.

W zwartym pancerzu chmur uczyniła się niewielka przerwa, poprzez którą na ciemne wody oceanu spłynęło choć trochę białych promieni słonecznych. Powróciłem na swoją skalną półkę – nie mogłem nic przedsięwziąć, zanim morskie węże nie skończą swego posiłku.

Nadzieje na odnalezienie Ermizhad przepadły, nie liczyłem bowiem nawet na to, że zdołam powrócić do Rowenarcu, a jeśli tutaj umrę, to mogę się obudzić w jeszcze gorszym wcieleniu, niż obecne. Może nie będę wówczas nawet pamiętał Ermizhad, tak jak obecnie nie pamiętam przyczyny, dla której Czarny Miecz odgrywa w moich losach tak wielką rolę. Przywoływałem przed oczy cudną twarz Ermizhad, wspominałem piękno planety, której, kosztem mego ludobójstwa, przywróciłem spokój i harmonię. Zapadłem w drzemkę i już wkrótce nie byłem osamotniony, powróciły bowiem do mnie znane mi dobrze wizje i głosy.

Usiłowałem usunąć je z mego umysłu, nie zamykać oczu i wpatrywać się w „ciemną pokrywę chmur, w końcu jednak moje senne wizje zdominowały wszystko inne, także morze i chmury, a głosy dochodziły do mnie z każdej strony.

– Zostawcie mnie w spokoju! – błagałem. – Pozwólcie mi spokojnie umrzeć!

Odgłosy, dochodzące z jaskini, mieszały się w moim umyśle z odgłosami, podchodzącymi ze świata duchów.

– Zostawcie mnie wreszcie!

Byłem jak dziecko, które bało się zjaw, czających się w mroku, które były jedynie wytworem jego wyobraźni. Mój głos, był także tylko krzykiem bezradnego dziecka.

– Proszę was, zostawcie mnie w spokoju!

Usłyszałem nagle śmiech. Był to niski, sardoniczny niemal śmiech, pochodzący gdzieś z góry. Spojrzałem tam. Było to tak, jakby senne marzenia ponownie zmieszały się z rzeczywistością, całkiem wyraźnie widziałem jednak tę postać. Osobnik ten schodził do mnie po skalnym zboczu.

Był to karzeł o pałkowatych nogach, i białej brodzie. Oczy jego błyszczały jednak wesołością, a twarz wyglądała na młodą.

– Dzień dobry. – powiedział na powitanie.

– Dzień dobry, – odparłem, po czym dodałem: – A teraz znikaj, błagam cię.

– Przecież przybyłem tu, aby spędzić z tobą trochę czasu.

– Jesteś tylko wytworem mojej wyobraźni.

– Proszę mnie nie obrażać. Poza tym, twoja wyobraźnia byłaby dość kiepska, jeśli potrafiłbyś tylko tak liche istoty, jak ja, wykreować; to do ciebie niepodobne. Nazywam się Krzywy Jermays. Nie pamiętasz mnie?

– A czemuż to miałbym cię pamiętać?

– No, spotkaliśmy się już kiedyś ze dwa razy. Podobnie jak ty i ja nie mam ograniczonej czasowo egzystencji, jaką ma większość ludzi. Kiedyś już o tym dyskutowaliśmy. Niegdyś byłem ci bardzo pomocny.

– Nie drwij ze mnie, zjawo.

– Nie, Mistrzu, ja nie jestem zjawą. W każdym razie niewiele mam ze zjawami wspólnego, mimo że większość mego życia spędzam w świecie duchów, świecie rzeczywiście mało realnym. Sztuczki bogów sprawiły, że jestem taką właśnie pokraką, jaką przed sobą widzisz.

– Bogów?

Jermays mruknął do mnie porozumiewawczo. – W każdym razie uważają się za bogów. W istocie, są takimi samymi niewolnikami losu, jak i my. Bogowie – moce – istnienia, i jego wyższe formy – za tymi słowami kryć się może bardzo różna treść. My zaś, jak przypuszczam, jesteśmy pół – bogami, a zarazem narzędziem w rękach bogów.

– Nie mam czasu na mistyczne spekulacje tego typu.

– Ależ, mój drogi Mistrzu, w chwili obecnej masz czas na absolutnie wszystko, Może jesteś głodny?

– Wiesz dobrze, że tak.

Karzeł sięgnął do swej zielonej sakwy, i wydobyl z niej pół bochenka chleba. Podał mi go. Chleb wydał mi się bardzo materialny. Ugryzłem – smakował tak, jak smakuje najprawdziwszy chleb. Zjadłem go, i poczułem, że mój żołądek stał się pełny.

– Dzięki ci, – powiedziałem. – Jeśli nawet zwariowałem, to jest to całkiem przyjemne wariactwo.

Jermays usiadł obok mnie na skalnej półce, opierając swą włócznię o zbocze. Uśmiechnął się. – Czy jesteś zupełnie pewny, że nie pamiętasz mojego oblicza?

– Nigdy przedtem cię nie widziałem.

– To dziwne. Może zresztą nasze wcielenia znajdują cię po prostu w innych fazach, i ty nie spotkałeś jeszcze mnie, pomimo że ja spotkałem już ciebie.

– To całkiem możliwe.

Jermays miał, przytroczone u pasa, bukłak z winem. Odczepił go, pociągnął spory haust, po czym podał go mnie. Wino było dobre. Skosztowawszy, zwróciłem mu bukłak.

– Jak widzę, nie masz ze sobą miecza, – zauważył.

Spojrzałem na niego badawczo, nie wyczułem jednak ironii w jego głosie. – To prawda, zgubiłem go. Zaśmiał się z całego serca. – Zgubie! Zgubić czarną klingę! Ach, doprawdy, Mistrzu, żartujesz sobie ze mnie!

Obruszyłem się. – Mówię prawdę. Co wiesz na temat Czarnego Miecza?

– To, co i wszyscy wiedzą. Miecz ten posiada wiele imion, tak samo jak i ty posiadasz wiele imion. Występuje pod wieloma postaciami, tak samo jak i twoja postać zewnętrzna jest za każdym razem inna. Mówią, że został wykuty przez Siły Ciemności, aby im służyć, ale ten pogląd wydaje mi się cokolwiek naiwny, nieprawdaż?

– Rzeczywiście.

– Podobno Czarny Miecz egzystuje równocześnie na wielu płaszczyznach, i podobno ma mieć swego sobowtóra. Kiedyś, gdy cię znałem w innym wcieleniu, miałeś na imię Erik, a twój miecz zwał się Gromowładny, zaś bliźniacze wcielenie miecza – Ostrze Żałoby. Niektórzy jednak utrzymują, że ta dwoistość jest tylko iluzją, że istnieje tylko jeden Czarny Miecz, i istniał on wcześniej, niż powstał bogowie, przed stworzeniem świata.

– To tylko legendy, – odrzekłem. – Legendy, które w niczym nie wyjaśniają istoty rzeczy. Powiedziano mi, że moim przeznaczeniem jest podnieść ten miecz. Myślisz, że powinienem to uczynić?

– Myślę, że jesteś z pewnością nieszczęśliwym człowiekiem. Mistrz i Miecz są jednością. Jeśli Mistrz zdradzi Miecz, lub odwrotnie, to stanowi to straszną zbrodnię.

– Dlaczego tak się dzieje?

Jermays wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – Tego nie wiem. Nawet bogowie nie wiedzą. Tak po prostu zawsze było. Uwierz mi, Mistrzu, to tak samo, jakby pytać, kto stworzył owe światy, pomiędzy którymi tak swobodnie się przemieszczamy.

– Czy jest jakikolwiek sposób, aby pozostać na stale w którymś ze światów i nie przenosić się więcej?

Jermays zagryzł wargi. – Nigdy nie zastanawiałem się nad tym problemem. Odpowiada mi przenoszenie się, takie jak dotychczas. Ale ja przecież nie jestem bohaterem, – zaśmiał się.

– Czy słyszałeś o miejscu zwanym Tanelorn?

– Owszem. Można to miasto nazwać „Miastem Weteranów”. – Potarł dłonią czubek swego długiego nosa i mrugnął do mnie. – Mówi się, że jest ono pod panowaniem Szarych Władców, którzy nie słuchają ani Prawa, ani Chaosu...

Jego słowa poruszyły lekko, tajemne struny mojej pamięci. – Co masz na myśli, mówiąc o Prawie i Chaosie?

– Niektórzy zwą je Światłem i Ciemnością, Między filozofami toczą się dysputy, dotyczące ścisłej definicji tych pojęć. Niektórzy twierdzą, że stanowią one tylko różne oblicza tej samej siły. W różnych światach, w różnych czasach, wierzy się w różne rzeczy. Przypuszczam, że mają rację, wierząc w to, bo jest to prawdą.

– Ale gdzie znajduje się Tanelorn?

– Gdzie? Takie pytanie bardzo dziwnie brzmi w twoich ustach. Tanelorn jest zawsze na swoim miejscu.

Byłem zniecierpliwiony. – Czy musisz przysparzać mi męki, panie Jermays? Nie baw się w ciągłe zagadki i szarady.

– Nie czynię tego, Mistrzu. Zadajesz mi jednak pytania, na które nie sposób udzielić odpowiedzi. Zapewne jakaś mądrzejsza istota mogłaby więcej ci powiedzieć na ten temat, ale nie ja. Nie jestem ani filozofem, ani bohaterem – jestem tylko Jermays, zwany Pokraką. – Uśmiechnął się niepewnie, a w jego oczach zauważyłem smutek.

– Bardzo mi przykro. – powiedziałem. Westchnąłem ciężko. – Obawiam się, że dla mojego dylematu nie ma wcale rozwiązania. Jak się tutaj dostałeś?

– Wykorzystując lukę w strukturze innego świata. Nie wiem, na jakiej zasadzie przenoszę się z jednej płaszczyzny, na drugą, ale jakoś mi się to udaje.

– Możesz więc stąd odejść?

– Odejdę, kiedy przyjdzie na to czas. Ale nawet ja nie wiem jeszcze, kiedy ta chwila nadejdzie.

– Rozumiem. Odwróciłem wzrok w stronę morza.

Jermays zmarszczył brwi. – Widziałem już parę miejsc, równie nieprzyjemnych, jak to. Nie dziwię ci się, że z pewnością pragniesz jak najszybciej się stąd wyrwać. Może, gdybyś jednak wziął w dłonie Czarny Miecz, to...?

– Nie!

Był wyraźnie przestraszony moim wybuchem. – Wybacz mi. Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś tak nieubłagany w tej sprawie.

Rozłożyłem bezradnie ramiona. – Coś siedzi w moim wnętrzu, coś, co odrzuca – za wszelką cenę – zaakceptowanie Czarnego Miecza.

– Wobec tego, ty... Jermays zniknął.

Znowu byłem sam. Znowu miałem wątpliwości, czy czasem Jermays nie był tylko iluzją, wytworem mojej wyobraźni, czy wszystkie moje dotychczasowe przejścia nie są tylko iluzją i sennym marzeniem, czy wszystkie te wydarzenia nie dzieją się jedynie w chorej wyobraźni Johna Dakera...

Powietrze wokół mnie zawirowało nagle i zrobiło się jaśniej. Było tak, jakbym wychylił się przez okno i zajrzał do jakiegoś innego świata. Ruszyłem w stronę tego okna, ale ono pozostało w tej samej odległości ode mnie, co i przedtem. Wyglądając przez to okno, ujrzałem Ermizhad. Patrzyła na mnie.

– Erekoze?

– Ermizhad, wróć do ciebie.

– Nie możesz, Erekoze, dopóki nie weźmiesz w dłoń Czarnego Miecza...

Okno zamknęło się, ponownie widziałem przed sobą tylko ciemne, ponure morze. Ryczałem z

rozpaczy w kierunku niskiego, pochmurnego nieba.

– Kimkolwiek jesteś, ty, który mi to uczyniłeś – zemszczę się na tobie!

Moje słowa rozplynęły się w otaczającej mnie, nieprzeniknionej ciszy. Ukląknę na skalnej półce i zaszlochałem.

– MISTRZU!

Zabrzniał dźwięk dzwonka. Wołał mnie jakiś głos.

– MISTRZU!

Rozejrzałem się, ale niczego nie zobaczyłem.

– MISTRZU!

Usłyszałem szept: – Czarny Miecz. Czarny Miecz. Czarny Miecz.

– Nie!

– Unikasz przeznaczenia, z myślą o którym cię stworzono. Weź znowu w dłoń Czarny Miecz, Mistrzu. Weź go i zaznaj chwały!

– Znam jedynie nieszczęście i winę. Nie podejmę Miecza.

– Podejmiesz!

To stwierdzenie nie było groźbą, było jedynie głębokim przekonaniem.

Ślizgające się, węzowate stwory powróciły już do morza. Zszedłem do jaskini, znajdując tam kości potężnego jelenia morskiego i szkielety moich towarzyszy, harpunników.

Olbrzymie, rozłożyste rogi jelenia, sterczały na olbrzymiej czaszce, niczym znak oskarżenia dla mnie. Szybko pozbierałem harpuny, wyszarpnąłem mój złamany topór z czaszki potwora i powróciłem na moją skalną półkę. Wzdrygnąłem się, przypomniawszy sobie o mieczu Erekoze. To dziwne, zatrute ostrze, wydawało się niezwykle potężne, a zarazem wzięłem je w dłoń bez większych rozterek. Ale przecież możliwe, że miecz ten był, jak to sugerował Jermays, jedynie bladym odbiciem Czarnego Miecza. Odrzuciłem tę myśl. Ułożyłem swoją broń obok siebie i oczekiwałem na kolejne wizje.

Nie musiałem czekać zbyt długo.

Ukazała się wielka tratwa, wyglądająca niby ogromne sanie i zdobiona podobnie jak morski rydwan, który mnie tutaj przywiózł. Tratwy nie ciągnęły jednak żadne morskie bestie – ciągnęły ją ptaki, podobne do ogromnych czapli, które nie miały jednak na ciele piór, a pokryte były matowymi, gładkimi łuskami. Na pokładzie znajdowała się grupa mężczyzn, odzianych w ciężkie futra i kolczugi,

i uzbrojonych w miecze i włócznie.

– Odejdźcie stąd! – krzyknąłem. – Dajcie mi spokój! Nie zwrócili na mnie uwagi, kierując swój przedziwny okręt w kierunku wysepki. Wziąłem w dłoń złamane drzewce mego topora. Tym razem, pomyślałem sobie, czy są to zjawy czy też nie, przepędzę moich prześladowców, nawet jeśli miałbym zginąć w czasie walki.

Ktoś mnie wołał i głos ten wydał mi się znajomy – przypomniałem sobie, że słyszałem go już w jednym z moich snów.

– Hrabio Urliku! Hrabio Urliku – czy to ty? Wołający odrzucił futro, aby ukazać swą zmierzwioną, rudowłosą głowę i młodą, urodziwą twarz.

– Idź sobie! – zawołałem. – Nie chcę już więcej żadnych znaków ani zagadek!

Urodziwy młodzian wydawał się być zaskoczony. Łuskoskóre czaple zmieniły kierunek lotu, a barokowe sanie zbliżyły się jeszcze bardziej. Stałem na mojej skalnej półce, groźnie wywijając mym bojowym toporem.

– Idźcie stąd!

Czaple latały już jednak tuż nad moją głową. Usiadły na czubku skały, składając swe skórzaste skrzydła. Z tratwy wyskoczył ów rudowłosy mężczyzna, a inni poszli za nim. Rozłożył ramiona, a twarz wyrażała ulgę i zadowolenie.

– Hrabio Urliku, znaleźliśmy cię wreszcie. Już od wielu dni oczekujemy cię w naszym Szkarłatnym Fiordzie! Nie opuściłem mego oręża.

– Kim jesteście? – spytałem.

– Jestem Bładrak Poranna Włócznia. Przybywam ze Szkarłatnego Fiordu. Wciąż byłem nieufny.

– W jakim celu przybyliście tutaj?

Oparł dłonie na biodrach i zaśmiał się niepewnie. Jego futro opadło całkiem, odsłaniając muskularne ramiona, a których widniały jakieś barbarzyńskie, złote bransolety.

– Szukaliśmy cię od dawna, panie. Czy nie słyszałeś dzwonka.

– To prawda, słyszałem dzwonek.

– To był Dzwon Urlika. Władczyni Kielicha powiedziała nam, że dźwięk ten sprowadzi cię do nas, abyś pomógł nam w naszej wojnie ze Srebrnymi Rycerzami.

Rozluźniłem nieco uchwyt rękojeści mego złamanego topora. Wszystko wskazywało na to, że ci ludzie rzeczywiście pochodzą z tego świata. Czemu Belphig się ich bał? Wreszcie znajdę odpowiedź na niektóre przynajmniej z moich pytań.

– Czy powrócisz z nami, panie, do Szkarłatnego Fiordu? Czy zajmiesz miejsce na naszej łodzi?

Z pewnym wahaniem opuściłem moją skalną półkę i zbliżyłem się do nich. Nie wiem, ile dni czy też godzin spędziłem na wysepce jelenia morskiego, ale przypuszczam, że mój wygląd musiał być bardzo szczególny. Moje oczy były pewne dzikie i zmęczone, jak oczy szaleńca, w dłoni zaś trzymałem kurczowo złamany topór, jakby był on jedyną rzeczą na świecie, której mogłem zaufać.

Bładrak był nieco zaskoczony, ale zachował swój dobry humor. Wyciągnął rękę, aby wskazać mi łódź. – To dla nas wielka ulga, że cię znowu widzimy, hrabio Urliku z Lodowej Bryły. Jest i tak już niemal za późno. Jak słyszeliśmy. Srebrni Rycerze planują zmasowany atak na południowe wybrzeże.

– Chodzi o Rowenarc?

– Tak, Rowenarc i inne osiedla.

– Czy jesteście wrogami Rowenarcu?

Uśmiechnął się. – No cóż, po prostu nie jesteśmy sprzymierzeńcami. Ale musimy spieszyć się – powiem ci więcej gdy będziemy już bezpieczni w porcie. Te wody nie są najbezpieczniejsze.

Skinąłem głową. – I ja to odkryłem.

Niektórzy z ludzi Bładraka weszli do jaskini. Po chwili wyszli, wlokąc za sobą potężną czaszkę zabitego morskiego jelenia.

– Popatrz, Bładrak, – zawołał jeden z nich. – Został zabity ciosami topora.

Bładrak uniósł brwi i spojrzał na mnie, zaskoczony.

– Ciosami twojego topora?

Przytaknąłem. – Nieszczęsna bestia w niczym mi nie zawiniła. Wszystko przez polowanie, jakie urządził Belphig.

Bładrak odrzucił głowę i zaśmiał się gromko. – Popatrzcie, przyjaciele, – zawołał, – to najlepsze potwierdzenie, że mamy z sobą naszego Bohatera!

Wciąż nieco oszołomiony, wszedłem na pokład łodzi i zająłem miejsce na jednej z przymocowanych do pokładu ławek. Bładrak usiadł obok mnie.

– Możemy odpłynąć, – powiedział.

Ludzie, taszczyący czaszkę jelenia morskiego, pospiesznie wstawili ją na tylnej połowie pokładu, poczym zajęli miejsca na pokładzie sami. Kilku z nich zaczęło pociągać za sznurki, do których przymocowane były czaple, zmuszając je do wzbicia się w powietrze. Łódź szarpnęła się nagle i ruszyła poprzez ponurą toń oceanu. Bładrak obejrzał się. Potężna czaszka została ustawiona w taki sposób, że zasłaniała długą, wąską skrzynię, która, w przeciwieństwie do wszystkiego innego na

pokładzie, pozbawiona była całkowicie ozdób.

– Uważaj na tę skrzynię, – powiedział.

– Ten dzwon, którym dzwoniliście, – przypomniało mi się. – Czy używaliście go niedawno temu?

– Tak, próbowaliśmy raz jeszcze, licząc że nas usłyszysz i przybędziesz. Wtedy Władczyni Kielicha powiedziała nam, że znajdujesz się gdzieś na Wielkim Słonym Morzu i zaczęliśmy cię tutaj właśnie szukać.

– Kiedy wzywaliście mnie po raz pierwszy?

– Około sześćdziesięciu dni temu.

– Udałem się wówczas do Rowenarcu, – powiedziałem.

– I Belphig cię uwięził?

– Być może tak by należało to określić, Ale nie wiedziałem tego wówczas. Co wiesz na temat Belphiga, panie Bładrak?

– Niezbyt wiele. Zawsze był wrogiem wolnych żeglarzy.

– Czy jesteście tymi, których Belphig określał mianem piratów?

– O tak, bez wątplenia. Tradycyjnie żyliśmy z tego, że żeglowaliśmy po morzu, łupiąc okręty i miasta na wybrzeżu. Teraz jednak poświęcamy całą naszą uwagę Srebrnym Rycerzom. Z twoją pomocą mamy chociaż szansę ich pokonać, choć czasu jest już niewiele.

– Mam nadzieję, że nie liczysz na mnie przesadnie, Bładraku Poranna Włócznie. Zapewniam cię, że nie posiadam nadprzyrodzonych sił.

Zaśmiał się. – Jak na bohatera, jesteś zbyt skromny. Wiem jednak, co masz na myśli – chodzi ci o to, że nie masz swego oręża. Ale Władczyni Kielicha pomyślała już o tym wszystkim. – Wyciągnął rękę, aby wskazać na leżącą z tyłu podłużną skrzynię. – Popatrz, panie, zabraliśmy twój miecz ze sobą!

II. SZKARŁATNY FIORD

Na słowa Bładraka, ogarnął mnie strach. Przypatrywałem mu się, pełen obaw, nie umiając jeszcze zebrać myśli i uświadomić sobie tego, co się stało. Zostałem wmanewrowany w tę sytuację, a Bładrak stał się nieświadomym narzędziem owej manipulacji.

Bładrak był zaskoczony. – Co się stało, panie? Czy postąpiliśmy niewłaściwie? Czy zrobiliśmy coś, co spowodowało na ciebie twoje przeznaczenie?

Mój głos stał się chrapliwy, i sam ledwo mogłem zrozumieć własne słowa. Moje obawy rosły, mimo że nie znałem przecież natury Czarnego Miecza. – Przeznaczenie nas wszystkich, Bładraku Poranna Włócznie, w tej czy innej formie. Być może, niejako przy okazji, spełniony zostanie cel, do jakiego dążysz. Ale czy znasz cenę, jaką przyjdzie zapłacić?

– „Cenę”?

Twarz wykrzywił mi grymas bólu. Zakryłem ją dłońmi, aby to ukryć.

– Jakaż to cena, hrabio Urliku?

Odchrząknąłem, ale wciąż nie patrzyłem na niego. – Sam jeszcze tego nie wiem, Bładraku. Obaj dowiemy się tego w swoim czasie. Póki co, wolałbym się jednak trzymać jak najdalej od miecza – nie otwierajcie tej skrzyni.

– Postąpimy tak, jak tego sobie życzysz, hrabio Urliku. Ale czy poprowadzisz nas przeciw Srebrnym Rycerzom?

Przytaknąłem. – Jeśli właśnie po to zostałem wezwany, to dokonam tego.

– Bez miecza?

– Bez miecza. Nie odezwałem się więcej podczas dalszej wędrówki do domu Bładraka, niekiedy jednak, wbrew mojej woli, moje oczy zerknęły na czarną skrzynię, leżącą pod potężną czaszką zabitego jelenia morskiego. Odwracałem wówczas pospiesznie głowę, a melancholia wypełniała mi umysł.

W końcu, zza chmur wyłoniły się wysokie, klifowe skały. Potężne i czarne, wydawały się jeszcze mniej gościnne, niż obsydianowe stromizny Rowenarcu.

Rozglądając się po okolicy, zauważyłem różowe światło, i przypatrywałem się mu ze zdziwieniem.

– Co to takiego? – spytałem Bładraka. Uśmiechnął się. – To właśnie Szkarłatny Fiord. Zaraz do niego wpłyniemy.

Byliśmy już bardzo blisko skał, a mimo to nie zmieniliśmy kursu – czaple ciągnęły łódź wprost na nie. Dopiero wtedy zobaczyłem, dlaczego. Ukazał się przesmyk między skałami, wypełniony głęboką wodą. Było to zapewne wejście do fiordu. Jeden z ludzi Bładraka wziął w dłonie wielki, zakrzywiony róg, przytknął go do ust i dmuchnął potężnie. Na dźwięk tego rogu, z góry rozległ się podobny dźwięk. Spojrzawszy tam, zauważyłem, że po obu stronach wąskiego skalnego przesmyku znajdowały się umocnienia obronne, na których zajęli miejsca wojownicy. Wysokie ściany fiordu wytwarzały tak głęboki półmrok, że byłem przekonany, iż musimy roztrzaskać się o skały, czaple jednak kierowały zręcznie naszą łodzią. W pewnej chwili blask zmusił mnie do przymrużenia oczu. Woda była purpurowa. Powietrze także miało barwę szkarłatu. Skały połyskiwały rubinową barwą. Zrobiło się nagle ciepło. Ciepłe, czerwone światło pochodziło z tysięcy jaskiń, których wylotami upstrzona była wschodnia ściana fiordu.

– Skąd pochodzi ten blask? – spytałem.

Bładrak potrząsnął przecząco głową. – Tego nikt nie wie. Tak było zawsze. Jedni uważają, że jest pochodzenia wulkanicznego, inni, że to antyczni naukowcy wynaleźli specyficzny rodzaj ognia, trawiącego jedynie skały i powietrze, ale po dokonaniu tego wynalazku, okazało się, że nie będzie z niego żadnego pożytku. Nie mogąc ugasić tego ognia, postanowili go zasypać – i tak miał powstać Szkarłatny Fjord.

Nie mogłem oderwać spojrzenia od tych rozpalonych skał. Wszystko wokół było skąpane w tej samej, czerwonej poświacie. Po raz pierwszy od mego pojawienia się w tym świecie, było mi naprawdę ciepło.

Bładrak wskazał dłonią południową i zachodnią ściany fiordu. – Tutaj właśnie mieszkamy.

W miejscu, gdzie skały stykały się z powierzchnią wody, wykute były długie nabrzeża. U tych nabrzeży, przycumowanych było wiele łodzi, bardzo podobnych do tej, jaką i my żeglowaliśmy. Powyżej, wykute były w skałach stopnie, galeryjki, i tarasy. Przed prostymi, kwadratowymi wejściami do skalnych grot, zgromadziły się tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci, odzianych w proste, jednorodne kolorystycznie szaty – bluzy, tuniki lub suknie. Gdy zobaczono nas na południowym stoku, rozległy się radosne okrzyki i wiwaty, a potem skandowanie. Skandowano tylko jedno słowo.

– Urlik! Urlik! Urlik!

Bładrak uniósł ramiona, prosząc o ciszę, gdy zaś gwar stał się nieco mniejszy, obnażył zęby w szerokim uśmiechu.

– Moi przyjaciele ze Szkarłatnego Fiordu! Wolny narodzie Południa! Bładrak powrócił, przywożąc ze sobą hrabiego Urlika, który nas ocali. Patrzcie! – Dramatycznym gestem wskazał najpierw na czaszkę jelenia morskiego, a potem na mój złamany topór. – Z pomocą tylko tego topora, samodzielnie zabił Rozpruwacza Brzuchów. W ten sam sposób zniszczymy Srebrnych Rycerzy, którzy wtrącili w niewolę naszych braci z Północy!

Ku mojemu zawstydzeniu, wiwaty stały się teraz jeszcze głośniejsze. Postanowiłem jak najszybciej powiedzieć Bładrakowi, że zabicie jelenia nie było jedynie moją zasługą.

Łódź została przycumowana, my zaś zesłaliśmy na nabrzeże. Kobieta, o zaróżowionych policzkach zbliżyła się do nas i uścisnęła Bładraka, po czym dygnęła przede mną.

Nie mogłem nie poczynić porównania między tymi ludźmi, a neurastenicznymi mieszkańcami Rowenarcu, o bladych obliczach i niezdrowych żądzach. Być może ludność Rowenarcu osiągnęła zbyt wysoki poziom cywilizacji, aby się dalej rozwijać, i nastawiona była jedynie na przyszłe przyjemności, podczas gdy ludzie, zamieszkujący Szkarłatny Fiord, zajęci byli aktualnymi, ważnymi dla nich problemami. A najważniejszym dla nich problemem było zagrożenie ze stromy Srebrnych Rycerzy. Cieszyło mnie, że tutaj przynajmniej nie będę musiał polegać na zdawkowych i wykrętnych tłumaczeniach biskupa Belphiga, bo Bładrak opowie mi wszystko, co sam wie.

Ów, tak zwany Przewodnik Szkarłatnego Fiordu, zaprowadził mnie do swoich apartamentów. Były ładnie umeblowane, a lampy oświetlające pokoje, również płonęły purpurowym światłem. Ozdoby, widniejące na meblach, i na przedmiotach, wiszących na ścianach, przypominały mi bardzo te, które widziałem na moim rydwanie i na mej broni, gdy zmaterializowałem się na lodowej równinie.

W zamyśleniu usiadłem na krześle, wyrzeźbionym z bursztynowej bryły, i zadziwiająco wygodnym. Wiele spośród tutejszych mebli, było wykonanych z bursztynu, zaś stół wykonany był z kwarcu. O ironio, wyglądało na to, że człowiek rozpoczął swe dzieje w Epoce Kamiennej i na Epoce Kamiennej je zakończy.

Jedzenie, jakim mnie poczęstowano, było prosto przyrządzone, ale smaczne; dowiedziałem się, że i tutaj, podobnie jak w Rowenarcu, uprawy umieszczone były w specjalnych ogrodach, mieszczących się w najgłębszych grotach.

Po posiłku, siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, przy pucharach z winem. Potem zaczęliśmy rozmowę.

– Słuchaj, Bładrak. Musisz wziąć pod uwagę, że moja pamięć jest bardzo słaba i odpowiedzieć na każde moje pytanie, nawet najbardziej banalne. Wiele ostatnio wycierpiałem i uczyniło mnie to człowiekiem o słabej pamięci.– Rozumiem, – odrzekł. – Co chciałbyś wiedzieć?

– Po pierwsze, w jaki konkretnie sposób zostałem wezwany?

– Czy wiesz, że zasnąłeś w Lodowej Bryle, gdzieś daleko – na Południowym Lodzie?

– Wiem tylko, że znalazłem się nagle na Południowym Lodzie, jadąc na rydwanie w kierunku wybrzeża.

– Zgadza się – kierowałeś się w kierunku Szkarłatnego Fiordu. Gdy zaś dotarłeś już do wybrzeża, skierowano cię do Rowenarcu.

– To wiele wyjaśnia, – powiedziałem, – bowiem nie mogłem tam znaleźć nikogo, kto mógłby mnie wezwać. Powiem więcej, niektórzy, jak choćby Belphig, woleliby się mnie jak najszybciej pozbyć.

– Tak więc trzymali cię u siebie, aż udało się im pozostawić cię na owej wysepce, na której cię znaleźliśmy.

– Być może rzeczywiście postąpili tak świadomie. Nie jestem pewny. A już całkiem nie umiem wyjaśnić przyczyny, dla której Belphig miałby tak postąpić.

– Umysły mieszkańców Rowenarcu są – tu Bładrak puknął się palcem w czoło – otumanione, zaćmione, tak to chyba trzeba określić...

– Ale Belphig musiał wiedzieć o dzwonie, bo kiedy zadzwonił po raz drugi, kazał zmienić kierunek żeglugi i wspomniał przy tym twoje imię. Wynika z tego, iż wiedział, że mnie wzywał. Nie powiedział mi jednak o tym. Dlaczego właściwie dzwoniliście tym dzwonem na morzu? I dlaczego wtedy, gdy byłem wzywany, nie usłyszałem dzwonu, a tylko głosy?

Bładrak spojrział na swój puchar z winem. Podobno zarówno dźwięk dzwonka, jak i głosy, przenoszą się poprzez różne światy, ale tylko w naszym świecie dzwon jest słyszalny. Nie wiem, czy jest to prawda, bowiem słyszałem dźwięk dzwonu jedynie w naszym świecie.

– Gdzie znajduje się dzwon?– Nie wiem tego. Modlimy się, a wówczas dzwon dzwoni. Tak kazała nam postępować Władczyni Kielicha.

– Kim jest owa Pani Kielicha? Czy ukazuje się ona w postaci gigantycznego, złotego kielicha, który płacze i krzyczy?

– Skądże... – Bładrak spojrział na minie z ukosa. – To tylko jej imię, nic więcej. Przybyła do nas, gdy zagrożenie ze strony Srebrnych Rycerzy znacznie wzrosło. Opowiedziała nam o bohaterze, który jest w stanie nam pomóc. Powiedziała, że jest nim Urlik. Skarsol, księżę śnieżnych bezdroży, Pan Lodowej Bryły, Księżę Południowego Lodu, Pan Zimnego Miecza...

– Zimnego Miecza? Na pewno nie Czarnego Miecza?

– Zimnego Miecza.

– Mów dalej.

– Władczyni Kielicha oznajmiła, że jeśli wezwiemy owego bohatera dostatecznie szybko, to zdąży on usłyszeć Dzwon Urlika, który go wezwie. Przybędzie nam wówczas z odsieczą, weźmie Zimny Miecz, a krew Srebrnych Rycerzy wypełni kielich i stanie się pokarmem Słońca...

Westchnąłem ciężko. Zimny Miecz był zapewne lokalną nazwą Czarnego Miecza. Jermays mówił przecież, że ten miecz ma w różnych światach różne nazwy. Coś we mnie nie zgadzało się jednak z tym rozumowaniem.

– Musimy jakoś poradzić sobie ze Srebrnymi Rycerzami bez miecza, – stwierdziłem stanowczo. – Teraz opowiedz mi, kim właściwie są ci rycerze.

– Przybyli tutaj z nicości około roku temu. Mówi się, że pochodzą z Księżyca, który opuścili, bo

było tam nazbyt zimno. Mieli podobno okrutną królową, ale nikt jej nie widział. Są zasadniczo niewrażliwi na ciosy zwykłej broni i wobec tego bardzo trudno pokonać ich w bitwie. Z łatwością zdobyli miasta północnego wybrzeża, jedno po drugim. Większość mieszkańców owych miast, podobnie jak ludność Rowenarcu, zbyt zajęci byli sami sobą, aby zorientować się w sytuacji. Srebrni Rycerze wtrącili ich w niewolę, zabijali lub przeistoczyli ich w bezmyślne stworzenia, niepodobne do ludzi. My jesteśmy walnymi żeglarzami, przepędzaliśmy niegdyś innych z ich miast, teraz jednak ratujemy tych, których zdołamy i sprowadzamy ich tutaj. Robimy tak już od pewnego czasu. Obecnie jednak wszystko wskazuje na to, że Srebrni Rycerze planują atak na południowe wybrzeże. W bezpośrednim starciu prawdopodobnie nie jesteśmy w stanie ich pokonać i grozi nam to, że cała rasa stanie się niewolnikami Srebrnych Rycerzy.

– Czy ich ciała są z krwi i kości, tak jak nasze? – zapytałem, obawiałem się bowiem, że mogą oni być jakimiś robotami lub androidami.

– Tak, ich ciała są z krwi i kości. Są wysocy i szczupli; są arogancy, małomówni i noszą dziwne srebrne zbroje. Ich ręce i twarze są także srebrne. Inne części ich ciała nie są widoczne.

– Nigdy nie udało się wam wziąć żadnego do niewoli?

– Nigdy. Ich pancerz pali nas przy dotknięciu. Wzdrygnąłem się. Czego więc oczekujecie ode mnie?

– Poprowadź nas. Bądź naszym bohaterem.

– Przecież ty sam mógłbyś poprowadzić swoich ludzi.

– Mógłbym. To wszystko przekracza nasze możliwości, ty zaś, jako bohater, jesteś w stanie dokonać znacznie więcej.

– Mam nadzieję, że to prawda, – odrzekłem. – Mam nadzieję, że to prawda, panie Bładraku ze Szkarłatnego Fiordu.

III. NAJAZD NA NALANARC

Bladrak poinformował mnie, że na następny dzień zaplanowano ekspedycję przeciw Srebrnym Rycerzom. Okręty były już przygotowane, a Bladrak spodziewał się, że udam się wraz z nimi na Wyprawę przeciw wyspie Nalanarc, leżącej kilka mil od północno-zachodniego wybrzeża. Celem wyprawy było nie tylko zabicie wielkiej liczby Srebrnych Rycerzy, ale także uwolnienie jeńców, uwięzionych na wyspie. Bladrak nie był pewny, czy więźniowie tam na pewno byli i do czego byli używani, podejrzewał jednak, że zmuszeni zostali do budowania okrętów i broni, przeznaczonych do przyszłego ataku Srebrnych Rycerzy na Południowe wybrzeże.

– Skąd wiesz, że na pewno planują atak? – zapytałem,

– Niewolnicy, których uwolniliśmy, przekazali nam tę informację. Poza tym, dla nikogo nie może być wątpliwości, że planowany jest atak na Południe. Jak byś postąpił, jako zdobywca, gdyby jeden konkretny rejon zawsze stawiał ci opór?

– Spróbowałbym oczywiście zlikwidować źródło moich kłopotów, – odparłem.

Wy płynąłem ostatecznie wraz z całą flotą.

W Szkarłatnym Fiordzie pozostawiliśmy tylko wiwatujące, machające nam na pożegnanie kobiety. Bardzo szybko znaleźliśmy się na otwartym morzu. Początkowo mieliśmy pewne kłopoty, ponieważ czaple splątały swoje linki, które trzeba było rozplątywać. Kłopoty nie trwały jednak zbyt długo i nic nie stało już na przeszkodzie naszej żegludze na północ.

Bladrak śpiewał jakieś dziwne, niezrozumiałe pieśni; podejrzewałem, że nawet on nie rozumiał ich treści. Jego morale wydawało się bardzo wysokie, choć, jak odkryłem, nie miał żadnych konkretnych planów w odniesieniu do naszej wyprawy, poza tym, aby jakoś tam się dostać i jakoś wyzwolić jeńców. Przedstawiłem mu swój plan, on zaś wysłuchał mnie z zainteresowaniem. – Bardzo dobrze, – odpowiedział, – spróbujemy tak postąpić.

Mój plan był dość prosty, mimo, że nie znając Srebrnych Rycerzy, nie mogłem znać specyfiki walki przeciwko nim. Płynęliśmy dość długo, a płozy sań podskakiwały na powierzchni gęstej, morskiej wody. Z mroku wyłoniła się w końcu przed nami wielka wyspa.

Bladrak zawołał do swojej załogi: – Idźcie tam szybko, pozostawcie broń, i wracajcie. Poczekać, aż zwrócą na was uwagę i zaczną was ścigać na swych łodziach. Uciekajcie wówczas, bawiąc się z nimi w kotka i myszkę. My, korzystając z ich nieuwagi, zabierzemy na pokład niewolników.

Taki był właśnie mój plan – modliłem się, żeby się powiódł.

Łódź, płynąca na czele, wyznaczona do tego zadania, ruszyła pędem ku wyspie, podczas gdy pozostałe zwolniły, zatrzymując się w ławicy brązowych chmur. Już wkrótce usłyszeliśmy od strony

wyspy jakieś hałasy, potem zaś ujrzeliśmy łódź ze Szkarłatnego Fiordu, uciekającą z olbrzymią szybkością, ściganą przez większą, cięższą jednostkę, przypominającą swoim wyglądem normalne okręty, znane mi z innych światów; było zbyt daleko, bym mógł określić, co jest źródłem napędu tego statku.

Wówczas my wkroczyliśmy do akcji.

Wyspa Nalanarc stawała się coraz większa i większa, w miarę jak się do niej zbliżaliśmy; pomimo panującego tu półmroku, udało mi się zauważyć, iż w niektórych jej częściach wznoszone były jakieś budowle. Być może Srebrni Rycerze nie byli przyzwyczajeni, aby zamieszkiwać we wnętrzu skał, jak ludzie Bładraka czy mieszkańcy Rowenarcu. Budynki były kwadratowe, niskie i szerokie, z ich wnętrza wydobywało się przyćmione światło. Zbudowane były u nasady wzgórza, podczas gdy największy budynek umiejscowiony był – na samym wierzchołku. Na samym dole zbocza, widniały znajome otwory jaskiń.

– Tam właśnie znajdują się niewolnicy, – oznajmił Bładrak. – W tych jaskiniach muszą oni budować okręty i robić broń, aż do swej śmierci, kiedy to zastępuje ich następna partia niewolników. Znajdują się tu mężczyźni i kobiety w różnym wieku. Bardzo mało dostają do jedzenia. Jak widzisz, można ich tu trzymać bardzo wielu. Nie przypuszczam, aby po opanowaniu całej planety Srebrni Rycerze przewidywali dalsze istnienie naszej rasy.

Chociaż wierzyłem Bładrakowi, to nie mogłem nie pamiętać, że poprzednim razem ci, którzy mnie wezwali, także utrzymywali, iż ich przeciwnicy są wcieleniem ogromnego, nieustającego zła. W końcu zaś odkryłem, że to właśnie Eldreny były w tej walce ofiarami. Dlatego pragnąłem osobiście poznać postęпки Srebrnych Rycerzy.

Tymczasem czaple powstrzymały pęd naszej łodzi przy piaszczystym wybrzeżu wyspy, my zaś wyskoczyliśmy na ląd, pędząc ku otworom jaskiń, widniejącym w dolnej części zbocza. Było jasne, że niemal wszyscy Srebrni Rycerz-; wyruszyli w pościg za niewielką częścią naszej floty, która miała odciągnąć ich uwagę. Obawiałem się, że nie uda nam się użyć tej taktyki po raz drugi. Do jaskiń dotarliśmy biegiem; tam po raz pierwszy miałem okazję zobaczyć naszych przeciwników. Były to dwumetrowe dryblasy, byli jednam przy tym niezwykle szczupli, o długich ramionach i nogach. Ich głowy były spłaszczone, a cera była biała, z lekkim odcieniem srebra. Ich pancerze nie posiadały chyba połączeń, wyglądały bowiem niczym jednolita, pokrywająca całe ciało skorupa. Głowy ich osłonięte były ciasno dopasowanymi hełmami. Jako broń służyły im długie halabardy o podwójnym ostrzu. Na nasz widok ruszyli natychmiast do ataku, wywijając halabardami, ale posługiwali się nimi raczej niezgrabnie i wyglądało na to, że są przyzwyczajeni do jakiejś innej broni.

My, uzbrojeni byliśmy w oręż, który Bładrak określił jako jedyny skuteczny środek do walki przeciw Srebrnym Rycerzom, których pancerzy nie można było przebić, a w dodatku sam ich dotyk porażał atakującego. Orężem tym były sieci o dość luźnej strukturze, które zarzuciliśmy na nich, gdy tylko się zbliżyli. Sieci przywarły do ich ciał, splątały się, toteż nie byli w stanie się uwolnić. Pospiesznie rozejrzałem się po jaskiniowych warsztatach, i poraził mnie fatalny stan, w jakim zastałem mężczyzn, kobiety i dzieci, których zmuszano tutaj do pracy, nagich i wygłodzonych,

– Zabierzcie stąd tych ludzi jak najszybciej, – zawołałem.

Jeden ze Srebrnych Rycerzy uniknął naszej sieci i szarżował teraz na mnie – ze swoją halabardą. Odrzuciłem jego halabardę ciosem mojego odnowionego topora, po czym, nie zważając na poprzednie ostrzeżenia Bładra, potężnie ugodziłem w jego ciało. Potężny wstrząs podrzucił moje ramię, ogłuszając mnie na chwilę. Srebrny Rycerz runął jednak także. Nie mogłem uwierzyć w to, co się wydarzyło – doznałem przecież, ni mniej, ni więcej, tylko wstrząsu elektrycznego. Teraz ludzie Bładra bez przeszkód mogli wyprowadzić oszołomionych niewolników z jaskiń i kierować ich ku okrętom.

Spojrzałem ku budynkowi na szczycie – zauważyłem, na tle migotliwej srebrnej poświaty, dziwnie znajomy kształt, rysujący się na tle okna. Kształt ten należał do osobnika, który miał na sobie gruszkowaty pancerz, taki, jakie widywałem w Rowenarcu. Zaciekawiony, nie zważając na potencjalne niebezpieczeństwo, ukryłem się za jednym z owych kwadratowych gmachów, i zacząłem pełznąć w kierunku wzgórza. Nieznajomy z pewnością nie spodziewał się, że może być tak łatwo widoczny od strony skalnych grot. Gniewnie gestykulował, na widok, ludzi Bładra, pomagających nieszczęsnym niewolnikom dotrzeć na pokłady łądzi. Usłyszałem jego głos, i choć nie mogłem odróżnić poszczególnych słów, to jego tonacja była mi bardzo dobrze znana. Zbliżyłem się jeszcze bardziej, chcąc potwierdzić wzrokiem to, czego dowodził mój słuch. Wreszcie ujrzałem jego twarz. Był to Oczywiście biskup Belphig. Wszelkie podejrzenia, jakie wobec niego miałem, potwierdziły się.

– Czy nie rozumiecie? – krzychał. – Ten pirat Bładrak nie dość, że pozbawi was połowy siły roboczej, ale przekształci wielu spośród wyzwolonych w żołnierzy, którzy będą z wami walczyć.

Usłyszałem jakąś mruczącą odpowiedź, za chwilę zaś ze wzgórza zbiegać zaczęła grupa Srebrnych Rycerzy, którzy widząc mnie, rzucili się do ataku, trzymając w dłoniach halabardy. Rzuciłem się gwałtownie do ucieczki, w ostatniej chwili wskazując na odpływającą łódź Bładra.

– Myśleliśmy już, że cię straciliśmy, Mistrzu, – zaśmiał się. – Cóż u licha tam robiłeś?

– Przysłuchiwałem się pewnej rozmowie.

Halabardy, rzucone przez Srebrnych Rycerzy, świstały wokół nas, wpadając do wody, ale już wkrótce znaleźliśmy się poza ich zasięgiem.

Bładrak był zadowolony: – Wiele czasu zajmie im teraz przygotowanie cięższej broni. Dobrze nam się powiodło. Nie mamy nawet jednego rannego, a poza tym – tu wskazał na zatłoczone wyzwolonymi niewolnikami łodzie – mamy niezły ładunek. Po chwili przypomniały mu się moje słowa.

– Rozmowa? Czego się dowiedziałeś?

– Dowiedziałem się, że Rowenarc ma przywódcę, który zamierza doprowadzić go do upadku, – powiedziałem.

– Belphig?

– Właśnie. On jest teraz tam, na szczycie góry, zapewne wraz z dowódcą Srebrnych Rycerzy z tej wyspy. Teraz rozumiem przyczynę owego „polowania”. Chodziło mu tylko o to, aby się mnie pozbyć. Bał się, że mogę wam pomóc przeciw jego sojusznikom – Srebrnym Rycerzom, z którymi odbywa sekretne spotkania.

Bładrak wzruszył ramionami. – Zawsze podejrzewałem go o coś w tym rodzaju. Ludzie z Rowenarcu upadli bardzo nisko.

– Poza, powiedzmy, ich Doczesnym Władcą – Shanosfane. Żadna istota ludzka nie zasługuje na los, jaki był udziałem tych nieszczęśników, – wskazałem kciukiem na wychudłe, brudne ciała wyzwolonych przez nas niewolników Srebrnych Rycerzy.

– Jak w tej sytuacji postąpisz, hrabio Urliku?

– Muszę to przemyśleć, panie Bładrak. Rzucił mi długie, ciężkie spojrzenie i zapytał cicho: – Czy jesteś pewny, że nie nadszedł jeszcze czas na użycie twego miecza?

Unikałem jego spojrzenia, wpatrując się w morską toń. – Nigdy nie mówiłem, że kiedykolwiek zamierzam użyć tego miecza.

– W takim razie nie sądzę, abyśmy przerwali zbyt długo, – odparł smętnie.

IV. WŁADCZYNI KIELICHA

Tak więc powróciliśmy do Szkarłatnego Fiordu cali i zdrowi. Uwolnieni jeńcy z ciekawością rozglądali się wokół, gdy nasze łodzie przybiły wreszcie do nabrzeża, skąpanego w różowym świetle, wydobywającym się z klifowych skał.

– Trzeba będzie teraz wzmocnić strażę u wejścia do fiordu, – powiedział Bładrak do jednego z dowódców niższej rangi. W roztargnieniu miętosił w dłoni jedną z bransolet, które nosił na ramieniu.
– Belphig wie o nas i wie, gdzie znajduje się Szkarłatny Fiord. Będą próbować odwetu.

Zmęczeni wyprawą, z ulgą weszliśmy do naszych pomieszczeń, a urodziwe niewiasty przyniosły nam mięso i wino. W Szkarłatnym Fiordzie było mnóstwo wolnych pomieszczeń mieszkalnych, toteż uwolnieni świeżo niewolnicy mogli bez trudu się w nich rozgościć. Bładrak był jednak zasepiony, siedząc tak naprzeciwko mnie i wpatrując się w kwarcowy stół.

– Czy nadal myślisz o Czarnym Mieczu? – zapytałem.

Potrząsnął przecząco głową. – Nie. O tej sprawie to ty powinieneś myśleć. Zastanawiałem się, jakie efekty może przynieść perfidia Belphiga. Od czasu do czasu mieliśmy u nas, w Szkarłatnym Fiordzie, ludzi, którzy twierdzili, że zwyczaję, panujące w Rowenarcu bardziej im odpowiadają, i odchodzili stąd. Nie czyniliśmy im przeszkód...

– Czy sądzisz, że Belphig może znać większość twoich tajemnic.

– Wspominałeś, że zaniepokoił go bardzo dźwięk Dzwonu Urlika. Jest jasne, że wiedział wszystko o tobie, o Władczyni Kielicha i tak dalej. Nie ulega też wątpliwości, że próbował początkowo przerobić cię na swoją modłę w Rowenarcu, gdy zaś to się nie powiodło...

– Zostawił mnie na wyspie. Ale teraz już pewnie wie, że przyłączyłem się do was, – zauważyłem.

– Z pewnością. A wszelkie informacje, jakie posiada, przekazuje swoim mocodawcom z innej planety.. Jak myślisz, w jaki sposób je wykorzystają?

– Uderzą na nas, nim zdołamy się umocnić.

– To nie ulega kwestii. Ale czy najpierw zaatakują Szkarłatny Fiord, czy też załatwią wpierw Rowenarc i inne miasta odległego wybrzeża?

– Podejrzewam, że łatwiej pójdzie im z tymi miastami, – odparłem. – Potem dopiero skoncentrują całe swe siły na Szkarłatnym Fiordzie.

– I ja tak przypuszczam.

– Powstaje zatem pytanie – czy pozostaniemy tutaj, umacniając nasze pozycje w celu obrony przed

obleżeniem, czy też ruszamy na pomoc obrońcom Rowenarcu i innych miast?

– To trudny problem, – Bładrak powstał, mierzwiąc dłonią swą rudą czuprynę. – W tej sprawie musiałbym podyskutować z kimś, kto posiada wiedzę w tej materii, – powiedział w końcu.

– Macie tu filozofów? Lub strategów? – zapytałem.

– Nie w tym rzecz. Jest z nami Władczyni Kielicha.

– Ona mieszka w Szkarłatnym Fiordzie? Nie zdawałem sobie sprawy...

Uśmiechnął się i potrząsnął głową. – Nie, ale być może do nas przybędzie.

– Bardzo chciałbym spotkać tę kobietę. To ona w końcu odpowiada” za nasze spotkanie w tym świecie.– W takim razie chodź ze mną, – powiedział Bładrak, po czym poprowadził mnie ukrytym za wewnętrznymi drzwiami korytarzem, opadającym stopniowo coraz niżej.

Wkrótce poczułem w nozdrzach ostry zapach solanki i zauważyłem, że ściany są wilgotne. Domyślałem się, że znajdujemy się w tej chwili pod fiordem. Korytarz rozszerzył się, przekształcając się w przestronną izbę. Ze sklepienia zwieszały się wysmukłe stalaktyty jasnoniebieskiej, żółtej i zielonej barwy. Stalaktyty świeciły łagodnym światłem, toteż nasze postacie rzucały ogromne cienie na chropowatych, wulkanicznych ścianach jaskini. W centrum jaskini znajdowała się wygładzona, bazaltowa płaszczyzna, na której znajdował się słupek, wysokości około połowy wzrostu dorosłego człowieka. Słupek miał czarną, matową barwę, nakrapianą ciemnoniebieskim kolorem. W izbie nie było żadnych innych ozdób.

– Po co tutaj ten słupek? – zdziwiłem się. Bładrak rozłożył ramiona. – Nie wiem. Zawsze tutaj był. Był tu na długo przedtem, zanim moi przodkowie przybyli do Szkarłatnego Fiordu. – Czy ma jakikolwiek związek z Panią Kielicha? – spytałem. – To całkiem możliwe, ponieważ to właśnie tutaj zawsze się ona pojawia, – powiedział. Rozejrzał się, zaniepokojony. – Pani? Zamilkł. Jakiś odległy początkowo, piskliwy, wibrujący dźwięk zaczął się do nas przybliżać. Stalaktyty zaczęły także drgać, i modliłem się, aby nie pospadały nam na głowy pod wpływem tej wibracji. Bazaltowy słupek zdawał się zmieniać nieznacznie kolor, choć może było to tylko złudzenie, spowodowane drganiem wibrujących stalaktytów. Dźwięk wzrastał się coraz bardziej, przypominając w końcu ludzki płacz, na tyle jednak sztuczny, że nieco przerażający.. Przymrużyłem oczy. Wydało mi się, że znowu widzę zarys wielkiego, złotego kielicha. Obróciłem się, aby powiedzieć coś do Bładraka, a gdy ponownie zerknąłem w tamtym kierunku, stwierdziłem w osłupieniu, że stoi tam kobieta. Jej postać promieniowała złotym światłem. Jej suknia i włosy były – ze złota, na dłoniach zaś miała rękawiczki. Jej twarz przysłonięta była złotym welonem.

Bładrak ukląkł. – Pani, raz jeszcze potrzebujemy twojej pomocy.

– Mojej pomocy? – rozległ się jej pełen słodczy głos. – Wszak wasz wielki bohater, Urlik, w końcu się do was przyłączył?

– Nie jestem prorokiem, pani, – wtrąciłem. – Bładrak uważa, że ty, pani, masz takie zdolności.

– Moje zdolności są ograniczone i nie wolno mi mówić wszystkiego, co wiem. A cóż chcesz wiedzieć, Mistrzu?

– Niech Bładrak ci o tym opowie.

Bładrak powstał. Pokrótce wyjaśnił sytuację. Czy powinniśmy iść na pomoc zagrożonemu Rdwenarcowi i innym miastom? Czy powinniśmy może czekać, aż Srebrni Rycerze nas zaatakują?

Władczyni Kielicha zamyśliła się. – Im mniej ludzi zginie w tej walce, tym lepiej, jak sądzę, – oznajmiła. – Uważam, że im szybciej to wszystko się skończy, tym więcej ludzi uda się ocalić.

Bładrak zaprotestował. – Przecież Rowenarc sam jest winien swego losu. Kto jest w stanie określić, jak wielu żołnierzy stanie po stronie Belphiga? Możliwe jest nawet, że miasto podda się bez walki...

– I tak będzie tam niedługo rozlew krwi, – odpowiedziała Pani Kielicha. – Belphig będzie się chciał pozbyć każdego, komu nie może zaufać.

– Wobec tego, – rozłożył ręce Bładrak Poranna Włócznia, i spojrzał na mnie.

– Czy jest jakiś sposób na pokonanie Srebrnych Rycerzy? – zwróciłem się do tej tajemniczej kobiety. – Obecnie sprawa wygląda bardzo źle.

– Nie można ich zabić, – powiedziała. – W każdym razie nie ta bronią, jaką posiadacie.

– W takim razie będę tylko niepotrzebnie ryzykował życie wielu ludzi, aby ocalić bezwartościowe miasto Rowenarc, – zaniepokoił się Bładrak. – Obawiam się, pani, że moi ludzie nie będą chcieli ginąć dla tak błahego powodu.

– Nie wszystko jest tak błahę, – zauważyła. – A co z Lordem Shanosfane? Jeśli Belphig obejmie całkowitą władzę w Rowenarcu, to znajdzie się on w wielkim niebezpieczeństwie.

Przyznałem, że Shanosfane rzeczywiście był w niebezpieczeństwie i zgodziłem się, że Władca Doczesny wart był ocalenia z rąk Belphiga.

Wówczas zapytała mnie, raczej dziwnym tonem: – Czy określiłbyś Lorda Shanosfane jako dobrego człowieka?

– Tak, – odrzekłem. – Bardzo dobrego.

– W takim razie, jak sądzę, będziesz go niedługo potrzebował, – powiedziała.

– Może uda nam się dotrzeć do Rowenarcu, nim Belphig zakończy swe działania w Nalanarcu? – zasugerowałem. – Może uda nam się ewakuować stamtąd ludność, zanim zaatakują ją Srebrni Rycerze?

– Belphig już skończył to, co zamierzał, w Nalanarcu, – wtrącił Bładrak. – Teraz zaś, gdy stał się

jawnym sojusznikiem Srebrnych Rycerzy, nie będzie już tracił ani chwili czasu.

– To prawda.

– Tylko Czarny Miecz może pokonać Belphega, – powiedziała spowita woalem kobieta, dodając, – a ty jesteś posiadaczem tego miecza, Lordzie Urliku.

– Nie użyję go, – powiedziałem stanowczo.

– Użyjesz go, – powiedziała. Powietrze w grocie zadrgało. Znikła.

Zrozumiałem wymowę jej słów. Nie było w nich groźby, a tylko głębokie przekonanie i pewność. Podobne słowa usłyszałem już, gdy zostałem pozostawiony na wyspie jelenia morskiego.

Potarłem twarz dłońmi. – Byłbym wdzięczny, gdyby choć raz było mi wolno kształtować samodzielnie mój własny los, – powiedziałem z goryczą. – Nieważne, czy wyszłoby mi to na dobre, czy na złe.

– Chodź, – zwrócił się do mnie Bładrak, opuszczając grootę.

Poszedłem za nim, zagubiony w swych myślach. Wszystko wokół sprzysięgnęło się, aby zmusić mnie do postępowania według szablonu, który stanowczo odrzucałem. A może mój instynkt mylił się tym razem...

Powróciliśmy do apartamentów Bładraka akurat w chwili, gdy zjawił się posłaniec z wieściami.

– Panowie, flota Srebrnych Rycerzy opuściła swój port i płynie prosto na południe.

– Dokąd się kierują? – dopytywał się Bładrak.

– Jak sądzę, płyną do Rowenarcu, – odparł posłaniec.

Bładrak zdenerwował się. – Jak widzę, traciliśmy tylko niepotrzebnie czas. Teraz nie jesteśmy już w stanie przybyć tam przed nimi. Może to jednak być tylko sztuczka, mająca wywieść nas w pole. Ich głównym celem jest bowiem wywabienie nas stąd, aby głównymi siłami zaatakować Szkarłatny Fiord. – Zaśmiał się, patrząc na mnie. – I znowu mamy problem, hrabio Urliku.

– Pani Kielicha mówiła, że w naszym interesie jest ocalenie Shanosfane, – odrzekłem. – Powinniśmy pomyśleć przynajmniej o nim.

– Ryzykować całą flotę, aby uratować w Rowenarcu jednego człowieka, – parsknął Bładrak. – Co to to nie, panie Mistrzu!

– W takim razie muszę iść tam sam, – powiedziałem.

– Nic nie osiągniesz, a pozbawisz nas tylko naszego bohatera.

– Twojego bohatera, panie Bladrak, bo właściwie nic dla was jeszcze nie zrobiłem, – podkreśliłem.

– Twoja rola już niedługo się wyjaśni.

– Już teraz jest jasna. Mam wielki szacunek dla Lorda Shanosfane. Nie mogę znieść myśli, że mógłby zostać zarżnięty przez Belphiga.– Rozumiem to, ale przecież nie możesz aż tak ryzykować, Urliku.

– Stać mnie na to, – orzekłem, – jeśli będę miał sojusznika.

– Sojusznika? Nie mógłbym porzucić moich ludzi, aby wypłynąć.

– Nie mówię o tobie, Bladraku. Rozumiem przecież, że musisz zostać ze swymi ludźmi. Nie chodzi mi o żadnego ludzkiego sojusznika.

Spojrzał na mnie, zaskoczony. – A o jakiego? Nadnaturalnego?

Odczuwałem coś, co mógłbym nazwać mieszaniną melancholii i ulgi. Miałem przed sobą tylko jedną drogę. Wiedziałem już, jak muszę postąpić. Wiedziałem też, że muszę ustąpić i podjąć odważną decyzję.

– Czarny Miecz, – odpowiedziałem.

Bladrak również wyglądał tak, jakby spadł mu z piersi ogromny ciężar. Uśmiechnął się szeroko, i klepnął mnie po ramieniu. – Tak. Byłoby naganne, nie zboczyć go we krwi, skoro już się go ma.

– Każ, aby mi go przyniesiono, – powiedziałem.

V. ROZBUDZANIE MIECZA

Przyniesiono mi hebanową skrzynię, i ustawiono ją na kwarcowym stole, podczas gdy w mojej duszy walczyły z sobą najróżniejsze emocje; w końcu byłem tak oszołomiony, że nic niemal nie widziałem.

Położyłem swą dłoń na skrzyni. Była ciepła. Odczuwałem nawet coś na kształt pulsowania, jakby w jej wnętrzu biło jakieś serce.

Spojrzałem na Bładraka, który przypatrywał mi się, surowo i poważnie. Próbowałem unieść wieko, ale nie udało mi się to. Było zamknięte.

– Nie da się otworzyć, – oznajmiłem. – Nie mogę tego ruszyć. Nie wiem, może wcale... – Byłem niemal zadowolony.

Wówczas, w – mojej głowie, znowu usłyszałem rytmiczne skandowanie:

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ JEST MIECZEM MISTRZA

SŁOWO MIECZA JEST PRAWEM MISTRZA

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ

NA KLINDZE MIECZA JEST KREW SŁOŃCA

RĘKOJEŚĆ MIECZA I DŁOŃ – SĄ JEDNOŚCIĄ

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ

ZNAKI RUNICZNE NA KLINDZE MIECZA, ODKRYWAJĄ

TAJEMNICĘ MĄDROŚCI

IMIENIEM MIECZA JEST KOSA

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ

ŚMIERĆ MIECZA JEST ŚMIERCIAŁĄ CAŁEGO ŻYCIA

JEŚLI MIECZ ZOSTANIE PRZEBUDZONY TO MUSI

ZEBRAĆ SWE KRWAWE ŻNIWO

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ

Ostatnie słowa sprawiły, że zachwiałem się w moim postanowieniu. Odczułem w pełni cały ciężar przeznaczenia na mnie spoczywający. Cofnąłem się gwałtownie, przerażony, zagryzając usta aż do bólu.

– Nie...

Bladrak zbliżył się o krok, aby mi pomóc.

– Nie, Bladrak, pozostań tam, gdzie jesteś, – powiedziałem zdławionym głosem.

– Ależ, Lordzie Urliku, chyba potrzebujesz...

– Zostań tam!

-T – Mógłbym ci pomóc...

– Bladraku, wyjdź stąd, jeśli zostaniesz – możesz zginąć.

– Skąd wiesz?

– Nie jestem pewien – ale wiem to. Mówię prawdą, Bladrak. Bladrak, zlituj się, wyjdź!

Bladrak zawahał się przez chwilę, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Byłem teraz sam, wobec skrzyni, zawierającej Czarny Miecz, zaś głos ponownie zaczął dudnić w mojej głowie, skandując monotonicznie.

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ

UNIEŚ CZARNE OSTRZE, A SPEŁNI SIĘ TO, CO JEST

PRZEWIDZIANE

SPEŁNI SIĘ WOLA, A CENĘ TRZEBA BĘDZIE

ZAPŁACIĆ

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ

CZARNY MIECZ

– Niech tak będzie! – krzyknąłem. – Postąpię tak. Wezmę znowu w dłoń Czarny Miecz. Zapłacę przewidzianą cenę! Skandowanie ucichło. W pokoju zapanowała pełna grozy cisza. Słyszałem jedynie mój własny oddech, gdy tak wpatrywałem się w stojącą na stole skrzynię. Nieswoim, niskim głosem, powiedziałem w końcu: – Chodź do mnie, Czarny Mieczu. Raz jeszcze będziemy jednością.

Pokrywa skrzyni uniosła się. Rozległo się dzikie, triumfalne wycie – był to głos niemal ludzki, który pobudził we mnie tysiące niejasnych wspomnień.

Byłem Elric’iem z Malnibone, który przeciwstawił się Władcom Chaosu swym runicznym mieczem, Gromowładnym, w dłoniach, i z dziką radością w sercu...

Jako Dorian Hawkmoon walczyłem przeciwko Najlepszym Władcom, i przeciw Imperium Ciemności, mój miecz zaś zwany był Mieczem Jutrzenki...

Byłem Rolandem, umierającym w Roncesvalles, który swym magicznym mieczem, zwanym Durandana, zabił pół setki Saracenów...

Jako Jeremiahs Cornelius, nie miałem miecza, a miałem za to karabin, strzelający igłami, dzięki któremu broniłem się, ścigany ulicami miasta przez szalejący, krwiożerczy tłum...

Byłem księciem Corum’em w Szkarłatnej Szacie, szukającym zemsty w Trybunale Bogów...

Byłem Artosem Celtem, który uniósł swój płonący miecz przeciw tym, którzy najechali wybrzeża jego królestwa...

Byłem nimi wszystkimi i jeszcze wieloma innymi; czasem moją bronią był miecz, czasem włócznia, innym razem karabin... Za każdym razem jednak otrzymywałem broń, która była Czarnym

Mieczem, lub jego częścią.

Zawsze miałem broń – i zawsze byłem wojownikiem. Wszak byłem Wiecznym Wojownikiem i takie było moje przeznaczenie i moja chwała...Przepełniło mnie dziwne uczucie akceptacji i pogodzenia się z losem. Byłem dumny ze swego przeznaczenia. Dlaczegoż więc nie chciałem go przedtem przyjąć i zaakceptować?

Przed oczami stanęły mi spienione chmury jasności. Przypomnił mi się smutek.

Przypomniałem sobie, jak wkładałem miecz do jego skrzyni przysięgając, że nigdy więcej nie wezmę go w dłoń. Przypomnił mi się głos, i przepowiednie...

– Odrzucając swe przeznaczenie, zaznasz innego – jeszcze większego...

– Żadne przeznaczenie nie może być większe, – krzychałem.

Wówczas stałem się Johnem Dakerem – nieszczęśliwym, niespełnionym człowiekiem, który pewnego dnia został wezwany poprzez ocean wieków, aby zostać Erekose.

Zbrodnia, jaką popełniłem, polegała na odrzuceniu Czarnego Miecza.

Dlaczego jednak tak postąpiłem? Czemu usiłowałem się go pozbyć? Wydało mi się, że to nie po raz pierwszy próbowałem oddzielić mój los od losu Czarnego Miecza...

– Dlaczego? – wymamrotałem. – Dlaczego?

– Dlaczego?

Wtem ze skrzyni wydobyło się dziwne, czarne promieniowanie, które zmusiło mnie do podejścia bliżej, aż znalazłem się tuż obok i zobaczyłem wewnątrz kufra dobrze znany mi kształt.

Miecz był ciężki, o szerokim ostrzu. Na klindze i rękojeści wykute były znaki runiczne, których nie umiałem przeczytać. Rękojeść zwieńczona była kulką z błyszczącego, czarnego metalu. Był długi na ponad pięć stóp, rękojeść zaś była na tyle duża, że pozwalała na wygodne uchwycenie miecza obu dłońmi.

Moje własne dłonie niechętnie ruszyły teraz w kierunku miecza. Dotknęły rękojeści, miecz zaś zdawał się rosnąć, i dopasowywać się do uchwytu mojej dłoni, mrużąc przy tym tak, jak tylko kot mógłby mrużyć. Wzdrygnąłem się, byłem jednak przepelniony radością. Dopiero teraz zrozumiałem, co należy rozumieć pod określeniem: „niezdrowa radość”.

Mając ten miecz w dłoniach nie jest się już człowiekiem – jest się demonem.

Zaśmiałem się gromko. Mój śmiech był głośny, i wstrząsał izbą. Machnąłem mieczem, on zaś wydał z siebie swą piskliwą, dziką muzykę. Uniósłem go, a potem opuściłem na kwarcowy stół. Stół rozpadł się na dwoje, a odpryski kwarcu potoczyły się w różne strony.

– Taki jest właśnie Miecz! – krzyczałem. – To jest Zimny Miecz! To jest Czarny Miecz, który już wkrótce musi być nakarmiony!

W głębi duszy miałem świadomość tego, że bardzo rzadko miewałem możliwość trzymać w swych dłoniach ten właśnie miecz. Zazwyczaj miałem do czynienia tylko z którąś z emanacji Czarnego Miecza, które czerpały z niego swą siłę. Rzuciłem swemu przeznaczeniu wyzwanie, toteż przeznaczenie zemściło się na mnie. To, co stało się później, miało miejsce dzięki sile Czarnego Miecza, wciąż jednak nie wiedziałem, jak to wszystko ma się skończyć.

Do pokoju weszła drugimi drzwiami jedna z dziewcząt Bladraka. Jej twarz wyrażała przerażenie, jakie wzbudził w niej mój widok.

– Mój pan wysłał mnie, aby zapytać, czy – krzyknęła przeraźliwie.

Czarny Miecz zawirował w mojej dłoni, ruszając w jej kierunku, i niemal pociągając mnie za sobą. Zagłębił się w jej ciele, przebijając je na wylot. Wiła się w śmiertelnych konwulsjach, usiłując resztkami sił wyrwać w siebie nienawistne ostrze.

– Jest zimny – ach, jaki zimny! – westchnęła.

Umarła.

Wyrwałem miecz z jej ciała. Wydawało się, że krew wzmagą tylko czarne promieniowanie miecza. Miecz znowu wydał z siebie świst.

– Nie! – krzyknąłem. – Tak być nie powinno! Tylko moi wrogowie powinni ginąć od tego ostrza!

Coś, jakby chichot wydobył się z klingi nasyconego wreszcie miecza, tymczasem zaś do izby wpadł Bladrak, spojrział na mnie, spojrział na miecz, spojrział na martwą dziewczynę i jęknął boleśnie. Ruszył w kierunku skrzyni. Była tam pochwa dla miecza, którą wyciągnął w moim kierunku. – Schowaj miecz, Urliku! Schowaj go, błagam!

W milczeniu wziąłem podaną mi pochwę. Czarny Miecz wsunął się do niej niemal bez mojej pomocy.

Bladrak spojrział na nieszczęsną, zabitą kobietę i na szczątki roztrzaskanego stołu. Potem spojrział mi prosto w oczy; na jego twarzy malował się ból.

– Teraz już wiem, dlaczego nie chciałeś brać w dłoń tego miecza, – powiedział cicho.

Nie potrafiłem wydobyć z siebie ani słowa. Przytroczyłem sobie wielką pochwę miecza do pasa; Czarny Miecz spoczywał teraz u mego boku, z rękojeścią nieco pochyloną do przodu.

Rzekłem: – Wy wszyscy chcieliście, abym wziął w dłoń ten miecz, i abym go użył. Teraz, jak sądzę, wszyscy znamy już konsekwencje tego czynu. Czarny Miecz musi być nasycony. Jeśli nie wystarczy krwi wrogów, to będzie musiała wystarczyć krew przyjaciół...

Bladrak odwrócił głowę.

– Czy łódź jest już gotowa? – zapytałem. Skinął głową.

Wyszedłem pośpiesznie z tego zdewastowanego pokoju śmierci.

VI. DANINA CZARNEGO MIECZA

Przydzielono mi łódź i sternika.

Łódź była raczej niewielka, z wysokimi, wyciągniętymi burtami, wyłożonymi złotem czerwonego koloru, oraz brązem. Sternik siedział naprzeciwko mnie, kontrolując kurs, jaki nadawały łodzi trzymane na uwięzi czaple, lecące nisko poprzez zimne, mroczne przestworza. Już wkrótce Szkarłatny Fiord stał się zaledwie jarzącym się punktem, na skraju klifowego wybrzeża, później zaś zniknął całkiem za powłoką brązowych chmur spowijających ten dziwny, smętny świat. Przez dłuższy czas żeglowaliśmy po czarnym, ponurym morzu o gęstej wodzie, aż wreszcie w oddali ukazały się postrzępione zbocza obsydianowych skał. Później zobaczyliśmy zatokę, nad którą wznosił się Rowenarc – w zatoce tej tłoczyły się liczne okręty Srebrnych Rycerzy, którzy najwidoczniej zaczęli już oblężenie. Belphig nie tracił jak widać czasu. Możliwe, że przybyłem za późno.

Siły inwazyjne były bardzo liczne; ich okręty przypominały rydwan morski Belphiga, tyle że najwyraźniej pozbawione były „sleyahów”, jako siły pociągowej. Trzymaliśmy się poza zasięgiem wzroku przeciwnika, a mój sternik przycumował łódź do wybrzeża, w miejscu, gdzie brzeg stanowiła piaszczysta plaża; niedaleko stąd, po raz pierwszy spotkałem ludzi Belphiga. Poleciałem sternikowi, aby pozostał tutaj, oczekując mojego powrotu, sam zaś ruszyłem, bardzo ostrożnie, w kierunku Miasta z Obsydianu.

Trzymając się skał, mogłem obejść całą zatoczkę, przez cały czas widząc teren, który miałem przed sobą. Zorientowałem się, że Rowenarc skapitulował bez walki. Jeńców wleczono właśnie w kierunku nabrzeży, i przycumowanych tam statków. Na korytarzach skalnych i galeriach, roiło się od Srebrnych Rycerzy, niezgrabnie dzierzących swoje halabardy. Samego Belphiga nie widziałem nigdzie, zobaczyłem jednak, w połowie drogi do brzegu, mój rydwan, z niedźwiedziami w uprzęży, sprowadzony w dół, w kierunku plaży. Traktowali go zapewne jako część swego łupu.

Wśród jeńców nie było Shanosfane. Domyślałem się, że Belphig uwięził go w jego własnej „prowincji” – Dhotgardzie, przynajmniej na jakiś czas; mógł też go zgoła zabić. Jak jednak mógłbym dotrzeć do Dhotgardu, skoro na wszystkich kondygnacjach tłoczyli się najeźdźcy? Nawet pomoc Czarnego Miecza mię uchroniłaby mnie przed zmiżdżeniem przez wielką liczbę przeciwników, jeśli zaś nawet dotarłbym do Dhotgardu, to w jaki sposób zdołałbym wrócić?

Przyszła mi jednak wtedy do głowy pewna myśl, którą ożywił widok moich niedźwiedzi, gnanych w kierunku plaży. Na mieliźnie ułożono nawet specjalny chodnik z desek, aby mój rydwan mógł wjechać na statek.

Nie zastanawiając się więcej, wyciągnąłem mój miecz i pobiegłem w kierunku rydwanu. Niemal do niego dotarłem i dopiero wtedy zostałem zauważony. Jeden ze Srebrnych Rycerzy zakrzyknął coś swym piskliwym, wibrującym głosem, po czym zamierzył się na mnie swoją halabardą. Odtrąciłem ja mieczem, który, pomimo swej wielkiej wagi, był lekki, niczym floret szermierczy. Wskoczyłem na mój rydwan, ująłem za wodze i skierowałem niedźwiedzie ponownie w stronę Miasta z Obsydianu.

– Naprzód, Wierny! Naprzód, Mruczący! Na mój widok siły niedźwiedzi jakby się podwoiły, zwierzęta sprężyły się w uprzęży, i zawróciły.

– Naprzód, Długoszponie! Naprzód, Warczący!

Koła rydwanu pędziły po krystalicznych skałach, aż dotarliśmy do galeryjki. Robiłem uniki, aby nie zostać trafiony którąś z miotanych w moim kierunku halabard. Srebrni Rycerze nie władali jednak zbyt biegle tą bronią i nie rzucali zbyt celnie. Niewolnicy i żołnierze rozproszyli się na widok pędzącego rydwanu, toteż w krótkim czasie dotarliśmy do pierwszej kondygnacji. Teraz Czarny Miecz mógł ponownie zanucić swoją pieśń – pieśń złą i zwodniczą.

Wpadając między wrogów, usiłujących dźgnąć mnie swoją spiczastą bronią, ciąłem ich mieczem – teraz jednak rozbijałem ich pancerze i to oni teraz jęczeli z bólu nie ja... Wjeżdżaliśmy coraz wyżej i wyżej, ja zaś odczuwałem powrót, znanej mi z przeszłości, radości jaką niesie bitwa.

Czarny Miecz ucinał głowy i ramiona, a jasna krew zboczyła jego klingę, skraplając także boki rydwanu i białe futro niedźwiedzi.

– Naprzód, Wierny! Naprzód, Długoszponie!

Byliśmy już niemal na poziomie Dhotgardu. Wszędzie widać było krzyczących ludzi, biegających w różnych kierunkach.

– Naprzód, Warczący! Naprzód, Mruczący!

Moje potężne niedźwiedzie przyspieszyły jeszcze bardziej, aż dotarliśmy do wielkich drzwi, zamykających Dhotgard. Były uchylone. Domyślałem się, że zapewne otworzył je jakiś szpieg, ukryty w otoczeniu Lorda Shanosfane. W tej chwili jednak bardzo mi to odpowiadało, ponieważ mogłem wjechać moim rydwanem bezpośrednio do Dhotgardu i nadal pędzić na złamanie karku. Na koniec dotarłem wreszcie do obszernej sali, w której po raz pierwszy spotkałem Władcę Doczesnego.

Odsunąłem zasłonę – był tam. Był jeszcze bardziej wychudzony, a w jego oczach widać było nieco bólu, na mój widok jednak odłożył spokojnie manuskrypt, jakby nigdy nic i jakby niewiele go to wszystko obchodziło.

– O co chodzi, Lordzie Urliku?

– Przybyłem, aby cię uratować, Lordzie Shanosfane. – Wydał się być lekko zdziwiony.

– Belphig z pewnością cię zabije, zdradził bowiem Rowenarc.

– Dlaczego miałby mnie zabić?

– Zagrasz jego władzy.

– Władzy?

– Lordzie Shanosfane, jeśli pozostaniesz tutaj, twój los będzie przesądzony. Nie będziesz więcej mógł czytać, ani studiować książek.

– Robię to tylko dla zabicia czasu...

– Czy nie obawiasz się śmierci?

– Nie.

– No cóż, w takim razie... – włożyłem miecz do pochwy, podbiegłem do niego i zarzuciłem go sobie na kark, ruszając ku wyjściu. Moje niedźwiedzie warczały na widok biegnących w naszym kierunku Srebrnych Rycerzy. Wrzuciłem Shanosfane'a do rydwanu, po czym rzuciłem się na przeciwników. Srebrni Rycerze zdążyli już chyba przywyknąć do tego, że żadna broń nie jest w stanie zrobić im krzywdy.

Czarny Miecz ze świstem i jękiem rozbijał ich dziwne pancerze, udowadniając, że ich ciała były w istocie bardzo podobne do ciał ludzkich, a ich krew równie łatwo mogła być rozlana. Ich wnętrzności rozlewały się wokół, pod cięciami straszliwej klingi, a na ich pokrytych srebrem twarzach widać było ból.

Powróciłem szybko do rydwanu, ująłem ponownie za wodze, z trudem dokonując zwrotu w wąskim przejściu, po czym z dużą szybkością ruszyłem w kierunku głównego wyjścia.

Wówczas ujrzałem Belphiga. Widząc, iż zbliżamy się do niego, zaskowyczał i rozpląszczył się na ścianie. Wyciągnąłem się, jak długi, by dosięgnąć go moim mieczem, był jednak za daleko. Minęliśmy wyjście, i znaleźliśmy się ponownie na galeryjce, pędząc w dół jeszcze szybciej, niż pędziliśmy w przeciwnym kierunku. Tym razem Srebrni Rycerze nie zastępowali nam drogi, nauczyli się już bowiem ostrożności. Nadal rzucali jednak w naszym kierunku halabardami, kryjąc się w bezpiecznej odległości; w wyniku tego odniosłem dwie lekkie rany – w lewe ramię i w prawy policzek. Śmiałem się z nich jednak, unosząc w górę mój miecz, miecz potężniejszy niż miecz, jakim władał Erekose, tamten bowiem był zaledwie marną kopią Czarnego Miecza. Miec i śpiewał mi nad głową swą pieśń śmierci, podczas gdy moje niedźwiedzie niosły nas w kierunku plaży.

Widząc mnie, więźniowie zaczęli wiwatować. Zawołałem do nich.

– Walczcie, mieszkańcy Rowenarcu! Walczcie! Atakujcie Srebrnych Rycerzy! Zabijajcie ich, jeśli się uda! Rydwan dudniąc pędził w dół.

– Zabijajcie ich, albo zginiecie sami!

Niektórzy jeńcy podnieśli halabardy i zaczęli rzucać je na swych prześladowców. Srebrni Rycerze wpadli w popłoch, nie wiedząc, jak się zachować.

– Uciekajcie teraz! – krzyknąłem. – Uciekajcie w góry, a potem kierujcie się wzdłuż wybrzeża w kierunku Szkarłatnego Fiordu. Będziecie tam gościnnie przyjęci, i bezpieczni. Obroni was Czarny Miecz!

Nie miałem czasu, aby zastanawiać się nad swoimi słowami, miały one jednak niespodziewany wpływ na bezwolnych zazwyczaj mieszkańców Rowenarcu. Podczas gdy Srebrni Rycerze trwali w osłupieniu, oni rzucili się pędem do ucieczki.

Pomyślałem sobie, że chyba nadawali by się jeszcze na żołnierzy. I staną się nimi, bo wiedzą już, jak będzie wyglądał ich los, jeśli walki nie podejmą. Śmiejąc się w szala bitewnym, pędziłem moim rydwanem po skalnym podłożu, podskakując na nim.

– Shanosfane jest bezpieczny! – krzyczałem do tych, którzy mogli mnie usłyszeć. – Wasz przywódca jest tutaj ze mną! – wołałem, usiłując unieść jego sztywne ciało. – Jest żywy, ale nieprzytomny! – Zauważyłem, że jedna z jego powiek zadrgała. Już niedługo chyba się ocknie.

Belphig i jego Srebrni Rycerze, zaczęli powoli dochodzić do siebie i organizować pościg. Jedną z bram wypadł właśnie Morgeg i jego ludzie, na swych ogromnych fokach – wiedziałem, że muszę się ich bardziej obawiać, niż nieporadnych gości z innej planety. Z miejsca rzucili się za mną w pogoń. Jedna z włóczni wgryzła się w ciało jednego z moich niedźwiedzi. Mój zaprzęg posuwał się do przodu z dużym trudem, mimo że ponaglałem moje zwierzęta do biegu.

Wówczas to, gdy przebyłem już połowę drogi, dzielącej mnie od miejsca, w którym pozostawiłem łódź, jedno z kół mojego rydwanu zawadziło o skalną krawędź; Shanosfane i ja wypadliśmy na ziemię, podczas gdy niedźwiedzie nadal pędziły przed siebie, pociągając za sobą rydwan. Rydwan zawirował, uderzył w następną skałę, dzięki czemu zachował równowagę, po czym znikł w mroku, porwany przez rwące przed siebie niedźwiedzie.

Przerzuciłem sobie Lorda Shanosfane przez ramię i zacząłem biec, ale dudnienie płetw ogromnych fok, stawało się coraz bliższe. Obejrzawszy się i oceniwszy na oko odległość między ścigającymi, a łodzią, doszedłem do wniosku, że zostanę doścignięty, nim zdołam dotrzeć do zbawczej łodzi. Shanosfane jęczał, trzymając się oburącz za głowę. Postawiłem go na ziemię.

– Spójrz na tę łódź, Lordzie Shanosfane. Tam będziesz bezpieczny. Biegnij tam, tak szybko, jak tylko możesz.

Shanosfane, potykając się odszedł, ja zaś ująłem oburącz rękojeść Czarnego Miecza. Byłem przygotowany do walki.

Morgeg, mający u swego boku sześciu swoich ludzi, wszyscy siedzący na ogromnych fokach, zaatakowali mnie swymi toporami bojowymi. Zawirowałem moim mieczem nad głową, po czym opuściłem klingę na karki dwu fok, rozrąbując je niemal do połowy. Bestie ryknęły straszliwie, a krew buchnęła z ich ciał gęstym strumieniem. Próbowwały się unieść, ale runęły w końcu, zrzucając z siodła swych jeźdźców. Jednego z nich natychmiast zabiłem, wbijając Czarny Miecz, poprzez pancerz, prosto w jego serce. Obróciwszy się, ugodziłem jednego z siedzących jeszcze na fokach rycerzy. Podskoczył gwałtownie w siodle, po chwili jednak runął w dół. Pozostały z pierwszej dwójki mężczyzna, zbliżał się do mnie, pochylony nisko, wymachując nad głową swym groźnym toporem. Jednym cięciem miecza przeciąłem drzewce topora, a klinga ze świstem przecinanego powietrza pomknęła w kierunku gardzieli bezbronnego wojownika, przecinając ją.

Morgeg zaczął wpadać w panikę. Przypatrywał mi się nienawistnie.

– Jesteś wytrwały, hrabio Urliku, – powiedział.

– To chyba prawda, – odparłem, udając pojednanie.

Przy Morgegu był teraz tylko jeden jeździec. Opuściłem mój miecz i zwróciłem się do owego wojownika. – Czy odejdziesz stąd bez, walki, jeśli zabiję Morgega? Czy może wolisz zostać i zginąć razem z nim?

Twarz jeźdźca wykrzywiła się, otworzył usta, jakby miał zamiar coś powiedzieć, zrezygnował jednak, zawrócił swą fokę i pognał w stronę Rowenarcu.

Morgeg powiedział cicho: – Chyba i ja powinienem także móc odjechać.

– Nie możesz, – odparłem stanowczo. – Muszę ci odpłacić za pozostawienie mnie na wyspie.

– Myśleliśmy, że tam zginąłeś.

– Nie sprawdziliście tego.

– Myślałem, że jeleń morski cię zabił.

– A tymczasem to ja zabiłem jelenia morskiego.

Oblizał nerwowo usta. – Jeśli tak, to naprawdę powinienem powrócić do Rowenarcu.

Opuściłem Czarny Miecz. – Odjedziesz, jeśli powiesz mi jedną rzecz. Kto wami dowodzi?

– Jak to kto, Belphig jest naszym przywódcą!

– Nie. Chodzi mi o to, kto dowodzi Srebrnymi Rycerzami.

Morgeg Wyczuł dla siebie szansę i zamachnął się toporem w moim kierunku. Klinga miecza zablokował jego cios – jego topór wyleciał mu z ręki. Czarny Miecz, ze świstem przesywając powietrze, wbił mu się głęboko w pachwinę.

– Zimno... – wymamrotał Morgeg, zamykając powieki. – Tak zimno... Jego ciało zsunęło się z siodła i runęło na ziemię, a foka stanęła dęba, zawróciła, po czym ruszyła w kierunku plaży.

W oddali zauważyłem Belphiga, na czele licznej grupy Srebrnych Rycerzy. Było ich bardzo wielu, toteż wątpiłem, abym mógł sobie z nimi poradzić, nawet przy pomocy Czarnego Miecza. Od strony morza usłyszałem okrzyk, oraz łopot rozpościeranych ptasich skrzydeł.

– Lordzie Urliku! Teraz!

Był to głos sternika. Wrzucił już na pokład Shanosfane'a, a teraz płynął wzdłuż wybrzeża, aby

mnie odszukać. Schowałem Czarny Miecz do pochwy i Wszedłem do gęstej, morskiej wody, sięgającej mi do kolan. Dostrzegłem Belphiga i jego wojowników, którzy byli już całkiem blisko. Mazista woda lepiła mi się do nóg, utrudniając marsz. Dopadłem w końcu do niższej burty naszej łodzi, i wsunąłem się na pokład, dysząc ciężko. Sternik natychmiast zmienił kierunek żeglugi, kierując czaple ku otwartemu morzu.

Belphig, i jego Srebrni Rycerze, zatrzymali się przy morskim brzegu; już po chwili zniknęli w mroku.

Pomknęliśmy w stronę Szkarłatnego Fiordu.

Bladrak Poranna Włócznia miał niezwykle wyraz twarzy, gdy tak siedział w fotelu z bursztynu przypatrując się mnie i Shanosfane'owi. Byliśmy w jednym z jego pokoi, tak daleko położonym od pokoju śmierci, jak tylko było to możliwe. Odpasałem spoczywający w pochwie Czarny Miecz, oparłszy go o ścianę.

– Dobrze, – powiedział spokojnym tonem Bladrak, – Czarny Miecz spłacił już chyba swoją winę. Na pewno zabiłeś wielu Srebrnych Rycerzy, jak też ludzi Belphiga, pokazałeś też mieszkańcom Rowenarcu, jak należy postępować, i jak się bronić.

Skinąłem głową.

– A ty, Lordzie Shanosfane, czy jesteś zadowolony z faktu, iż uniknąłeś śmierci? Głos Bladraka zabrzmiał prawie ironicznie.

Shanosfane spojrzał na niego swymi głębokimi, zamyślonymi oczami. – Nie jestem pewien, Panie Bladrak, czy wiem, jaka jest różnica między życiem, a śmiercią.

Wyraz twarzy Bladraka nie pozostawiał wątpliwości, że jeśli idzie o niego, to doskonale wiedział, na czym owa różnica polega. Wstał, i zaczął spacerować po pokoju.

Zwróciłem się do Shanosfane'a: – Czy wiesz, kto dowodzi Srebrnymi Rycerzami?

Shanosfane wydawał się być nieco zaskoczony moim pytaniem. – No jak to, kto, oczywiście Belphig...

– On chciałby wiedzieć, kto rozkazuje Belphigowi, wtrącił Bladrak. – Kto jest najwyższym dowódcą Srebrnych Rycerzy?

– No, Belphig. Biskup Belphig. On jest ich najwyższym dowódcą.

– Ale przecież on nie należy do ich rasy, – wykrzyknąłem.

– On wziął do niewoli ich królową, – Shanosfane rozglądał się po pokoju, aż jego zdumiony wzrok zatrzymał się na Czarnym Mieczu. – Ci osobnicy nie nadają się wcale na żołnierzy. Oni kochają pokój. Oni nigdy nie znali wojny. Ale Belphig zmusił ich, aby wypełniali jego wolę, bo jeśli tego nie uczynią, to on zabije ich królową, którą kochają nad życie.

Jego słowa zaszokowały mnie, podobnie zresztą, jak i Bładraka. – To dlatego tak fatalnie walczą tymi swoimi halabardami, – wymamrotałem.

– Oni znają maszyny, dzięki którym statki pływają po wodzie, – dodał Shanosfane. – Mają wiele mechanicznych uzdolnień. Belphig mi o tym wszystkim opowiedział.

– Dlaczego jednak oddaje naszych ludzi w niewolę? – dopytywał się Bładrak. – Jaki ma w tym cel?

Shanosfane spojrział w skupieniu na Bładraka. – Tego nie wiem. Jaki może być cel w jakimkolwiek działaniu? Być może plan Belphiga jest tak dobry, jak każdy inny. – Nie wiesz więc, jakie cele ma na oku? – spytałem.

– Już mówiłem. Nie mam pojęcia.

– Nie dopytywałem się.

– Nic to cię nie obchodzi, że twoi ludzie są wtrącani w niewolę, czy zabijani?! – krzyczał Bładrak. – Czy nie jest to w stanie poruszyć twojej zimnej duszy?

– Oni zawsze byli niewolnikami, – powiedział Shanosfane. – i zawsze umierali. Jak sądzisz, jak długo jeszcze nasza rasa mogłaby w ten sposób żyć?

Bładrak odwrócił się tyłem do Władcy Doczesnego. – Lordzie Urliku, zmarnowałeś tylko swój czas, – powiedział.

– To, że Lord Shanosfane nie podziela naszych poglądów, odrzekłem, – nie oznacza jeszcze, że nie był wart wyratowania go.

– Nie byłem wart wyratowania. – W oczach Shanosfane’a zauważyłem jakiś dziwny błysk. – Nie sądzę też, abym wymagał ratowania. Kto polecił wam mnie ratować?

– Sami to postanowiliśmy, – odparłem, dodając po chwili: – No, może nie – zasugerowała nam to Pani Kielicha.

Shanosfane powtórnie skupił swą uwagę na Czarnym Mieczu.

– Myślę, że byłoby dobrze, gdybym mógł zostać sam, – powiedział. – Mógłbym trochę porozmyślać. Wyszliśmy wraz z Bładrakiem na korytarz.

– No cóż, może i wart był wyratowania, – przyznał niechętnie Bładrak. – Udzielił nam informacji, których w żaden inny sposób nie zdołalibyśmy uzyskać. Nie przepadam jednak za tym facetem i nie rozumiem, dlaczego go tak poważasz. On jest niczym innym, jak -

Stanęliśmy jak wryci, słysząc mrozący krew w żyłach krzyk, dochodzący z pokoju, który dopiero co opuściliśmy. Spojrzeliśmy na siebie, nie mając wątpliwości, co się stało. Rzuciliśmy się w kierunku drzwi. Czarny Miecz zrobił już jednak swoje. Shanosfane leżał z rozpostartymi ramionami

na podłodze, a miecz chwiał się, wbity w jego pierś, niczym jakaś przedziwna roślina. Nie dowiemy się nigdy, czy popełnił on samobójstwo, czy też to sam miecz go zaatakował.

Shanosfane żył jeszcze. Jego usta poruszały się. Pochyliłem się, aby usłyszeć słowa, które wymawiał: – Nie wiedziałem, że będzie tak zimno – aż tak zimno...

Jego nad wyraz inteligentne oczy zamknęły się i nie powiedział już ani słowa więcej. Wyszarpnąłem Czarny Miecz z jego ciała i znowu umieściłem go w pochwie.

Bładrak był blady i przerażony. – Czy po to właśnie Pani Kielicha kazała ci go tu przywieźć?

Nie zrozumiałem go początkowo. – Co właściwie masz na myśli?

– Czy ten miecz potrzebuje ofiary z życia dobrego człowieka – lub nawet bardzo dobrego człowieka – jako ceny za pomoc, jaką nam okazuje? Nagrodą Czarnego Miecza – dusza Czarnego Króla? Czy tak?

Przypomniały mi się słowa, tylekroć skandowane w czasie – mych sennych majaków.

– Jeśli Czarny Miecz zostanie podniesiony, to musi dostać swoją daninę...

Klepnąłem dłońmi o siebie, patrząc na ciało martwego króla – uczonego.

– Och, Bładrak, – powiedziałem w końcu. – boję się o naszą przyszłość.

A zimno, chłodniejsze niż najzimniejszy lodowiec, wypełniło całą izbę.

KSIĘGA CZWARTA

KREW SŁOŃCA

Klingi, puchary, i człowieka trzeba, By na świat wolność zstąpiła z nieba.

– Kronika Czarnego Miecza

I. OBLEŻENIE SZKARŁATNEGO FIORDU

Opanowała nas depresja i wydawało się, że nawet ognie Szkarłatnego Fiordu świecą słabiej, niż zazwyczaj. Żyliśmy w cieniu Czarnego Miecza i teraz już domyślam się, dlaczego tak bardzo chciałem się go pozbyć. Nikt nie może zostać panem tego miecza. Miecz ten, niczym żarłoczny moloch, żąda, niczym dzicy, barbarzyńscy bogowie starożytni, daniny krwi. Co gorsza, niekiedy sam wybiera swoją ofiarę spośród ludzi, którzy są przyjaciółmi jego pana.

Doprawdy, zazdrosny to był miecz.

Wiem, że Bładrak nie obwinia mnie o to, co zaszło. W istocie uważał nawet, że winny jest on sam, wspólnie z Władczynią Kielicha, bo to oni właśnie, wbrew mojej woli, namawiali mnie do wzięcia w dłoń Czarnego Miecza i do zrobienia z niego użytku.

– Oin już teraz nam bardzo pomógł, – wskazałem. – Bez niego, nie dostałbym się do Rowenarcu i nigdy nie poznalibyśmy prawdy na temat rzeczywistego statusu Belphiga wobec Srebrnych Rycerzy i źródeł jego władzy nad nimi, – Wiele zażądał za swoje usługi... – warknął Bładrak.

– Gdybyśmy wiedzieli, gdzie Belphig ukrył tę królową, – powiedziałem, – to mógłbym ją uwolnić. Wówczas Srebrni Rycerze mogliby uwolnić się od swych zobowiązań wobec Belphiga i byłoby po wszystkim.

– Ale przecież, u licha, nie wiemy, gdzie ona jest!

– Gdyby tak spytać o to Władczynię Kielicha... – zacząłem, ale Bładrak szybko zgasił mój entuzjazm.

– Nie jestem taki pewny, – stwierdził, – czy Pani Kielicha działa ściśle w naszym interesie. Wydaje mi się, że wykorzystuje nas tylko w swoich, znacznie szerszych, interesach.

– Rzeczywiście – możesz mieć rację.

Spacerowaliśmy teraz wzdłuż nabrzeża, patrząc z góry na podświetlone czerwienią wody i na nasze liczne łodzie, przygotowywane do wojny przeciw Srebrnym Rycerzom. Świadomość, że nasi wysmukli, niezgrabni przeciwnicy zostali zmuszeni do tej walki przez Belphiga, usunęła wszelką dzikość i gwałtowność z naszych myśli i uczyniła nasze przygotowania spokojniejszymi i powolniejszymi. Nie mogąc nienawidzić Srebrnych Rycerzy, tym bardziej buntowaliśmy się przeciw konieczności ich zabijania. Trzeba jednak było ich zabijać, bo w przeciwnym razie cała ludzkość zginie, bądź zostanie przekształcona w (niewolników).

Przypatrywałem się fiordowi, nie mogąc nadziwić się tajemniczemu źródłu jego ciepła i światłości, ukrytemu w stromych, klifowych skałach. Tkwiła w nim wielka siła, o której naturze nie miałem żadnego wyobrażenia. Było tam coś, co stworzono tysiące lat temu, i co płonęło do dnia dzisiejszego, mimo że wszystko wokół stawało się coraz chłodniejsze. Niegdyś sądziłem, że

Szkarłatny Fiord był jedynie przytułkiem dla wyrzutków” społeczeństwa, którym nie odpowiadało życie w tak zdegenerowanym mieście, jak Rowenarc. Czyżby Pani Kielicha była ostatnim przedstawicielem żyjących tu niegdyś uczonych? Może Shanosfane to właśnie miał na myśli. Może właśnie dlatego Czarny Miecz go zabił, bo od niego moglibyśmy się zbyt dużo dowiedzieć...

Niespodziewanie Bładrak trącił mnie w ramię. Nadśłuchiwał z uwagą.

Teraz i ja usłyszałem – był to dźwięk rogu. Dźwięk ten przybliżał się.

– To strażę, – powiedział Bładrak. – Chodź, Lordzie Urliku, zobaczmy przyczynę tego alarmu. – Wskoczył do łodzi, do której wprzęgnięte były już dwa, podobne do czapli, latające stwory. Spały właśnie, siedząc na zbudowanych przy nabrzeżu grzędach. Bładrak szarpnął za ramię, do których były przywiązane, gdy tylko i ja znalazłem się na pokładzie. Ptaki zaskrzeczały i uniosły się w powietrze. Ruszyliśmy w kierunku wąskiego wejścia do fiordu. Mijaliśmy wysokie, czarne, strome skały, aż w polu widzenia ukazało się otwarte morze. Wówczas ujrzeliśmy przyczynę podniesionego przez strażników alarmu. Była to flota Belphiga.

Na oko, było tam od pięciuset, do tysiąca wielkich okrętów, a powietrze pełne było brzęczenia ich silników. Płynąca flotylla tworzyła fale, których odbicia docierały aż do nas.

– Belphig kieruje przeciw nam całą swoją siłę! – zazgrzytał Bładrak. – Nasze łodzie nie mają szans w starciu z takimi wielkimi okrętami...

– Pod jednym względem jednak, wielkość ich okrętów jest dla nich niekorzystna, – wskazałem. – Wejście do fiordu jest bardzo wąskie, toteż, aby się w nie zmieścić, musieliby płynąć niemal pojedynczo. Jeśli zgromadzimy naszych wojowników na skałach, zamykających fiord, to będziemy mogli ich wtedy skutecznie zaatakować.

Jego twarz rozjaśniła się nieco. – Zgoda. To może się udać. Wracajmy. Byliśmy już na skalnych stokach, gdy pierwszy spośród nieprzyjacielskich statków, ze swą dziwną piramidą pośrodku, skierował się pomiędzy skały fiordu. Na skalnych półkach czekały już zgromadzone tam głazy.

Okręt przepływał Właśnie bezpośrednio pod nami. Wyciągnąłem Czarny Miecz i krzyknąłem: – Teraz!

Głazy, podparte dźwigniami, stracone zostały ze skał, spadając prosto na pokład. Niektóre z nich z traskiem przebijały pokład, podczas gdy inne miażdżyły tarasy piramidy, strącając zarówno budulec, z jakiego były one zbudowane, jak i stojących na nich rycerzy.

Gromkie okrzyki entuzjazmu rozległy się wśród obrońców Szkarłatnego Fiordu, gdy wrogi okręt przewrócił się dc góry dnem, a odziani w srebrne pancerze wojownicy tonęli w zdradzieckiej, wodnej toni, która wciągała ich bezlitośnie, mimo że usiłowali się ratować i wzywali pomocy swymi dziwnymi, piskliwymi głosami. Patrząc jak giną pomyślałem sobie, że ci oto nieszczęśliwcy, są jedynie takimi samymi ofiarami Belphiga i jego perfidii, jak my. Cóż jednak moglibyśmy zrobić, poza zabiciem ich? Oni walczyli o to, aby królowa, którą kochali ponad życie, została ocalona. My walczyliśmy o swoją wolność. O co walczył Belphig, nie wiedziałem jeszcze.

Następny okręt Srebrnych Rycerzy zbliżył się i wpłynął do wejścia. Ponownie użyliśmy jako broni naszych gładzów. Okręt ten rozpadł się na dwoje, a obie połówki wystawały z wody, niczym zamykająca się powoli paszcza jakiegoś dziwnego, morskiego potwora, pochłaniająca tych, którzy unosili się jeszcze na powierzchni wody, i zgniatając ich, aż wreszcie wewnątrz paszczy zabulgotało, woda spieniła się, a do góry uniósł się słup pary wodnej. Zrozumiałem, że zniszczyliśmy jeden z silników. Ich okręty wydawały się mało stabilne. Być może odkryliśmy przy okazji słaby punkt Srebrnych Rycerzy.

Po dwóch następnych próbach, okręty przeciwnika wycofały się, otaczając fiord potężnym półkolem, złożonym z wielkiej liczby okrętów. Siedzieliśmy z Bładrakiem w jego pokoju, dyskutując. Nasze zwycięstwo bardzo poprawiło mu nastrój, teraz jednak, zastanawiając się nad obecną sytuacją, stracił dobry humor.

– Obawiasz się, że nie wytrzymamy długotrwałego oblężenia? – spytałem.

Przytaknął. – Większość tego, co spożywamy, uprawiamy sami w naszych jaskiniach, jednak jeńcy, których wyzwoliliśmy, potroili nasze zapotrzebowanie, a nasze jaskiniowe ogrody nie są w stanie temu sprostać. Nasze wyprawy łupieżcze pozwalały nam zgromadzić większe ilości jedzenia, teraz jednak, gdy Belphig odciął nam drogę na morze, o wyprawach możemy zapomnieć.

– Jak długo, twoim zdaniem, wytrzymamy?

Wzruszył ramionami. – Około dwudziestu dni. Nie mamy już zapasów. Wszystko poszło na wyżywienie nowoprzybyłych. Nasze uprawy wprawdzie rosną, ale w wolnym tempie. Belphig zapewne o tym wie.

– I ja jestem pewny, że wie i liczy na to.

– Co możemy zrobić, hrabio Urliku? Iść do bitwy? Przynajmniej zginieemy w walce, a nie w głodowych męczarniach...

– To ostateczność. Czy nie ma żadnego innego wyjścia z fiordu?

– Morskiego nie ma. A droga, wiodąca przez góry, prowadzi na lodowe połacie. Tam, zginęlibyśmy tak samo, jak tu,

– Jak długo zajmie droga na te lodowe połacie?

– Pieszko? Osiem dni, jak sądzę. Nigdy nie przebywałem tej drogi.

– Wynika z tego, że nawet gdyby wysłać tam jakiś oddział, w celu zdobycia prowiantu, to i tak nie zdążyłby wrócić tutaj na czas.

– Właśnie.

Podrapałem się w brodę, zamyślony. Na koniec rzekłem:

– W takiej sytuacji mamy tylko – jedno wyjście.

– Jakież to wyjście?– Musimy poprosić o pomoc Panią Kielicha. Niezależnie od motywów, jakimi się kieruje, to z pewnością życzy sobie klęski Belphiga. Musi nam pomóc, jeśli jest w stanie to uczynić.

– Dobrze, – odrzekł Bładrak. – Chodźmy do grotty, w której znajduje się czarna kolumnienka.

– Pani?

Bładrak rozejrzał się, jego twarz rysowała się cieniem na tle łagodnego, dziwnego światła stalaktytów. W nozdrzach czułem drażniący, przenikliwy zapach soli. Podczas gdy Bładrak wzywał Władczynię Kielicha, przyglądałem się owemu krótkiemu, ciemnemu słupkowi, ustawionemu na bazaltowej posadzce. Dotknąłem go ręką, ale natychmiast z sykiem cofnąłem palce, Dwie ręce zostały one poparzone. Po chwili dopiero zorientowałem się, że to wcale nie gorąco spowodowało poparzenie, a wręcz przeciwnie – niezwykle, przenikliwe zimno.

– Pani?

Rozległo się ciche kwilenie, które stopniowo przemieniało się w wibrujący krzyk. Obróciłem się, przez ułamek sekundy widziałem jakby zarys wielkiego kielicha, kielich znikł, również krzyk ucichł, a przed nami pojawiła się, stojąc, spowita, jak poprzednio, woalem i otoczona złocistą poświatą, Pani Kielicha.

– Belphig już prawie was zniszczył, – powiedziała. – Trzeba było wcześniej użyć Czarnego Miecza.

– I zabić więcej swoich przyjaciół? – spytałem.

– Jesteś nazbyt sentymentalny, jak na wielkiego Mistrza, – odparła. – Sprawy, o które walczysz, mają rozliczne wymiary i implikacje.

– Zmęczyły już mnie wielkie sprawy, Pani, – powiedziałem.

– Po cóż więc Bładrak minie wezwał?– Bo nie było już innego wyjścia. Jesteśmy zablokowani i czeka nas w końcu głodowa śmierć. Jedyne wyjście, jakie widzę, jest oswobodzenie Królowej Srebrnych Rycerzy, „którą uwięził Belphig. Gdy ona będzie wolna, Belphig straci tron swoich sił.

– To słuszne.

– Nie wiem jednak, gdzie znajduje się Królowa, – wtrącił Bładrak.

– Zadajcie mi bezpośrednio to pytanie, – powiedziała Pani Kielicha.

– Gdzie jest Królowa Srebrnych Rycerzy? – zapytałem. – Czy wiesz?

– Tak – wiem to. Jest w Księżycu, tysiące mil stąd i trzeba pokonać tę drogę pośród lodów, aby

się tam dostać. Pilnują jej zarówno ludzie Belphiga, jak i jego czary. Nie może wyjść ze swych pokoi, ani nikt nie może jej odwiedzić, poza Belphigem.

– Nie można więc jej oswobodzić.

– Oswobodzić ją może tylko jeden człowiek – ty, Urliku, przy pomocy Czarnego Miecza.

Spojrzałem na nią ostro. – To po to pomogłaś Bladrakowi mnie wezwać. To po to sprowadziłaś tutaj ten miecz i nalegałaś, abym go użył. Dla swych własnych powodów, pragniesz, aby Srebrna Królowa była wolna.

– To uproszczony punkt widzenia, hrabio Urliku. Zgodzę się jedynie, że jej uwolnienie przyniesie korzyść nam wszystkim.

– Nie mogę przebyć tysiąca mil, poprzez lody, pieszko. Nawet gdybym nie stracił mojego rydwanu z niedźwiedziami, to i tak zajęłoby mi zbyt wiele czasu dotarcie tam i oswobodzenie jej.

– Jest pewien sposób, – powiedziała Władczyni Kielicha. – Co prawda bardzo niebezpieczny.

– Używając łodzi jako sań, ciągniętych przez czaple? – powiedziałem. – Nie ujechałbym tak zbyt daleko, a przy tym nie sądzę, aby łodzie były wystarczająco silne.

– Nie to miałam na myśli.

– W takim razie wyjaśnij całą rzecz, Pani, – burknąłem nieprzyjemnie.

– Ludzie, którzy stworzyli Szkarłatny Fiord, byli utalentowanymi inżynierami, którzy umieli posługiwać się wieloma przyrządami. Wiele ich wynalazków nie sprawdziło się, inne sprawdziły się tylko częściowo. Gdy odeszli stąd, po odkryciu sposobu podróżowania w czasie, pozostawili tutaj niektóre ze swoich urządzeń. Jedno z nich zapieczętowane zostało w jaskini, po przeciwnej stronie tego zbocza, bliżej lodowych połaci. Był to rydwan powietrzny, latający dzięki swej własnej mocy, ale drobny defekt spowodował jego pozostawienie. Silnik pracował na promieniotwórczej substancji, która powodowała u pilota osłabienie, utratę wzroku a nawet śmierć.

– I ty chcesz, abym używał tego pojazdu w drodze do Księżyca? – zaśmiałem się. – Żeby umrzeć, zanim tam dotrę? Co bym osiągnął dzięki temu?

– Zapewne nic. Nie znam czasu, powyżej którego owo promieniowanie zabija. Być może zdołasz dostać się do Księżyca nim to się stanie.

– A czy te promienie powodują jakieś trwałe skutki?

– Nie wiadomo mi o żadnych.

– Gdzie dokładnie jest ukryta owa machina?

– W górach jest przejście, prowadzące w kierunku lodowych pól. Pod koniec tego przejścia

znajduje się góra, stojąca w oddaleniu od innych. Od dołu, aż do samego wierzchołka, wykute są w skałach, na zboczu, kamienne stopnie; u szczytu znajdują się z kolei zapieczętowane drzwi. Musicie wyłamać drzwi i wejść do wnętrza. Tam znajduje się latająca machina.

Wzdrygnąłem się. Wciąż nie miałem pełnego zaufania wobec Pani Kielicha. Ona była w końcu przyczyną mego rozstanie z Ermizhad, które było dla mnie niezwykle ciężkim przeżyciem.– Zrobię to, Pani, – powiedziałem, – jeśli mi coś obiecasz.

– Co takiego?

– Obiecaj mi, że opowiesz mi wszystko, co sama wiesz na temat mojego przeznaczenia i mojej roli w tym świecie.

– Jeśli twoja wyprawa się powiedzie, to obiecuję, iż opowiem ci wszystko, co sama wiem.

– Wobec tego, bezzwłocznie wyruszam w kierunku Księżyca.

II. MIASTO, ZWANE KSIĘŻYCEM

Tak więc opuściłem Szkarłatny Fiord, ruszając w kierunku czarnych, wulkanicznych stoków górskich, skąpanych wiecznie w mrocznym, ciemnym niebie. Wziąłem ze sobą mapę, trochę zaopatrzenia, i oczywiście mój miecz. Wdziawszy grube futro, jako tako chroniące przed zimmem, ruszyłem w góry, idąc tak szybko, jak tylko mogłem. Spałem niewiele, bowiem obsydianowe skały, stężale kaskady bazaltu i dziwne, pumeksowe głązy, stwarzały wrażenie, jakby zewsząd otaczały mnie twarze o złośliwych spojrzeniach, groźne postacie olbrzymów i potworów, i nocne zjawy. W takich chwilach, ścisnąłem tylko mocniej miecz w garści i nadal parłem zawzięcie do przodu. W końcu zobaczyłem przed sobą lodowe połączenie, a pokrywa chmur stała się na moment cieńsza, odsłaniając czerwoną słoneczną kulę i błyszczące blado gwiazdy.

Widok ten uradował mnie. Gdy za pierwszym razem znalazłem się w tym świecie, uznałem lodowe bezdroża za smutne i ponure, ale moje ostatnie doświadczenia przekonały mnie, iż jest to niczym, w porównaniu z grozą, jaką budzą góry, otaczające ostatnie, ciemne morze, jakie pozostało ludzkości. Przebrnąłem przez gładkie, przypominające szkło, skały na przełęczy i ujrzałem przed sobą samotną górę. Tak jak powiedziała Pani Kielicha, góra stała samotnie, wprost przede mną, na krawędzi lodowych bezdroży.

Zachwiałem się, bowiem sen dopominał się o swoje prawa. Zmusiłem moje nogi do przebycia ostatniego kilometra, dzielącego mnie od podstawy zbocza tej góry, gdzie zaczynały się wykute w starożytności schody. Gdy jednak postawiłem stopę na pierwszym stopniu, nie mogłem opanować senności i zasnąłem, aby zebrać siły do nowych, czekających mnie, a nieznanymi mi jeszcze, zadań.

Zbudziłem się, nieco tylko wypoczęty, i natychmiast rozpocząłem wspinaczkę po skalnych stopniach, aż dotarłem do czegoś, co zapewne musiało być niegdyś wejściem do naturalnej, skalnej grotty. Teraz jednak, wejście do jaskini zasklepione było płynnymi, a stężalnymi teraz, wulkanicznymi skałami. Wejście, na całej swej długości i szerokości, wypełnione było zwałami czerwonego i żółtego obsydianu. Oczekiwałem, że zastanę drzwi, które trzeba będzie wyłamać, gdy tymczasem stoję oto bezradny wobec skalnej ściany!

Rozejrzałem się bezradnie, przypatrując się górskim grzbietom. Tonęły one w brązowej masie chmur, co tym bardziej nadawało im tajemniczości. Wydawało się, jakby również te szczyty górskie brały udział w żałobnym dowcipie, jaki zafundowała mi Pani Kielicha.

– Przekleństwo! – wyrwało mi się.

– Przekleństwo, – odpowiedziało górskie echo. – Przekleństwo, – echo wykleło mnie w ten sposób wielokrotnie, nim wreszcie ucichło.

Warcząc ze złości, wydobyłem z pochwy Czarny Miecz. Jego czarne promieniowanie odbijało się od obsydianowych ścian. Zaciekle zaatakowałem skalną skorupę, blokującą wejście do jaskini. Klinga miecza wgrzyła się głęboko w skałę, a skalne odłamki rozleciały się we wszystkie strony.

Zaskoczyło mnie to, natarłem więc znowu. I znowu wielki fragment skalnej ściany runął, – niczym zdmuchnięty podmuchem olbrzyma. Raz jeszcze Czarny Miecz przeciął swym ostrzem skałę. Tym razem, z wielkim hukiem, zawaliła się pozostałość granitowej kurtyny, broniącej dostępu do wejścia. Ukazało się mroczne Wejście do groty. Wkroczyłem na powstałe skalne rumowisko, chowając miecz do pochwy. Wpatrywałem się w mrok, ale nie byłem w stanie nic zobaczyć. U pasa miałem latarkę, którą wręczył mi Bladrak, tuż przed wyjściem na tę wyprawę.

Nacisnąłem przycisk, umiejscowiony na rękojeści latarki – rozbłysło blade światło. Zobaczyłem maszynę latającą, o której mówiła mi Pani Kielicha... Nie powiedziała mi jednak, że powinienem także odnaleźć pilota.

Siedział on w kabinie powietrznego rydwanu, przypatrując mi się w milczeniu, uśmiechnął się szeroko, jakby zawczasu wiedział wszystko o mojej przyszłości. Był wysoki i szczupły, odziany był zaś w srebrny pancerz, podobnie jak rycerze, służący teraz Belphigowi. Siedział, rozwalony niedbale w swym fotelu, i pomyślałem zaraz, że musiał tak siedzieć już od wielu stuleci, bowiem jego głowę stanowiła tylko goła czaszka, a jego ramiona, złożone jedynie z kości, trzymały się jednej z burt rydwanu. Być może pozostawiono go tutaj jako ostrzeżenie, wskazujące na groźbę, zawartą w tajemniczym promieniowaniu napędu tej maszyny. Z przekleństwem strąciłem jego głowę z karku, i usunąłem pozostałe kości z pojazdu, strącając je na skalną podłogę pieczary.

Pani Kielicha powiedziała mi, że przyrządy sterownicze powinienem znaleźć stosunkowo łatwo. Miała rację. Nie było tu przyrządów sterowniczych w takiej postaci, jaką mógłbym znać; był tam jedynie kryształowy pręt, wystający z dna latającego rydwanu. Ściskając ów pręt w dłoni, włączało się silnik, pchając go do przodu, nadawało się rydwanowi szybkości, a ciągnąc go do tyłu, powodowało się zwolnienie, a następnie zatrzymanie pojazdu. Jeśli pręt był usytuowany w pozycji ukośnej – do tyłu, to pojazd nabierał wysokości, gdy natomiast ustawiło się go w pozycji ukośnej – do przodu, to rydwan zmniejszał pułap swego lotu. Sterujący pręt można też było przesuwac w położenie boczne.

Chciałem jak najszybciej pozostawić za sobą szczątki poprzedniego pilota. Wgramoliłem się do kabiny i ścisnąłem pręt. Natychmiast cały rydwan zaczął promieniować różowy poświatą, przypominającą barwę ludzkiego ciała. Pod moimi stopami rozległ się warkot, który musiał być zapewne warkotem silnika. Oblizałem moje wysuszone wargi i powoli pchnąłem pręt do przodu. Powietrzny rydwan ruszył w kierunku wylotu jaskini. Nadałem mu od razu nieco wysokości, tak aby uniknął rozbicia się o skalne rumowisko u wejścia do groty, a w chwilę potem szybowaliśmy już w otwartej przestrzeni. Od razu zorientowałem się, że wystarczy nawet nieznaczny ruch mojej ręki, trzymającej pręt, aby skorygować kierunek lotu maszyny. Zsynchronizowałem kurs z mapą, a także z kompasem, wbudowanym w głowicę pręta, po czym zwiększyłem prędkość, kierując się w stronę miasta, zwanego Księżcem.

Zostawiłem za sobą obsydianowe góry, i teraz widziałem wokół jedynie lodowe połączenie – bezkresne, lodowcowe przestrzenie, nad którymi mknąłem w mojej maszynie. Niekiedy płaska, lodowa równina, zakłócona była spiętrzonymi lodowymi bryłami, czy zaspami, z reguły jednak nic nie urozmaicało zimnego, śnieżnego krajobrazu.

Zaczynałem już wątpić, czy Pani Kielicha miała rację, mówiąc, że silnik mojego pojazdu

wydziela szkodliwe promieniowanie, wkrótce jednak poczułem, iż mój wzrok staje się lekko zamglony, mój refleks stępsiał, a kości stały się obolałe.

Lecieliśmy z maksymalną szybkością, nie było jednak żadnego sposobu, aby móc choćby w przybliżeniu oszacować, ile ona wynosiła. Zimne powietrze mroziło moje ciało, a szron pokrył moją brodę. Moje grube futro było rozwiane powiewami lodowatego, zatykającego dech w piersiach powietrza.

Robiło się coraz nieprzyjemniej. Wydawało się, jakbym w czasie lotu jeszcze bardziej oddalał się od Słońca, zostawiając je za sobą, i jakby robiło się coraz ciemniej. Wkrótce słoneczny dysk zbliżył się do horyzontu, a gwiazdy tym mocniej zabłysnęły na niebie. Teraz jednak opadłem bezsilnie na oparcie mego siedzenia; zbierało mi się na wymioty.

Byłem przekonany, że oto bliski jestem śmierci. W pewnej chwili zmuszony byłem zwolnić nieco prędkość lotu mego pojazdu i, wychyliwszy się za burtę rydwanu, zwymiotować. Chętnie zatrzymałbym pojazd, aby pozbyć się źródła moich cierpień, wiedziałem jednak, że odejście od samolotu oznaczałoby pewną śmierć. Raz jeszcze zwiększyłem prędkość.

Wreszcie ujrzałem to przed sobą. Ogromna, biała góra, zryta wielkimi kraterami, stercząca ponad lodem. Oczywiście, od razu zorientowałem się, że jest to właśnie Księżyc. Jak wiele tysięcy lat minęło od chwili, gdy upadł on na powierzchnię Ziemi? Jakies niejasne wspomnienia przemknęły mi przez głowę. Byłem pewien, że już kiedyś miałem ten widok przed oczami. Jakies imię, poczucie ogromnej rozpacz. Jak brzmiało to imię?

Wspomnienia rozwiały się.

Ostatkiem sił sprowadziłem powietrzny rydwan na ziemię, a raczej na lodową powłokę; ślizgając się, moja machina stanęła w końcu, a ja z trudem wygramoliłem z niej moje zbolełe ciało. Pełzając, brnąłem w kierunku strzelistej góry, która była niegdyś satelitą Ziemi. Im dalej znajdowałem się od latającej maszyny, tym więcej sił powracało do mojego ciała. Nim dotarłem do stromego zbocza góry, moje siły były zregenerowane. Widziałem teraz, że nawet ta góra pokryta była miejscami warstwą lodu, nie na tyle jednak grubego, aby zniekształcić zarys jej bryły. U szczytu widziałem światło, i byłem ciekaw, czy jest to wejście do miasta Srebrnych Rycerzy, które zmuszeni byli oni opuścić aby przyłączyć się do Belphega, w jego wojnie przeciwko nam. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko wspinać się po zboczu. Zarówno lód, jak i skały, były na tyle nierówne, by uczynić wspinaczkę stosunkowo łatwą, mimo to jednak musiałem kilkakrotnie odpoczywać po drodze, nie byłem bowiem jeszcze w pełni sił.

Gdy zbliżyłem się do szczytu, oświetlił mnie nagle snop światła, tryskający ze środka krateru, a na tle tego blasku zauważyłem około tuzina jeźdźców, siedzących na ogromnych fokach, którzy pędzili w moim kierunku. Zauważono więc mnie. Możliwe, że Belpheg był nawet przygotowany na moje przybycie tutaj. Ukryłem się za ścianą krateru, opierając się plecami o skały, wyciągnąłem z pochwy Czarny Miecz i trzymając go oburącz, oczekiwałem na napastników.

Zaatakowali mnie swymi zakrzywionymi harpunami, które widziałem po raz ostatni podczas polowania na jelenia morskiego. Jeden z nich, gdyby nie chroniąca mnie zbroja, przeciąłby mnie

zapewne od podbródka, aż po żołądek.

Ale Czarny Miecz użyczył mi część swej własnej energii. Nieznany ruch czarnej klingi był w stanie odciąć głowicę każdego harpuna. Ostrza harpunów toczyły się po skałach, a bezużyteczne drzewca głucho bębniły po podłożu, ku zgrozie i zeskoczeniu jeźdźców, szarpiących wodze swych fok i prących do ataku. Wepchnąłem ostrze Czarnego Miecza w gardło najbliższej foki, która w efekcie zakaszłała i runęła; siedzący na niej rycerz spadł z siodła, tocząc się w moim kierunku, co pozwoliło mi z kolei zatopić klingę w jego karku.

Z moich ust buchnął teraz mechaniczny, donośny śmiech.

Śmiałem się z nich szyderczo, zabijając ich. Miotali się w nieładzie, wydobywając z pochew swe miecze i topory pokrzykując na siebie wzajemnie. Jeden z toporów ugodził mnie w ramię, jego ostrze nie przecięło jednak kolczugi, ja zaś zabiłem mego przeciwnika cięciem, które przecięło mu twarz na dwie części, zaś impet mego uderzenia był tak silny, iż mój miecz wbił się również w ciało drugiego, znajdującego się nazbyt blisko, rycerza.

Przeciwnicy próbowali wcisnąć się w skalną szczelinę, utrudniać mi poruszanie się i manewrowanie. Ale Czarny Miecz nie pozwalał im na to. Poruszał się tak szybko, że za każdym ich zbliżeniem się, tworzył luki w ich szeregach.

Uciął dłoń, wciąż jeszcze zaciśniętą na rękojeści miecza, która stoczyła się w ciemność przepaści. Ucięta głowa runęła na podłoże. Wyprute z ciała wnętrzności stoczyły się z wysokiego siodła. Czarny Miecz bezlitośnie przebywał swą krwawą drogę.

Aż w końcu wszyscy oni byli martwi, poza kilkoma olbrzymimi fokami, które ociężałe powlokły się w kierunku, źródła owego potężnego snopu światła. Wciąż się śmiejąc, poszedłem za nimi.

To dziwne, lecz przebyta dopiero co krwawa łaźnia, zamiast zgrozy, napełniła mnie jakąś dodatkową siłą. Umysł miałem jasny, a i stopy silne i zwawe. Pognałem za wielkimi fokami, widocznymi na tle oślepiającego światła; zauważyłem, że kierują się wzdłuż metalowej rampy, która, zakręcając, prowadzi do wnętrza kulistego stoku. Ruszyłem ku rampie, poruszając się teraz bardziej ostrożnie. Zdażyłem w ostatniej chwili, bowiem dwuskrzydłowe drzwi właśnie się zamykały. Modliłem się, aby to wejście nie okazało się pułapką.

Schodziłem coraz niżej i niżej, aż ujrzałem poniżej mych stóp podłogę, zrobioną najprawdopodobniej z topionego srebra. Jej powierzchnia falowała, niczym powierzchnia wody, gdy jednak dotarłem do niej i postawiłem na niej ostrożnie swą stopę, to okazało się, że jest twarda i solidna.

Z drzwi, położonych w dalekiej ścianie, wybiegło trzech dalszych rycerzy. Oni również odziani byli w gruszkowate zbroje z Rowenarcu, dzierżyli jednak w dłoniach halabardy o podwójnych ostrzach, które dotychczas widywałem jedynie jako broń Srebrnych Rycerzy. Ta trójka była bardzo sprawna we władaniu bronią. Rozstąpili się, wymachując nad głowami swym orężem. Przypatrywałem się im z uwagą, oczekując na początek starcia.

Jeden z nich miotnął potężnie swym orężem, a halabarda, ze świstem powietrza, pomknęła w moją stronę. Uniosłem miecz, aby sparować to uderzenie, gdy tylko jednak zdążyłem odtrącić lecący ku mnie grot, nadleciała następna halabarda, a niemal równocześnie z nią – trzecia. Uchyliłem się przed drugą, ale trzecia trafiła mnie potężnie w pancerz. Poleciałem na plecy, a Czarny Miecz wyleciał mi z ręki, ślizgając się po posadzce z pofalowanego srebra. Zerwałem się na nogi, bezbronny, podczas gdy ludzie Belphiga wyciągnęli swoje miecze. Uśmiechali się, wiedząc, iż mój los jest przesądzony. Rozejrzałem się za moim mieczem, był jednak zbyt daleko, abym zdążył go dosięgnąć. Cofnąłem się o krok, a moja stopa nastąpiła na jakiś przedmiot. Przyjrzałem mu się. Był to grot jednej z rzuconych we mnie halabard. Widząc to, moi prześladowcy rzucili się ku mnie biegiem. Podniosłem halabardę, uderzając trzonkiem jednego z nieprzyjaciół, a drugiemu wpychając ostrze do gardła. Następnie, rozepchnąwszy ich, rzuciłem się ku memu mieczowi.

Dogonili mnie jednak, nim zdołałem do niego dotrzeć. Znów obróciłem się ku nim, blokując drzewcem ciosy ich mieczy, gdy zaś nadarzyła się sposobność, uderzyłem grotem w hełm drugiego z wojowników. Ten zachwiał się, oszołomiony, ja zaś, ślizgając się, po lustrzanej podłodze, dotarłem do swego miecza. Natychmiast ująłem za rękojeść, Czarny Miecz zaś zawył w mojej dłoni, niczym krwiożercza bestia, która marzy o zabijaniu. I pozwoliłem bestii zabijać.

Uderzenie mego miecza rozcięło ciało pierwszego z napastników od głowy, aż do pępka, a drugi został przecięty na dwie części. Wówczas wstrząsnąłem się, a bitewna gorączka zaczęła mnie opuszczać. Ukryłem miecz w pochwie i pobiegłem w kierunku drzwi, zza których wyszli poprzednio moi trzej przeciwnicy. Był tam długi, kręty korytarz. Jego wnętrze przypominało nieco rurę, było bowiem niemal owalne, a podłoga była po obu stronach wywinięta ku górze. Biegąc coraz dalej i dalej, dotarłem do kulistej izby. Miałem wrażenie, że owych korytarzy nie stworzyli ludzie dla własnego użytku, a były one przeznaczone do przepompowywania cieczy czy czegoś w tym rodzaju. Schody prowadziły ku górze, ku sklepieniu tej sali. Idąc po nich, znalazłem się w pokoju o owalnym kształcie, którego sklepienie przypominało oszronione szkło. Sklepienie to, okazało się zarazem podłogą izby, znajdującej się powyżej. Nie wiedziałem jednak, jakim sposobem mógłbym dostać się do owej izby.

Dopiero po chwili zauważyłem w owej izbie jakieś poruszenie. Zaniepokoiłem się i wydobyłem Czarny Miecz. Niespodziewanie, w gładkiej powłoce sufitu, ukazało się wejście, leżące dokładnie w samym środku izby. Następnie z góry zsunęło się coś na kształt bardzo grubej rury, która przestała się zsuwać dopiero wtedy, gdy jej koniec znalazł się zaledwie na wysokości około metra nad posadzką pokoju, w którym się znajdowałem. We wnętrzu obszernej rury, znajdowały się uchwyty, prowadzące do samej góry.

Bardzo ostrożnie zbliżyłem się do rury, po czym zacząłem wspinać się jej wnętrzem, wciąż trzymając Czarny Miecz w prawej dłoni. Gdy byłem już u góry, wychyliłem głowę, rozglądając się po tym skąpo umeblowanym pokoju. Pokój był olbrzymi, a ściany i podłoga wykonane były z takiego samego, szklistego srebra. Stało tam białe łóżko i kilka krzeseł, oraz przedmioty, których przeznaczenia nie byłem w stanie odgadnąć. Obok łóżka, stała zaś kobieta, o skórze koloru srebra, jej oczy mieniły się głębokim błękitem, a jej suknia była krwistoczerwona. Jej włosy były niemal białe, a jej piękno było zwiewne i ulotne. Uśmiechała się do mnie, poruszając ustami, ale nie byłem w stanie nic usłyszeć. Ruszyłem w kierunku tej kobiety, idąc: po przezroczystej podłodze, nagle jednak

uderzyłem twarzą o coś zimnego i twardego; odskoczyłem. Wyciągnąwszy dłoń, wyczułem coś gładkiego. Jakaś niewidzialna ściana oddzielała mnie od Srebrnej Królowej.

Królowa gestykulowała, usiłując mi zapewne coś przekazać, ale nie byłem w stanie nic usłyszeć.

Jakich czarów użył w stosunku do niej Belphig? Jak się okazuje, jego potęga była daleko większa, niż mógłbym przedtem przypuszczać. Zapewne swą wiedzę przejął od starożytnych przodków ludzkości, obdarzonych niezwykle, naukowymi uzdolnieniami; potomkami ich byli zapewne Srebrni Rycerze. To właśnie owi uczeni zbudowali niegdyś Szkarłatny Fiord. Ogarnęła mnie desperacja. Ścisnąłem w dłoni Czarny Miecz i rąbnąłem potężnie w niewidzialną ścianę.

Powietrze wypełnił straszliwy pisk. Moje ciało zostało wstrząśnięte z wielką siłą i potoczyło się do tyłu. Straciłem zmysły. Przyzwyczailem się, aby zanadto ufać potędze Czarnego Miecza, pomyślałem sobie, ostatecznie pogrążając się w niepamięć.

III. FENIKS I KRÓLOWA

Znowu słyszałem skandowanie:

– CZARNY MIECZ

– CZARNY MIECZ

– CZARNY MIECZ

– NA KLINDZE MIECZA JEST KREW SŁOŃCA...Otworzywszy oczy, ujrzałem gwiazdy, błyszcząły na ciemnym niebie. Obróciwszy głowę, stwierdziłem, iż znowu znajduję się w moim rydwanie powietrznym. Przy sterze zasiadał mężczyzna w srebrnym pancerzu.

To musi być sen. Śniło mi się, że szkielet pilota kieruje pojazdem.

Jeśli – to nie sen, to musi to oznaczać, że jestem jeńcem Srebrnych Rycerzy. Wyprostowawszy się, wyczułem rękojeść mojego miecza. Nie byłem związany, i miałem przy sobie moją broń. Tymczasem pilot, odziany w srebrną zbroję, odwrócił ku mnie głowę i zorientowałem się, że jest nim kobieta, ta sama, którą widziałem, nim straciłem przytomność. W jej czarnych oczach widać było wesołe ogniki.

– Dziękuję ci za odwagę, jaką wykazałeś, ratując mnie, – powiedziała. Znałem ten głos.

– Twój miecz zniszczył barierę. Wracamy teraz do Szkarłatnego Fiordu, abym mogła oznajmić moim rycerzom, że jestem już Wolna i że nie muszę już słuchać Belphiga.

– Przecież ty jesteś Panią Kielicha, – odrzekłem z niedowierzaniem.

– Tak nazywają minie ludzie Bładraka.

– W takim razie cała moja walka była bezsensowna. Przecież byłaś wolna i przedtem!

Uśmiechnęła się. – Nie. To co widziałeś w Szkarłatnym Fiordzie, było zaledwie moim bladym odbiciem. Nie mogłam wtedy pojawiać się w żadnym innym miejscu, jak tylko w izbie, w której znajduje się czarny słup. Belphig nie zdawał sobie sprawy, że miałam jakiejkolwiek możliwości kontaktu z jego wrogami.

– Ale przecież widziałem kielich także na pełnym morzu!

– Obraz kielicha może być ukazany w kilku innych miejscach, to prawda, ale nie mogłam sama się tam zmaterializować.

Spojrzałem na nią podejrzliwie. – A skąd się wzięła cała ta historia z Czarnym Mieczem?– Mieszkańcy Księżyca są bardzo mądrzy. Panie Mistrzu. Niegdyś byliśmy wielcy. Istniała

przepowiednia, że pojawisz się znowu, przybywając z Lodowej Bryły. Wydawało się to jedynie legendą, ale przeanalizowałam ją starannie, bo musiałam mieć jakąś nadzieję. Wiele się przy tym dowiedziałam.

– Pamiętaj, że obiecałaś mi, że opowiesz mi wszystko, co sama wiesz.

– To prawda, obiecałam.

– Powiedz mi więc najpierw, jakie ambicje ma Belphig.

– Belphig jest głupcem – choć bardzo sprytnym. Wiedział o Księżycu i znalazł go w końcu, po wielu tygodniach żmudnych poszukiwań, jakie prowadził ze swymi ludźmi. Zapominając o tym, że niegdyś zdarzały się wojny, zaufaliśmy mu. Poznał wiele spośród naszych tajemnic, aż w końcu, pewnego dnia, uwięził mnie w pokoju, w którym mnie zastałeś. Jak wiesz, zmusił w ten sposób Srebrnych Rycerzy, aby mu służyli.

– Ale w jakim celu?

Srebrna Królowa zakołysała się na swoim siedzeniu; zdałem sobie nagle sprawę, że promienie, emitowane przez silnik naszej maszyny, zaczynają nam szkodzić.

– On – on miał pewien plan, ale do jego urzeczywistnienia potrzebne mu były większe siły, niż mogli mu je zaoferować rycerze. Ostatecznie postanowił zbudować statek, który mógłby podróżować w przestrzeni kosmicznej. Pragnął znaleźć jakieś nowe Słońce; takie, które nie byłoby tak stare, jak nasze. To był bardzo naiwny plan. My posiadaliśmy wiedzę, jak zbudować taki statek, tyle że nie wiemy, jaki napęd mu nadać i jak długo trzebaby lecieć, aby dotrzeć do takiego nowego Słońca. Belphig nam nie wierzył. Sądził, że jeśli wystarczająco długo będzie torturował mnie i moich ludzi, to w końcu wydusi z nas pożądane wiadomości. On jest szalony.– Tak, – przyznałem, – a w dodatku to jego szaleństwo przysporzyło tej i tak już smutnej planecie, smutku jeszcze większego.

Jęknęła. – Moje oczy – nic nie widzę...

Wyciągnąłem ją pośpiesznie z jej siedzenia, zasiadając samemu za sterem, ujmując ster dłonią i utrzymując latający rydwan na kursie.

– Tak więc wyczarowałaś Czarny Miecz, – powiedziałem. – Jak również złoty kielich. A czy to ty nasyłałaś na mnie prześladowające mnie sny?

– Nie – ja nie przesyłałam – snów...

– I ja tak sądzę. Nie wierzę, abyś rozumiała wszystko to, co robiłaś, pani. Skorzystałaś z legendy i wykorzystałaś mnie. Ja jednak uważam, że Czarny Miecz – czy też to, co nim rządzi – wykorzystał nas oboje. Czy słyszałaś o Tanelorn?

– Wiem, gdzie się on podobno znajduje.

– Gdzie więc?

– W samym sercu tego, co nazywamy „wielopoziomem” – albo inaczej, „nieskończonymi matrycami”. Są tam światy, jeden nad drugim, w wielkiej liczbie, oddzielone szczelnie od siebie. Jest jednak środek, a ma być nim oś koła, wokół której to osi obracają się te światy. Tą osią, jak niektórzy uważają, jest planeta, której odbicia znajdują się w wielu spośród tych światów. Jednym z takich odbić jest Ziemia. Ziemia, z której przybyłeś, jest innym odbiciem, i tak dalej. Tanelorn ma wszędzie swe odbicia, z jedną jednak różnicą; Tanelorn nie umiera, podczas gdy inne światy umierają. Tanelorn, podobnie jak i ty, panie Bohaterze, jest nieśmiertelny.

– A w jaki sposób mógłbym odnaleźć Tanelorn i siły, które na nim rządzą?

– Nie wiem tego. Musisz o to pytać gdzie indziej.

– I mogę go nigdy nie znaleźć.

Nasza rozmowa wyczerpała ją, ja zresztą również odczuwałem już wyraźnie skutki trującej radiacji. Byłem głęboko rozczarowany, ponieważ, mimo, że sporo się dowiedziałem, to nadal nie uzyskałem tych informacji, na których mi najbardziej zależało.

– Powiedz mi, czym jest kielich, – powiedziałem słabym głosem. Ona jednak była już nieprzytomna. Jeśli nie dotrzemy w najbliższym czasie do Szkarłatnego Fiordu, to może już nie być więcej okazji, aby dowiedzieć się czegoś więcej. Wówczas to, ujrzałem w końcu przed sobą górskie szczyty, i ustawiłem pręt sterowniczy w ukośnej pozycji, aby zwiększyć pułap naszego lotu, nie miałem bowiem zamiaru po drodze lądować, a od celu dzieliła nas jeszcze całkiem pokaźna odległość. Wlecieliśmy wprost w gęstą, brązową chmurę; zapanowała wokół nas wilgoć, przesycona oparami soli. Widoczność była bardzo słaba, toteż błogosławiłem w duchu swoją przezorność, dzięki której nie groziło nam teraz rozbitcie się o któryś z górskich szczytów. Spotkałaby nas wówczas pewna śmierć. Zmagalem się sam z sobą, aby zachować dobre rozeznanie w sytuacji, chronić umysł przed oszołomieniem, a ciało przed przeszywającym je bólem. Jeśli stracę kontrolę nad naszym pojazdem, to będziemy skazani na roztrzaskanie się na skalnym zboczu.

W łańcuchu chmur, pokazał się prześwit.

Ujrzałem pod nami ciemne, posępne morze. Minęliśmy już fiord.

Bezwzględnie zawróciłem i zmniejszyłem wysokość naszego lotu. W chwilę później zobaczyłem poniżej wielką flotę biskupa.

Wciąż zmuszony byłem walczyć uparcie z sennością i zamroczeniem, ogarniającym mój umysł. Zatoczywszy koło, zauważyłem, że Belphig stoi na najwyższym pokładzie największego z okrętów. Rozmawiał właśnie z dwoma, wysokimi Srebrnymi Rycerzami, na widok mojego pojazdu przyglądał mu się w osłupieniu.

– Urlik! – wrzasnął, po czym zaśmiał się. – Czy uważasz, że przy pomocy tej małej, latającej łodzi zdołasz ocalić swoich przyjaciół? Jedna trzecia spośród nich już teraz poniosła śmierć głodową, a reszta nie ma siły, aby się nam przeciwstawić. Właśnie zamierzamy wpłynąć do fiordu. Bładrak będzie ostatnim, który się podda. Teraz cały świat należy do mnie.

Obróciłem się, aby ocucić Srebrną Królową. Jęknęła i poruszyła się, ale nie osiągnąłem nic więcej. Uniosłem jej ciało na tyle, na ile pozwoliły mi na to moje własne, nadwątlone siły, aby pokazać ją Belphigowi. Wtedy jednak powietrzny rydwan zaczął gwałtownie tracić wysokość, bo nie byłem już w stanie nad nim zapanować. Wiedziałem już, że za chwilę pochłonie mnie gęsta od soli morska woda.

W ostatniej chwili nowy dźwięk dotarł do moich uszu, toteż zmusiłem głowę, aby spojrzeć, jak łodzie Bladraka wyłaniają się z cieśniny fiordu.

Najwyraźniej Bladrak, nie mając nadziei na pomoc z mojej strony, zdecydował się zginąć w walce.

Próbowałem krzyczeć, wytłumaczyć mu, że nie ma potrzeby ginąć, ale nasza latająca machina uderzyła właśnie o powierzchnię wody i ślizgała się po niej, zmierzając w kierunku rysującego się w mroku kształtu jednego z okrętów floty Belphiga. Zdołałem nieznacznie zmienić kierunek tego ruchu, uderzyliśmy jednak w ogromne wiosło, łamiąc je z trzaskiem. Powietrzny rydwan przewrócił się, a ja, wraz z Królową, zostaliśmy wrzuceni do gęstej wody. Słyszałem odgłosy jakiegoś zamieszania. Rozległ się jakiś okrzyk i zobaczyłem jak jakiś przedmiot spada z burty do wody. Po chwili jednak woda zalała mi usta i zacząłem tonąć.

W chwilę później coś pochwyciło mnie i uniosło do góry, zabierając z powierzchni morza. Zasapałem ciężko. Byłem w rękach jednego ze Srebrnych Rycerzy.

Ten jednak uśmiechnął się do mnie, a nawet szerzył zęby w uśmiechu. Wskazał ręką. Tuż obok, dochodziła do siebie Srebrna Królowa. Wiedział, że to ja ją uratowałem.

Znajdowaliśmy się aktualnie na tratwie, która musiała zostać spuszczone na wodę, gdy tylko my ulegliśmy katastrofie. W chwili obecnej, tratwę przyciągano właśnie do burty okrętu. Z pokładu słychać było zrzędlawy głos. Jak się okazało, uderzyliśmy w okręt Belphiga.

Gdy znaleźliśmy się już na pokładzie, Srebrni Rycerze pomogli mi wstać.

Spojrzałem do góry.

Z wysokiego pokładu przyglądał mi się Belphig.

Wiedział już, że został pokonany, że wojownicy z Księżyca nie będą już go słuchać. Zaśmiał się.

W odpowiedzi zaśmiałem się i ja.

Wciąż się śmiejąc, wydobyłem z pochwy Czarny Miecz. Biskup też wyciągnął swój miecz i zachichotał. Pochyliwszy głowę, przeszedłem przez drzwi, i zacząłem wspinać się po schodach, prowadzących przez kolejne poziomy, aż wreszcie znalazłem się na górnym pokładzie, naprzeciw Belphiga.

Belphig wiedział, że zginie. Ta myśl doprowadzała go do szaleństwa. Nie mogłem go tak po prostu zabić. Zbyt wielu już zabiłem. Był już zupełnie niegroźny – postanowiłem go oszczędzić.

Ale Czarny Miecz był innego zdania. Gdy zamierzałem schować go do pochwy, klinga obróciła mi się w dłoni, odpychając moje ramię. Belphig wrzasnął przeraźliwie i uniósł swój miecz, aby zasłonić się przed zbliżającym się ciosem. Ja ze swej strony, usiłowałem powstrzymać Czarny Miecz przed zadaniem śmiertelnośnego uderzenia.

Ale nie dałem rady.

To było po prostu nieuniknione. Czarny Miecz przeciął Belphiga na dwie części, po czym zatrzymał się na moment, podczas gdy biskup zaszlochał i przypatrywał mu się z obawą. Potem zaś, mimo oporu, jaki stawiały moje dłonie, trzymające kurczowo rękojeść, uderzył znowu, wbijając się głęboko w otyłe, wysmarowane kosmetykami ciało Belphiga. Belphig zadrżał, a jego wyszminkowane usta zatrzepotały. W jego oczach odbijała się jakaś przedziwna wiedza. Zamknął swe podmalowane powieki, a łzy polały się na jego zaróżowione policzki.

Pomyślałem, że właśnie umiera. Miałem taką nadzieję.

Na pokładzie wielkiego statku Srebrnych Rycerzy, rozdawano żywność dla mieszkańców Szkarłatnego Fiordu, którzy sądzili już, że spotka ich śmierć.

Z dołu zawołała mnie Srebrna Królowa – zauważyłem, że Bładrak był z nią na pokładzie. Był bardzo chudy, ale powitał mnie ze swą zwykłą zuchowatością.

– Uratowałeś nas wszystkich, Mistrzu.

Uśmiechnąłem się gorzko. – Wszystkich, oprócz siebie samego, – powiedziałem.

Zszedłem po schodach na dół, aż znalazłem się na najniższym pokładzie. Srebrna Królowa rozmawiała ze swymi rycerzami, których oblicza pełne były radości z powodu jej uwolnienia. Obróciła się w moją stronę. – Zaskarbiłeś sobie nieśmiertelną wdzięczność mego ludu, – powiedziała.

Nie zrobiło to na mnie zbyt wielkiego wrażenia. Znadto byłem zmęczony. Ach, jak bardzo potrzebowałem teraz mojej Ermizhad. Miałem przecież nadzieję, że jeśli podporządkuję się memu przeznaczeniu, jeśli wezmę w dłoń Czarny Miecz, to zyskam szansę, na połączenie się z moją ukochaną.

Ale nic z tego nie nastąpiło.

I nadal nie wszystko rozumiałem z przepowiedni, związanych z Czarnym Mieczem.

– Na klindze miecza, jest krew Słońca...

Bładrak klepnął mnie w ramię. – Będziemy świętować, hrabio Urliku. Srebrni Rycerze, i ich ukochana Królowa, będą naszymi gośćmi w Szkarłatnym Fiordzie! Rzuciłem Srebrnej Królowej surowe spojrzenie. – Cc miał ze mną wspólnego ten kielich? – zapytałem stanowczym tonem, nie odpowiadając na zaproszenie Bładraka.

– Nie jestem pewna...

– Musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz, – odrzekłem, – bo inaczej zabiję i ciebie Czarnym Mieczem. Sprowadziłaś tu siły, których natury nie rozumiesz. Mówiłaś pokrętnie o przeznaczeniu. Sprowadziłaś na mnie wielką zgryzotę, Srebrna Królowo. I nadal, jak sądzę, nic nie rozumiesz. Chciałaś zapewne ocalić pewną liczbę istot ludzkich, na tej umierającej planecie, przez wezwanie Wiecznego Wojownika. Owym siłom, które rządzą przeznaczeniem bardzo twój plan odpowiadał, dlatego ci pomagały. Ale wybacź, że ci za to nie podziękuję – nie za ten piekielny miecz, który wisi u mego boku, o którego pozbyciu się marzę od dawna!

Cofnęła się o krok, z gasnącym uśmiechem na twarzy. Również Bładrak spochmurniał.

– Wykorzystaliście mnie, – ciągnąłem, – a teraz świętujecie. A co ze mną? Co ja mam świętować? Gdzie mam teraz pójść?

Przerwałem, zły na siebie, za to roztkliwianie się nad samym sobą. Odwróciłem się, aby ukryć szloch.

Szkarłatny Fiord rozbrzmiewał okrzykami radości. Kobiety tańczyły na nabrzeżach, mężczyźni pełnym głosem śpiewali jakieś pieśni. Nawet Srebrni Rycerze wydawali się pełni wigoru, w zestawieniu z ich poprzednim zachowaniem.

Ja jednak stałem na pokładzie wielkiego rydwanu morskiego i rozmawiałem ze Srebrną Królową. Byliśmy sami. Bładrak i cała reszta radowali się wraz z innymi.

– Jakie znaczenie ma złoty kielich? – spytałem. – Dlaczego służyć miał tak banalnemu zakończeniu...

– Nie uważam, aby to zakończenie można było nazwać banalnym...

– W jaki sposób zdobyłaś władzę nad kielichem?

– Najpierw były sny, – odrzekła, – i głosy w trakcie tych snów. Wiele rzeczy robiłam w transie. Spojrzałem na nią ze współczuciem. Znałem dobrze tego rodzaju sny.

– Kazano ci wezwać kielich, tak samo jak i Czarny Miecz?

– Tak.

– A czy wiesz, jakie znaczenie posiada kielich i dlaczego wydaje swoje dźwięki?

– Legenda mówi, że kielich ma zawierać krew Słońca. Gdy krew ta wypełni już kielich w całości, to kielich zostanie wniesiony do Słońca, które, po wypiciu tej krwi, wróci do życia.

– To zabobon, – powiedziałem. – Bajeczka ludowa.

– Możliwe. – Była przygaszona. Było jej przykro. Poczulem się winny za mój wybuch i pretensje

do niej.

– Dlaczego kielich płacze?

– Woła o krew, – wymamrotała.

– A gdzie jest owa krew? – spytałem, lecz nagle zwróciłem spojrzenie ku swemu mieczowi i ująłem za rękojeść. – „Na klindze Miecza, jest krew Słońca!” – zawołałem. – Czy możesz wezwać znowu ten kielich?

– Tak – ale nie tutaj.

– Gdzie więc?

– Tam, – wyciągnęła rękę. – Za tymi górami, na lodowych bezdrożach.

– Czy udasz się tam ze mną, teraz?

– Jestem ci to winna.

– To może być z korzyścią dla was, nie dla mnie.

IV. KLINGA I PUCHAR

Srebrnej Królowej i Wiecznego Wojownika nie było przez dwa tygodnie w Szkarłatnym Fiordzie. Popłynęli łodzią, która przywiodła ich do wyludnionego Rowenarcu. Szukali rydwanu, który przywiózł onegdaj Wiecznego Wojownika do Rowenarcu. Znaleźli go. Nakarmili niedźwiedzie, ciągnące rydwan, wsiedli do niego i przejechali przez góry, wprost na białe połacie Południowego Lodu.

Teraz Srebrna Królowa i Wieczny Wojownik stali pośrodku lodowych bezdroży, a wiatr rozwiewał ich szaty. Spoglądali na małe, czerwone Słońce.

– Sama sprowokowałaś przeznaczenie, gdy zdecydowałaś się mnie wezwać, – rzekłem. Zadrżała.
– Wiem o tym.

– Teraz zaś musimy spełnić przepowiednię do końca, – stwierdziłem. – Spełnić całe to proroctwo.

– Jeśli to cię wyzwoli, Mistrzu, to niech tak będzie.

– To może mnie przybliżyć, choćby o cal, do mego ostatecznego celu. – powiedziałem. – Nic więcej. Jesteśmy uwikłani w sprawy, o wymiarach kosmicznych.

– Czy naprawdę jesteśmy tylko pionkami, Mistrzu? Czy naprawdę nie możemy sami kształtować swego losu?

– W bardzo niewielkim stopniu, Królowo.

Westchnęła ciężko i rozłożyła ramiona, obracając twarz w strome mrocznego nieba. – Wzywam Piszczący Kielich! – krzyknęła.

Wydobyłem z pochwy Czarny Miecz i stałem tak, trzymając mocno jego rękojeść obu dłońmi i opierając ostrze o lód.

Czarny Miecz zaczął drżeć w moich rękach i śpiewać swoją pieśń.

– Wzywam Piszczący Kielich! – zawołała ponownie Królowa Księżycy.

Czarny Miecz trzepotał się coraz mocniej w moim uścisku.

Łzy spłynęły teraz po srebrnych policzkach Srebrnej Królowej; uklękała na lodowej powłoce.

Wiatr stał się mocniejszy. Nie wiadomo, skąd wiał. Nie był to zwykły wiatr.

Zawołała po raz trzeci: – Wzywam Piszczący Kielich!

Uniosłem Czarny Miecz – albo raczej to on uniół za sobą moje ręce – i niemal czule zatopiłem ostrze w jej karku, gdy tak leżała z rozłożonymi ramionami na lodzie. Zabiłem ją w taki sposób, aby nie widzieć jej twarzy. Jej ciałem wstrząsnęły drgawki. Jęknęła, zakwiliła, jej głos zlał się jednak z jęklwym świstem wiatru, ze śpiewem miecza, z moimi okrzykami udręki i bólu, i, na koniec, z piskliwym kwileniem, potężniejącym z każdą chwilą.

Na łodzią pojawił się wreszcie Piszczący Kielich, oślepiając moje oczy swym blaskiem. Przysłoniłem dłonią oczy, czując zarazem, że Czarny Miecz uwalnia się z mego uścisku.

Gdy spojrzałem tam znowu, zauważyłem, że nad kielichem wirował ogromny miecz.

A z miecza poląła się krew.

Krew płynęła z czarnej klingi, wlewając się do kielicha, gdy zaś puchar był pełen, Czarny Miecz upadł na lód.

Wydało mi się wówczas – choć nie mogę przysiąc, że tak na pewno było – iż jakaś potężna dłoń, wyciągnięta z posępnego nieba, uniosła kielich, podnosząc go coraz wyżej, i wyżej, aż przestał być widoczny.

Wówczas wokół Słońca pojawiła się purpurowa, krwawa aureola. Słońce zamigotało, i było początkowo niemal niewidoczne, potem jednak stało się bardzo jasne. Półmrok przemienił się w pogodne światło zmierzchu, po którym, jak wiedziałem, musi nastąpić słoneczny poranek.

Nie pytajcie mnie, jak mogło to nastąpić – jak czas mógł się cofnąć. Bywałem wieloma bohaterami wielu światów, ale nie sądzę, abym jeszcze kiedykolwiek był świadkiem równie dziwnego i przerażającego zdarzenia, jak to, co nastąpiło na Południowym Lodzie, gdy Czarny Miecz zabił Srebrną Królową. Przepowiednia się sprawdziła. Moim przeznaczeniem było sprowadzić temu ginącemu światu śmierć – a potem nowe życie.

Zmieniłem swoje zdanie na temat Czarnego Miecza. Wiele jego postępków było w moich oczach złem, ale być może to zło miało być jedynie wstępem, do późniejszego, znacznie większego, dobra.

Poszedłem do miejsca, gdzie upadł miecz, aby go podnieść.

Ale miecza tam nie było – na powierzchni lodu pozostał tylko jego cień. Odpiąłem od pasa pochwę miecza i ułożyłem ją obok tego cienia. Odszedłem w stronę mojego rydwanu i wszedłem nań.

Spojrzałem raz jeszcze na ciało Srebrnej Królowej, rozciągnięte w miejscu, gdzie ją zabiłem. Aby ocalić swój lud, wezwała na pomoc kosmiczne siły o niewyobrażalnej mocy. Te właśnie siły spowodowały jej śmierć.

– Mogłyby przecież równie dobrze spowodować moją, – wymamrotałem, gdy koła rydwanu ruszyły wreszcie.

Nie łudziłem się, że pozostanę dłużej na Południowym Lodzie. Wiedziałem, że już wkrótce zapewne zostanę znowu wezwany. Gdy zaś będę wezwany, to znowu spróbuję znaleźć moją

Ermizhad, księżniczkę Eldrenów. Będę szukał Tanelorn – wiecznego Tanelorn i, być może, zaznam znowu kiedyś pokoju.